TSU BPJ
223
I

BA

KONGRES, TRAKTAT I POLSKA

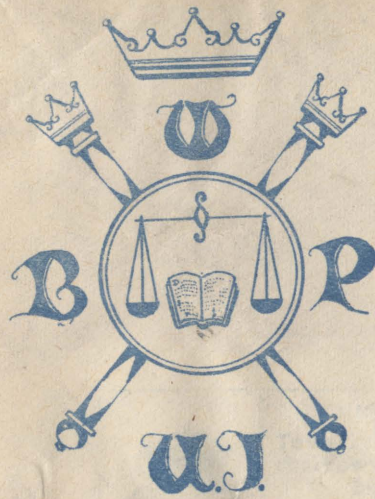
KSIĘGOZBIÓR WYDZIAŁOWA BIBLIOTEKA PRAWNICZA U.J.
XII-1919-Kuk

GEBETHNERA I WOLFFA
—LUBLIN—ŁÓDŹ—POZNAŃ
G. GEBETHNER I SPÓŁKA

Two. Bibl. St. Pet. I
Dz. III 1351

VII 310





ZBIÓR
Bibljoteki Sła-
wa Uniwersytetu
lońskiego

Nr 3449

XII. 1919. Kuk

Two. Bibl. St. Pet.
III
D2 1851

VII 310

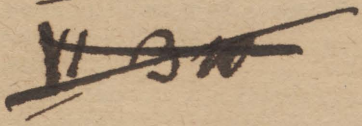


Lino 5059

STANISŁAW KUTRZEBA



KONGRES, TRAKTAT I POLSKA







Wydz. Bibl. Prawnicza
1806141556

NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
WARSZAWA—LUBLIN—ŁÓDŹ—POZNAŃ
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA

223
I

DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI W KRAKOWIE.

BIBLIOTEKA KATEDRY PRAWA MIĘDZYNARODOWEGO PUBLICZNEGO U. J.

SPIS ROZDZIAŁÓW.

Str.

Przedmowa 1
I. Kongres 5
II. Polski Komitet Narodowy 31
III. Delegacya polska i Biuro prac kongresowych . . 45
IV. Główne mocarstwa i Polska 78
V. Związek narodów 123
VI. Obywatelstwo polskie 142
VII. Umiędzynarodowienia 159
VIII. Rezultaty 173

DODATKI.

1. Tekst działu VIII części III Warunków pokoju z 7 maja 1919 r., zmieniony następnie w Traktacie z 28 czerwca 1919 r. 181
2. Prawa Rosyi do Litwy i Białej Rusi 186

Dnia 6 lutego 1919 roku o godzinie czwartej w nocy mieliśmy we dwóch, prof. Franciszek Bujak i ja, wyjechać z Krakowa pociągiem, przychodzącym ze Lwowa, by połączyć się w Trzebini z Biurem prac kongresowych, które pod wodzą byłego marszałka Rady Stanu, p. Franciszka Pułaskiego, z Warszawy zdążało do Paryża, by oddać się tam do dyspozycyi naszym delegatom. Na dworcu dowiedzieliśmy się, iż pociąg ze Lwowa spóźnił się o kilka godzin, tak że nim nie bylibyśmy mogli dostać się na czas do Trzebini. Uprzejmy kierownik ruchu dworca przyszedł nam jednak z pomocą; wsadził obu na lokomotywę, która podwiozła nas kawałek dalej, skąd, już przeniesieni do jakiegoś starego wagonu, ruszyliśmy dalej. Tak udało nam się połączyć z naszymi współtowarzyszami podróży, którzy przybywali z stolicy w dwóch wagonach ongiś restauracyjnych, przemienionych na sypialne przez wstawienie w nie łóżek polowych. Obok kierownika wyprawy, p. Pułaskiego, jechali w nich jako członkowie Biura profesorowie: Józef Buzek, Oskar Halecki, Władysław Konopczyński,

Dnia 6 lutego 1919 roku o godzinie czwartej w nocy mieliśmy we dwóch, prof. Franciszek Bujak i ja, wyjechać z Krakowa pociągiem, przychodzącym ze Lwowa, by połączyć się w Trzebini z Biurem prac kongresowych, które pod wodzą byłego marszałka Rady Stanu, p. Franciszka Pułaskiego, z Warszawy zdążało do Paryża, by oddać się tam do dyspozycyi naszym delegatom. Na dworcu dowiedzieliśmy się, iż pociąg ze Lwowa spóźnił się o kilka godzin, tak że nim nie bylibyśmy mogli dostać się na czas do Trzebini. Uprzejmy kierownik ruchu dworca przyszedł nam jednak z pomocą; wsadził obu na lokomotywę, która podwiozła nas kawałek dalej, skąd, już przeniesieni do jakiegoś starego wagonu, ruszyliśmy dalej. Tak udało nam się połączyć z naszymi współtowarzyszami podróży, którzy przybywali z stolicy w dwóch wagonach ongiś restauracyjnych, przemienionych na sypialne przez wstawienie w nie łóżek polowych. Obok kierownika wyprawy, p. Pułaskiego, jechali w nich jako członkowie Biura profesorowie: Józef Buzek, Oskar Halecki, Władysław Konopczyński,

Kazimierz Nitsch i Wacław Sobieski, dwaj tłomacze: dr. Folkierski i p. Maciej Wierzbiński oraz sekretarz administracyjny p. Rafalski; obok nich znaleźli pomieszczenie w tych wagonach: superintendent p. Bursche, powieściopisarz p. Reymont i jeszcze kilka osób, wśród których były i panie, razem w liczbie prawie trzydziestu.

Zatrzymano nas w Dziedzicach, gdy Czesi nie chcieli wagonów przepuścić; po kilkugodzinnym postoju ruszyliśmy przecież — za pozwoleniem Pragi — naprzód; pierwszy to był pociąg, który po wojnie czesko-polskiej przejechał granicę.

I tak w tych dwóch wagonach przez Wiedeń, Insbruk, Zürich i Genewę dojechaliśmy po tygodniu wreszcie do Paryża (13 lutego 1919 r.).

Nie będę opisywał tej naszej podróży. Nie mam zamiaru spisywania pamiętnika z mojego pobytu w Paryżu w czasie kongresu. Częściowo zbyt to osobiste przeżycia, by mogły interesować szersze grono czytelników. Częściowo zaś, o ile wychodziłyby poza te ramy, byłoby często rzeczą niewłaściwą, a może nawet szkodliwą, już dziś je ogłaszać. Inny mój zamiar. Chodzi mi o to, by przedstawić ogólny obraz działalności kongresu, oraz trudów i prac naszej delegacyi, o ile mogłem je poznać i o ile obecnie bez popełnienia niewłaściwej niedyskrecyi uczynić to można. Celem spostrzeżeń i uwag, które w tę książkę spisałem, jest umożliwić zrozumienie traktatu koalicyi z Niemcami, t. j. tych jego części, które nas, Polaków, specyalnie obchodzą, wyjaśnić, dlaczego tak wyglądają

te postanowienia i jakie ich znaczenie i wartość. Oczywiście — nie wszystkich. Jako członek Biura kongresowego mogłem się zapoznać tylko z pewną częścią działalności kongresu; do niej więc muszę się ograniczyć, względnie na niej głównie oprzeć jakieś dalej idące spostrzeżenia.

Wyjechałem z Paryża w połowie czerwca, jeszcze więc przed ostatecznem podpisaniem traktatu. Do tego czasu sięgają moje uwagi.

Kraków, 11 września 1919 r.

Autor.

I.

Kongres.

Gdy przybyłem z Biurem kongresowem do Paryża, w pełnym toku były już prace kongresu. Nie znaczy to jednak, by szły one żywo naprzód, by już daleko były posunięte. Od zawarcia rozejmu z Niemcami (11 listopada 1918 r.) ubiegły wówczas już trzy miesiące, ale kongres otwartym został dopiero 18 stycznia 1919 r. Jeszcze nie w pełni rozbudowaną była struktura kongresu, mającego przygotować artykuły przyszłego traktatu pokojowego; jeszcze bardzo ważnych działów późniejszych »Conditions de paix« — jak ekonomiczne i finansowe — nie wzięto zgoła pod obrady, a nawet odpowiednich komisyi nie utworzono. Te komisye, które już istniały, pracowały bardzo wolno, wygodnie, zbierały się po dwa razy lub nawet raz tylko na tydzień, i to na niezbyt długie posiedzenia, a praca np. komisyi dla umiędzynarodowienia portów, dróg wodnych i kolei miała charakter teoretycznych raczej roztrząsań, typu naukowych zjazdów, niż praktycznego ujmo-

wania w paragrafy przepisów, które miano podyktować pokonanemu nieprzyjacielowi.

Któryś z dyplomatów zrobił złośliwą uwagę, iż koalicya, jak nie była przygotowaną do wojny, tak nie jest nią także — do pokoju. Prawda to była. Przypuszczano u nas nieraz, iż już w czasie akcyi wojennej przynajmniej największe państwa koalicyi, kierujące nią, porozumiały się między sobą w tajnych układach co do warunków pokoju z czwórprzymierzem. Otóż żadnych ogólnych tajnych porozumień nie było. Tylko w stosunku do Włoch, Rumunii i Czech przyjęły poprzednio na siebie Francya, względnie także Anglia, pewne zobowiązania co do terytoryów, które tamtym państwom miały przypaść w razie wygrania wojny przez koalicyę. Pozatem jedyną wspólną umową, tyczącą się przyszłego pokoju, obejmującą kilka największych państw, była umowa londyńska z 4 września 1914 r., którą Anglia, Francya i Rosya zobowiązały się nie zawierać pokoju oddzielnie; do tej umowy przystąpiły później (1 grudnia 1915 r.) Włochy.

Inne państwa, które nie przystąpiły do układu londyńskiego, zachowały wprawdzie swobodną rękę co do pokoju, ale — z wyjątkiem Ameryki — za słabe były, zbyt zależne od koalicyi, by mogły z tego mieć jakąkolwiek korzyść. Jedynie Stanom Zjednoczonym Ameryki Północnej mogła ona przypaść w udziale. Przystąpienie ich do koalicyi, z ogromnymi zasobami tego państwa, tak wojskowymi, jak gospodarczymi i finansowymi, zadecydowało jeśli nie o zwycięstwie, to o jego przyspieszeniu. To, że Ame-

ryka nie związała się co do zawierania wspólnie pokoju, zapewnić jej mogło bardzo przeważny wpływ na tok rokowań o warunki pokoju. Ona też już przed zebraniem się kongresu zadecydowała o najogólniejszych podstawach, na których miał się oprzeć traktat pokojowy, narzuciła swoją wolę — w pewnej mierze — całej koalicyi, głośne bowiem punkty Wilsona zostały przyjęte już poprzednio przez najważniejsze z mocarstw, prowadzących wojnę.

Tak w chwili, kiedy kongres się zbierał, jedynie te punkty Wilsona stanowiły względnie konkretną wspólną platformę; układy z Włochami, Rumunią i Czechami wiązały te państwa, które je podpisały, ale nie cały kongres, w szczególności nie krępowały czynnika tak potężnego, jak Stany Zjednoczone. W Paryżu dopiero miano ustalić i ująć w paragrafy postanowienia, któreby tworzyły całość warunków pokoju. A miano je ustalić przez porozumienie państw, wchodzących w skład koalicyi.

Wszystkie one razem określono w traktacie nazwą mocarstw sprzymierzonych i stowarzyszonych — puissances alliées et associées. Ogółem było ich 27 — o ile nie wlicza się do nich z osobna angielskich »dominiów«: Kanady, Australii, Indyi, Południowej Afryki i Nowej Zelandyi; w traktacie i dominia z osobna zostały wymienione jako zawierające pokój.

Państwa te, mocarstwami w traktacie nazwane, choć to wyrażenie nieco zabawnie wygląda w zastosowaniu do ledwie kilku milionowych nieraz

państewek, na kongresie nie tylko faktycznie nie stały z sobą na równi, ale i prawnie. Podobnie jak na kongresie wiedeńskim z r. 1815, który najwięcej nastręcza analogii do tego ostatniego, różne było uczestników kongresu stanowisko, zależnie od ich znaczenia w światowej polityce, oraz od stopnia udziału w wojnie.

Wśród nich osobną grupę, stojącą wysoko ponad resztą, utworzyły potęgi światowe w liczbie pięciu: Stany Zjednoczone Ameryki Północnej, Anglia, Francya, Włochy i Japonia. W tym porządku te pięć potęg podpisały pierwsze traktaty – porządku, odpowiadającym zresztą alfabetycznemu, jeśli się na uwagę bierze ich nazwy w francuskim języku; wszystkie inne państwa w traktacie wymieniono po tych pięciu w porządku alfabetycznym. Te pięć państw w odróżnieniu od innych nazywano zwykle mocarstwami (puissances); gdy jednak ostatecznie w traktacie tę nazwę zastosowano do wszystkich państw, ukuto w nim dla nich termin nowy, już techniczny: głównych mocarstw sprzymierzonych i stowarzyszonych (puissances principales).

W przeciwstawieniu do pięciu potęg inne państwa określano w dość dziwaczny sposób jako »états aux intérêts particuliers«, a nieurzędowo najczęściej krótko jako »małe państwa« (petits états). Do takich »małych« państw zaliczano więc — Chiny, a także — co nas przedewszystkiem obchodzi — Polskę, choć ona przeszło 30 milionów mieszkańców będzie liczyć. Ale tam, na Zachodzie, tak jeszcze mało o nas wiedziano — i wiedzą do dziś —

iż prawie zawsze było to rewelacyą, jeśli się któremu z cudzoziemców powiedziało, jaka mniej więcej będzie siła liczebna tego »małego« państwa polskiego.

To przynajmniej może nas pocieszać, iż wśród tych »małych« Polska zajmowała wybitne miejsce, zwykle tuż obok bardzo tam, na Zachodzie, cenionej i kochanej Belgii, i że w miarę, jak ustalały się granice Polski, jak konsolidowała się, jak się z nią zapoznawano przez wysyłane na miejsce komisye czy z broszur publikowanych w obcych językach, stanowisko Polski w oczach poprostu rosło na gruncie wszechświatowych stosunków.

Do tych państw obok Polski i Belgii liczyły się z europejskich: Rumunia, Czechy (stale Czecho-Słowacyą zwane), Jugosławia (a właściwie Serbia, gdyż Jugosławia uznaną była — ze względu na Włochy — dopiero tylko przez Stany Zjednoczone), Grecya i Portugalia, z amerykańskich: Boliwia, Brazylia, Kuba, Ekwator, Gwatemala, Haiti, Honduras, Nikaragua, Panama, Peru i Urugwaj, z azyatyckich: Chiny, Siam i Hedżas, wreszcie Liberya z Afryki.

* * *

Te państwa wytworzyły z siebie organizm kongresowy, złożony z licznych kółek i kółeczek. Nie z jednej myśli wyszła ta organizacya, nie stanowił jej podstawy jakiś plan, dobrze zawczasu obmyślany, lecz budowano ją w miarę, jak się okazywały potrzeby, dostosowując do tych potrzeb.

Wiotkie były te formy, coraz to nowe jakieś tworzono organy, to znowu przekształcano istniejące poprzednio, i to nieraz bardzo znacznie. Wskutek tego panowała niejasność co do niektórych kwestyi, do jakiej komisyi należą, nieraz dwie komisye tąsamą się zajmowały, to znowu nie było takiej, któraby pewną sprawą zająć się miała, i nie umiano nawet objaśnić, czy powstanie odpowiednia komisya, względnie której z istniejących takie kwestye zostaną przekazane. Nieraz pewną sprawę usuwano z pod obrad właściwego ciała, oczywiście na odpowiedni rozkaz z góry, bez zawiadomienia nawet właściwej komisyi.

Tą górę, od której wychodziły decyzye, obowiązujące wszystkich, tworzyła rada najwyższa kongresu — conseil suprême de la conférence de la paix. Początkowo składała się ta rada z dziesięciu członków, obejmując po dwóch przedstawicieli pięciu potęg, t. j. Stanów Zjednoczonych, Anglii, Francyi, Włoch i Japonii, pod prezydencyą francuskiego delegata p. Clemenceau; stąd zwano ją potocznie komitetem dziesięciu (comité de dix). W połowie marca przyszło do zmiany u tej góry, a powodem miało być to, iż wiadomości, tyczące się załatwienia sprawy Gdańska, przedarły się mimo poufności obrad do dzienników; w celu lepszego zapewnienia więc dyskrecyi rada najwyższa z dziesięciu osób zredukowaną została do czterech: pp. Clemenceau, Wilsona, Lloyda George'a i Orlanda, gdyż Japonia nie weszła do tej rady. Zwano ją odtąd komitetem czterech — lub też wprost: czteroma

(les quatres). Ci czterej zmienili się nawet w trzech (les trois), gdy w końcu kwietnia delegacya włoska opuściła na czas jakiś kongres. Jak długo rada najwyższa zbierała się w liczbie dziesięciu, odbywała swoje posiedzenia w pałacu francuskiego ministerstwa spraw zewnętrznych, w gabinecie p. Pichona; zredukowana do czterech, obradowała codzień gdzieindziej, w mieszkaniu jednego z jej uczestników. Dla większej dyskrecyi na zebraniach czterech nie prowadzono nawet protokołu, tak, iż obrady przybrały dość familiarny charakter. Prowadzono je wtedy już nie w dwóch językach, francuskim i angielskim, jak poprzednio było na komitecie dziesięciu, lecz wyłącznie w tym drugim, który doskonale zna p. Clemenceau; ponieważ zaś nim nie włada p. Orlando, więc wysoki oficer włoski — jedyna osoba z poza tego szczupłego grona, dopuszczona do tych obrad — tłomaczył mu po cichu przemowy trzech innych.

Ta najwyższa rada przemieniała się niekiedy w najwyższą radę wojenną koalicyi (conseil suprême de guerre); brali w niej wtedy udział także najwyżsi wojskowi państw głównych.

Gdy komitet dziesięciu zmienił się na komitet czterech, zbierać się z osobna zaczęli ministrowie spraw zagranicznych pięciu potęg jako komitet pięciu dla rozpatrywania niektórych spraw.

Przy radzie najwyższej utworzono urzędujący w gmachu francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych sekretaryat generalny kongresu, pod kierunkiem p. Dutasta. Później powołano nadto do

życia przy radzie najwyższej jeszcze komitet redakcyjny (comité de redaction), złożony z doskonałych prawników, którego skład starano się utrzymać w tajemnicy; weszli do niego głównie profesorowie paryskiej école de droit; zadaniem jego było zebranie artykułów pokoju, przygotowanych przez komisye lub zdecydowanych wprost przez radę najwyższą, i skoordynowanie ich w jedną całość.

Najwyższa rada kongresu mogła każdą sprawę sama wziąć bezpośrednio pod swoje obrady i stanowczo rozstrzygnąć. Tak rzeczywiście nieraz się działo; do spraw wyłącznie dla niej zastrzeżonych należała np. sprawa miasta Fiume. Uchwały jej zapadały — i zapadać mogły — tylko jednomyślnie. Zbyt potężne tam w grę wchodziły interesy, zbyt potężne były to mocarstwa, tworzące radę, by które z nich chciało się zgodzić na uznanie zasady większości głosów, więc poddać się majoryzacyi. Oczywiście utrudniało to i przewlekało obrady, gdy konieczną było rzeczą w każdej takiej nieraz zasadniczego znaczenia sprawie doprowadzić do zgodnego oświadczenia się decydujących czynników; wszakże w niejednej kwestyi dzieliła decydujących mężów stanu różnica w poglądach, a co ważniejsza — różnica w interesach. Musiało to nieraz prowadzić do starć; najostrzejszem było to, które sprawiło, iż delegacya włoska opuściła kongres, a zdawało się, iż w jej ślady pójdą Japonia i Belgia. Zbyt jednak tragicznie brano te scysye; były one nieuniknione przy różnorodności poglądów i inte-

resów, lecz poczucie, iż porozumienie jest konieczne wobec wspólnego, niebezpiecznego wroga, choć już pokonanego, przewaga czynników bezwzględnie górujących wśród państw: Stanów Zjednoczonych i Anglii, były tak silne, iż rozbicia kongresu mogli się spodziewać tylko bardzo naiwni.

Zresztą wszystkie sprawy — z nielicznymi wyjątkami — nie szły wprost przed radę najwyższą, ale dopiero po przygotowaniu ich przez odpowiednie komisye. Rada ani dość czasu nie miała, by badać tak różnorodne sprawy, jakie miał objąć traktat, ani nie mogłaby ich poznać dość gruntownie wobec ich mnogości, a nieraz i wielkiej zawiłości: cały szereg zaś kwestyi wymagał dokładnych fachowych wiadomości. Bardzo doniosłe więc było zadanie komisyi kongresowych, które miały odpowiedni materyał przerobić i przygotować wnioski już w zupełnie dojrzałej formie, to jest ujęte w paragrafy, a objaśnione w raportach, dodawanych do wniosków.

Ogromna ilość była tych komisyi; dla tych komisyi każda delegacya, a zwłaszcza delegacye pięciu głównych mocarstw, potrzebowały szeregu pracowników, dyplomatów i specyalistów; jeśli jako reprezentujący państwo zasiadał w komisyi dyplomata lub polityk, trzeba było mu dodawać ekspertów ale i wtedy, jeśli w komisyi zasiadał jako reprezentant państwa fachowiec, niezbędni byli mu eksperci, gdy nieraz zbyt kwestye były zawiłe lub różnorodne, by jeden mógł brać na siebie odpowiedzialność za stanowisko, jakie zajmie, by mógł pa-

nować nad wszystkiemi nasuwającemi się zagadnieniami.

Skład komisyi był różny; kilka wśród nich można wyróżnić grup.

Jedną grupę stanowiły te komisye, które składały się wyłącznie tylko z reprezentantów pięciu wielkich państw; były to komisye: terytoryalne i wojskowe. »Potęgi« uznały, iż kwestye granic państw nowych czy zmiany granic państw już istniejących — sprawy wogóle najważniejsze i najdrażliwsze z wszystkich — mogą być tylko przez nie same decydowane. Wypływało to z tego poczucia potęg, iż one wojnę wygrały, iż one zgniotły przeciwników, więc mają prawo decydować wyłącznie o nowej mapie świata, narzucić reszcie swoją pod tym względem wolę. A w rachubę musiał wchodzić i wzgląd praktyczny, iż gdyby dopuszczono w tych sprawach do głosu wszystkie czynniki zainteresowane, to doszłoby było napewno do tylu ostrych kontrowersyi, iż niewiadomo, jakby zdołano doprowadzić do rezultatu. Taksamo sprawy wojskowe zastrzeżono dla komisyi, złożonej tylko z przedstawicieli potęg, jako przedewszystkiem je interesujące a wymagające też ściślejszej poufności obrad.

Tak to obok komisyi wojskowej, mającej swoje podkomisye dla spraw marynarki i lotnictwa, powstał cały szereg komisyi terytoryalnych, które miały podawać wnioski co do granic państw, a nadto układać przepisy tyczące się: plebiscytów, o ile je zarządzono, sprawy zmiany poddaństwa w łączności z odstąpieniem terytoryum i wydania archiwów.

Były takie komisye dla Szlezwiku, dla spraw jugosłowiańskich, greckich, czeskich i t. d. Z tych komisyi dla nas była oczywiście najważniejszą komisya dla spraw polskich (Commission pour les affaires polonaises). Przewodniczył jej p. Juliusz Cambon, były ambasador francuski w Berlinie, jeden z najwybitniejszych dyplomatów Francyi; stąd zwano ją zwyczajnie wśród Polaków komisyą Cambona. Ze strony Ameryki Północnej zasiadał w niej p. Bowmann, geograf, a w ostatnich czasach, gdy tenże podał się do dymisyi, prof. Lord, historyk, doskonały znawca stosunków polskich, jako reprezentant Anglii p. Tyrrel, od Włoch markiz della Torretta, wreszcie Japończyk. Na pracy tej komisyi skupioną była przedewszystkiem uwaga Polaków; w niej przygotowywano przecież wnioski co do terytoryów, które Polsce miały przypaść w udziale! Z komisyi terytoryalnych żadna może nie dostała równie trudnego zadania ze względu na tyle kwestyi, na które miała — i ma jeszcze odpowiedzieć; zapoznać się jej członkowie musieli przecież z sprawą granic Polski tak od zachodu, jak od wschodu, z historyą polską w pewnej mierze przynajmniej, z kwestyami gospodarczemi, a zwłaszcza z jej etnografią i statystyką. Chyba że ta komisya najwięcej z wszystkich komisyi odbyła posiedzeń.

Utworzono później jeszcze jedną komisyę, zwaną wprost terytoryalną, której zadaniem miało być badanie wniosków specyalnych komisyi, lecz tylko o tyle, o ile pewne kwestye, tyczące się tychsamych terytoryów, należały do dwóch różnych ko-

misyi; zdaje mi się jednak, że sprawa granicy czesko-polskiej, którą rozpatrywały z osobna komisye dla spraw polskich i dla spraw czeskich, do tej komisyi terytoryalnej nie była odesłana.

Obok tej komisyi dwie jeszcze były, które zajmowały się specyalnie albo w dużej mierze sprawami polskiemi. Jedna z nich, to komisya dla rozejmu polsko-ukraińskiego, utworzona ad hoc w marcu, która po niezbyt długim czasie bezowocnie zakończyła swój żywot. Wreszcie komisyą, dla nas bardzo ważną, była utworzona już w maju, po przedstawieniu Niemcom warunków pokoju, komisya dla spraw nowych państw (pour les affaires des nouveaux états), do rzędu których zaliczano Polskę. Zadaniem tej komisyi było przygotowanie dodatkowego traktatu między nowemi państwami a pięciu głównemi mocarstwami w sprawie ochrony mniejszości narodów, swobody międzynarodowego tranzytu i t. d., a więc także między Polską a potęgami. Powstawania komisyi wogóle nie ogłaszano, uważano to za rzecz wewnętrzną kongresu; w cichości powstała zwłaszcza ta komisya, tak, że dopiero w kilka dni po jej powstaniu dowiedzieli się członkowie polskiej delegacyi o jej istnieniu i o tem, że bardzo pilnie odbywa posiedzenia. W skład jej wchodzili pp.: Berthelot (Francya), Morley (Anglia), di Martino (Włochy), Amerykanin i Japończyk.

Tak w radzie najwyższej, jak w tych komisyach, o których tu mówię, głos więc miały tylko »potęgi«, tylko delegaci tych potęg wpływali bezpośrednio na uchwały tych ciał. Państwa intereso-

wane, a wchodzące w skład koalicyi, dopuszczane były do tych ciał tylko jakby w charakterze strony, która mogła przedstawiać swój pogląd, swoje życzenia. Ale tylko przedstawiać, tłomaczyć, bez możności uczestniczenia w następnej dyskusyi; tembardziej decyzye zapadały już bez ich udziału. Tak w początkach lutego p. Dmowski jako pierwszy delegat Polski wezwany był przed komitet dziesięciu, gdzie na dwóch posiedzeniach — rannem i popołudniowem — szeroko przedstawiał całość kwestyi polskiej, określał żądania restytucyi dawnego państwa z pewnemi modyfikacyami i szczegółowo je uzasadniał. Kilkakrotnie później w specyalnych sprawach stawał — przed czterema już — i p. prezydent Paderewski. Również kilkakrotnie rozwijali poglądy Polski jej delegaci wobec komisyi Cambona, to znów wobec komisyi dla sprawy rozejmu z Ukraińcami w wschodniej Galicyi; zdaje mi się, że raz tylko — w sprawie śląskiej — wezwani byli na komisyę Cambona także i eksperci polscy, a ekspert wojskowy, gen. Rozwadowski, na komisyę dla rozejmu z Ukraińcami. Żądanie delegacyi polskiej, by specyalnie w sprawie poddaństwa na terytoryach, które Polsce przypadną, byli wysłuchani polscy eksperci, o ileby przedłożony ze strony polskiej projekt nie miał być przyjęty, nie zostało uwzględnione, jak o tem jeszcze niżej będę mówił.

Tu zaznaczyć już chcę dla usunięcia możliwowości błędnych przypuszczeń, iż ingerencya delegacyi polskiej na załatwienie spraw polskich nie ograniczała się do tych urzędowych przedstawień na

radzie najwyższej czy w tych komisyach. Wydatniejszą była ona w innych formach.

Inny zgoła był udział Polaków — jak wogóle państw, wchodzących w skład koalicyi poza pięciu potęgami — o ile chodziło nie o sprawy terytoryalne i wojskowe, ale takie, których nie zastrzegały wyłącznie dla siebie główne państwa; w takich sprawach dopuszczone były do narad i decyzyi nad artykułami przyszłego traktatu także i mniejsze państwa, lecz nie wszystkie. We wszystkich takich komisyach zasiadała Polska, choć inne państwa w niektórych z nich nie miały reprezentantów (np. Czesi).

Gdy przyjechałem do Paryża, poza komisyami terytoryalnemi i wojskową istniało pięć komisyi, w marcu dodano dwie. Skład ich był tak określony iż do każdej wchodziło po dwóch delegatów głównych państw (razem więc dziesięciu), a po jednym delegacie miały niektóre inne państwa w różnej liczbie co do poszczególnych komisyi.

W tych komisyach reprezentanci mogli mieć z sobą - z wyjątkiem jednej komisyi—sekretarzy i po kilku ekspertów; proszono, by ich nie było więcej, jak dwóch, ale nieraz bywało po trzech i czterech. W zasadzie tylko delegaci mieli prawo przemawiania, ale później i ekspertów dopuszczano bez ograniczeń do głosu, czy w razie nieobecności delegata, czy też nawet obok niego, zwłaszcza gdy chodziło o kwestye ściśle fachowe. Wśród Polaków nie było nieraz ścisłej różnicy między delegatem a ekspertami.

Komisye nie miały określonego regulaminu, same praktyką wyrabiały sobie swoje zwyczaje; różnice dochodziły tak daleko, iż np. gdy zwyczajnie rozstrzygano w komisyach przez głosowanie, to inne z zasady uchwalały tylko jednomyślnie. Językami obrad były: francuski i angielski; każdą przemowę francuską tłomaczono na angielskie i naodwrót, co ogromnie przeciągało obrady. Nie tylko było to zasadą, ze względu na wymagania Anglosasów, ale i potrzebą, przeważna część bowiem delegatów angielskich i amerykańskich po francusku zgoła nie umiała lub bardzo słabo; ci z nich, którzy znali język francuski, nieraz za to sami w nim przemawiali. Wyjątkowo, gdy dyskusya przechodziła z obrad bardzo formalnych w pogadankę omal, nie żądano tłomaczenia. Tłomaczy — podobnie, jak i sekretarzy komisyi — dostarczały ministerstwa francuskie, w których gmachach zbierały się komisye.

Komisye dzieliły się zwykle na podkomisye, to znów — o ile chciały — wybierały dla pewnych kwestyi komitety redakcyjne (comité de redaction), lub też przygotowawcze, dla uporządkowania przedłożonych wniosków; mogły specyalnej podkomisyi przekazać sprawę wprost do definitywnego załatwienia, co jednak uważało się za niewłaściwy wyjątek od zasady. Udzielały nawet komisye audyencyi, np. reprezentantom Szwajcaryi i Holandyi w sprawach, które tych państw tyczyły.

Żmudną i trudną robotę przygotowawczą, więc wypracowywanie pierwszych projektów jako sub-

stratu dyskusyi, brały zwykle na siebie sekretaryaty komisyi, z doskonałych francuskich prawników złożone; ale i delegacye podawały od siebie projekty, zwłaszcza delegacya angielska. Sekretaryat prowadził protokół, dostarczał powielanych egzemplarzy wniosków, zastępował komitet redakcyjny, przygotowywał ostateczny tekst i raport do rady najwyższej, podpisywany bądź przez przewodniczącego i sekretarza, bądź nawet przez wszystkich delegatów.

Może nie wszystkie te uwagi są ścisłe co do wszystkich komisyi wobec różnic, jakie między niemi zachodziły; przedstawiłem te kwestye głównie według praktyki tej komisyi, w której uczestniczyłem, uzupełniając wiadomości o praktyce innych z opowiadań jej polskich członków. Rzeczy to zresztą podrzędnego znaczenia.

Komisye te były następujące:

Komisya dla związku narodów (Commission de la société des nations). Do tej komisyi ogromną wagę przykładał prezydent Stanów Zjednoczonych Wilson, projektodawca związku. Ze względu na wagę zagadnień, wiążących się z utworzeniem związku, w komisyi brali udział najwybitniejsi z polityków koalicyi, główni delegaci. Komisya obradowała tylko w czasie bytności Wilsona w Paryżu, tak, że przerwała posiedzenia na czas, gdy pojechał do Ameryki, i dopiero po jego powrocie na nowo je rozpoczęła. Do komisyi wchodzili tylko reprezentanci państw, bez sekretarzy i ekspertów. Ze strony Polski zasiadał w niej pier-

wszy delegat p. Dmowski, który tam miał sposobność częstego spotykania się tak z Wilsonem, jak Lloydem Georgem i innemi kierującemi polityką osobistościami.

Komisya dla odszkodowań (Commission de la réparation des dommages). Przedmiotem obrad była kwestya odszkodowań w jaknajszerszym zakresie. Z Polaków zasiadał w niej jako reprezentant oficyalny p. Kazimierz Olszewski, znakomicie przygotowany do pracy jako ten, który zainicyował i przeprowadził likwidacyę szkód wojennych w Królestwie Polskiem a w drukowanej jako manuskrypt książce p. t. »Podstawy rozrachunku państwowego między Polską a Rosyą« (Warszawa 1918) ujął całokształt spraw, łączących się z rozrachunkiem Polski z Rosyą. Przy nim brali udział w pracach komisyi przez czas pewien pp. Witołd Markowski i Zygmunt Chamiec.

Komisya dla odpowiedzialności za wojnę (Commission de la responsabilité de la guerre et sanctions). Miała ona ustalić, za jakie czyny pociągnąć winnych do odpowiedzialności, określić prawo, według którego mają być te czyny sądzone. Dzieliła się ona na trzy podkomisye, mimo że zakres jej działalności nie był zbyt rozległy w porównaniu do innych komisyi. W komisyi zasiadał ze strony polskiej p. Skirmunt, a po jego wyjeździe hr. Łubieński, jako sekretarz p. Rybiński. Poza potęgami prócz Polski w tej komisyi reprezentowane były tylko: Belgia, Grecya, Rumunia i Jugosławia.

Komisya dla pracy (Commission du travail) miała za zadanie przygotowanie przepisów o ustawodawstwie o pracy robotników, któreby obowiązywały we wszystkich państwach, należących do związku narodów. Z Polaków prowizorycznie zasiadali w niej pp. prof. Sujkowski i Jan Żółtowski, a następnie stale p. Patek.

Komisya dla umiędzynarodowienia portów, dróg wodnych i kolei (Commission du régime international des ports, voies d'eau et voies ferrées), zajmująca się także sprawą tranzyta. Z Polaków prowizorycznie, ale przez cały czas jej trwania, zasiadał w niej prof. Kazimierz Kasperski, obok niego autor tej książki. W skład komisyi wchodziło 14 państw, t. j. obok potęg i Polski: Belgia, Grecya, Rumunia, Jugosławia (p. Trombić), Czechy (p. Kramarz), Portugalia, Chiny i Siam.

W marcu — powiększając liczbę tych komisyi siedmiu — utworzono:

Komisyę finansową, w której zasiadał, jak i w podkomisyach, ze strony polskiej p. Zygmunt Chamiec, oraz

Komisyę ekonomiczną. Ta podzieliła się na cztery sekcye, a w niektórych sekcyach wytworzyła jeszcze podkomisye. W pełnej tej komisyi zasiadał prof. Jan Rozwadowski, a następnie delegat pełnomocny p. Władysław Grabski; w sekcyi I prof. Józef Buzek, a w jej podkomisyach dla spraw celnych p. Tennenbaum (przy nim p. Stefan Zaleski), dla spraw żeglugi prof. Buzek (przy nim prof. Kasperski), dla nielojalnej konkurencyi prof. Buzek

(przy nim dr. Winiarski), po wyjeździe prof. Buzka jego miejsce zajął prof. Antoni Górski; w sekcyi II przedstawiali Polskę w podkomisyi dla własności przemysłowej prof. Górski, dla spraw kontraktów z przed wojny i dla spraw likwidacyi p. Patek i p. Edward Natanson; w sekcyi III dla spraw cudzoziemców i nieprzyjaciół był reprezentantem Polski dr. Winiarski; w sekcyi IV dla międzynarodowych traktatów i konwencyi p. Tennenbaum (przy nim p. Stefan Zaleski).

Nieraz i inni członkowie delegacyi byli używani jak eksperci na posiedzeniach komisyi, bądź też szedł na nie w ważnych momentach w razie potrzeby p. Grabski jako delegat pełnomocny.

* * *

Te komisye przygotowywały materyał dla traktatu, w nich opracowano artykuły »Conditions de paix«.

Zdawało się, iż uchwały komisyi będą miały materyalnie decydujące znaczenie, a tylko formalnie zostaną usankcyonowane przez radę najwyższą i w jednolitą całość zestawione przez komitet redakcyjny. Tak jednak nie stało się. Przekonaliśmy się o tem przy sprawie gdańskiej, gdy uchwały komisyi dla spraw polskich, jednomyślnie powzięte, natrafiły na opór w radzie najwyższej ze strony p. Lloyda George'a i zostały odesłane do komisyi z powrotem, a gdy komisya swoje wnioski podtrzymała, przecież rada najwyższa je zmieniła. Tak

więc przyszło w tym wypadku do konfliktu między pełnomocnym delegatem angielskim a reprezentantem oficyalnym Anglii w komisyi, który zgoła inne zajmował stanowisko w tej kwestyi; czy był to brak wewnętrznej łączności między właściwymi delegatami a członkami delegacyi w szerszem tego słowa znaczeniu? Dziwną byłoby to rzeczą, choć możliwą; niejednokrotnie w komisyach członkowie ich zastrzegali sobie, iż w pewnej sprawie określą swoje stanowisko po porozumieniu się z pełnomocnymi delegatami, a tłomaczyli się następnie, żądając dalszej zwłoki, iż z delegatem dla jego zajęć widzieć się nie mogli. Mnogość spraw, któremi zajęci byli główni delegaci, była tak wielką, iż rzeczywiście porozumienie z nimi dla członków delegacyi nieraz było trudne, zwłaszcza jeśli delegaci nie mieszkali razem z delegacyą; starano się temu zaradzić tak, iż w niektórych delegacyach (np. włoskiej) oznaczona była codzień godzina, kiedy członkowie delegacyi mieli przystęp do głównego delegata, by choć w kilku słowach sprawę mu przedłożyć i dostać dyrektywę. W jaki sposób mogło przyjść jednak w sprawie tej doniosłości, jak kwestya Gdańska, do tego rodzaju konfliktu, to wiedzą chyba wtajemniczeni bliżej w działalność delegacyi brytyjskiej, a dowie się kiedyś historya.

Oczywiście najgłówniejszemi tylko kwestyami, opracowanemi przez komisye, mogła się zająć rada najwyższa, zasadami, nie ich rozprowadzeniem. Jeśli przychodziło do konfliktu między wpływowymi czynnikami w komisyi, to niekiedy, ale bardzo

rzadko, już przed ostateczną decyzyą komisyi tę sprawę wprowadzano przed radę czterech, i to tak, że o tem komisya mogła nawet nie wiedzieć i chyba przypadkiem to potem wychodziło dopiero na jaw. Zmian w traktacie, dokonanych przez radę najwyższą, znalazło się sporo, głównie w stosunku do propozycyi komisyi terytoryalnych, ale także i w tych działach, które były opracowywane w komisyach przy udziale większej ilości państw koalicyjnych. Tak np. gruntownej rewizyi i zgoła zupełnemu przerobieniu uległy uchwały komisyi dla kwestyi odpowiedzialności za wojnę; wszak z obszernego projektu zrobiło się ledwie kilka artykułów z treścią bardzo różną od tamtych uchwał. Zasadniczej zmianie uległy także wnioski komisyi co do odszkodowań i co do finansowych przepisów. Zdaje mi się za to, że wszystkie wnioski komisyi ekonomicznej zostały przyjęte bez zmian; napewno tak było co do wniosków komisyi dla umiędzynarodowienia rzek, portów i kolei. Zmiany przeważnie tłomaczyły się tem, iż w czasie, kiedy ostatecznie miano wnioski zatwierdzać, uległo pewnej też zmianie ogólne stanowisko koalicyi wobec Niemiec, a to w kierunku łagodzenia warunków zbyt ostrych.

Właściwie na radzie najwyższej ostatecznie się wszystko decydowało, więc — po jej przekształceniu — w gronie czterech (a chwilowo nawet trzech) osób; prezydent Wilson, pp. Lloyd George, Clemenceau i Orlando — to byli ci czterej ludzie, którzy warunki pokoju podyktowali Niemcom, ale także i — wszystkim państwom koalicyi. Poza czterema

temi, względnie pięcioma potęgami (boć z Japonią musiano się liczyć) naprawdę inni członkowie kongresu w ostatecznych decyzyach głosu zgoła nie mieli.

Pełne bowiem posiedzenia kongresu (les seances plenières de la conférence de la paix) były raczej tylko dekoracyą. Tylko kilka ich się odbyło. Merytorycznie dwa tylko działy z traktatu weszły w pewnej mierze pod obrady pełnego kongresu przy udziale wszystkich państw, które miały swoich delegatów na kongresie: dział postanowień o pracy i pakt związku narodów, działy więc, mające charakter organizacyi państw na przyszłość, ale nie artykułów właściwego traktatu z nieprzyjacielem. W tych sprawach prowadzono dyskusye, wnoszono poprawki, przyjmowano je nawet, o ile widocznie już poprzednio dla nich uzyskano zgodę wielkich mocarstw; ale naprawdę na seryo tych obrad nie brano. Zgoła zaś dekoratywny charakter miało jedyne posiedzenie, na którem przedstawiono cały traktat zebranym delegatom wszystkich państw koalicyjnych — dnia 6 maja 1919 r., w przeddzień wręczenia warunków pokoju Niemcom. Oczywiście że nie sposób było odczytać nawet cały traktat, a cóż dopiero dyskutować o jego poszczególnych ustępach; przeczytano — streszczenie, i w ten sposób, przez przyjęcie tego streszczenia do wiadomości, państwa koalicyjne — poza potęgami — dały niejako zgodę swoją, iż to ich są też warunki dla Niemców, dały zgodę na szereg przepisów, których wogóle nie poznały, o ile one do streszczenia nie

weszły, dały zgodę na przepisy, ich nawet tyczące się, o których istnieniu nie wiedziały — jak np. delegacya polska zgoła nie wiedziała o istnieniu artykułu 93, jak również nie wiedziała o tem, jak ostatecznie uregulowano kwestyę poddaństwa na ziemiach Polsce oddanych, by nie mówić już o szczegółach co do innych kwestyi. Nie znał warunków pełnego traktatu nawet — zwycięzki marszałek Foch, który — co było publiczną tajemnicą w Paryżu — reagował na to ostro na tem posiedzeniu kongresu po odczytaniu streszczenia. Co więcej, to streszczenie nawet nie było — choć to zdaje się tylko jeden wyjątek — zgodne z brzmieniem traktatu, jak o tem jeszcze będę mówił.

Nic dziwnego, iż jeden z delegatów polskich, wychodząc 7 maja z sali zamku wersalskiego po wręczeniu traktatu Niemcom, zrobił ironiczną — ale nie zupełnie słuszną — uwagę: »mam wrażenie takie, jakie musi mieć ojciec prawego dziecka, do którego urodzenia nie wiele się przyczynił«.

Przykrą była tego rodzaju sytuacya, przykrem tego rodzaju traktowanie ze strony wielkich, którzy uważali, iż nie potrzebują dbać — o tych, którzy są od nich o tyle słabsi, a zwłaszcza dlatego, iż są zależni. Przykrą było to rzeczą i dla delegacyi polskiej. Na to jednak na razie nie było rady. Upominającym się państwom mniejszym, by im pokazano traktat, ciągle obiecywano, iż go dostaną do rąk o kilka dni wcześniej, niż Niemcy; a pełny tekst dano dopiero w ten dzień wieczór, gdy go Niemcom przedstawiono w Wersalu. Dopiero przy

traktacie z Austryą wystąpiły mniejsze państwa z silniejszą opozycyą; gdy na pełnem zebraniu kongresu odczytano treść tej części traktatu, którą następnego dnia miano podać do wiadomości delegacyi austryackiej w St. Germain en Laye, oświadczyły interesowane państwa, iż chcą pierwej cały traktat poznać, a na czoło protestujących wysunęła się Rumunia, nie tak zależna od decyzyi mocarstw, ak Polska, Czechy lub Jugosławia, mająca znaczną armię, nie zagrożona zbyt u swoich granic, a w poprzednich traktatach, z koalicyą zawartych, posiadająca już pewien silniejszy punkt oparcia. Rzeczywiście też odroczono datę wręczenia częściowego traktatu delegacyi austryackiej na dni kilka, ażby państwa, po Austryi dziedziczące, z treścią jego się zapoznały.

Jeśli jednak dziś zarzut przeciw delegacyi polskiej podnoszą po pismach niektórzy jej krytycy, iż tak się pozwoliła traktować, niech przypomną sobie, jak to ich sprzymierzeńcy wezwali Polaków do układów w Brześciu Litewskim, jak to zawczasu powiadomili ówczesny rząd polski o warunkach, które Rosyi tam przedstawią; niech porównają korzyści (w rodzaju tej, tyczącej się ziemi chełmskiej, i podziału Galicyi), w Brześciu Polakom zapewnione, z temi niekorzyściami, jakie dali sprzymierzeńcy nasi, w Paryżu obradujący, którzy zapewnili nam »tylko« zjednoczenie trzech dzielnic w niepodległe państwo.

* * *

Tak przyszedł do skutku traktat z Niemcami, obejmujący olbrzymią księgę o 208 stronach francuskiego i tyluż angielskiego tekstu. Oba te teksty są równorzędne i autentyczne, bez względu na to, czy najpierw po francusku układano artykuły i na angielski tłomaczono, czy naodwrót. Ślad tych tłomaczeń pozostał wyraźny; tak np. widocznie część, tycząca się floty, tłomaczoną jest z angielskiego, również i ustęp o Gdańsku, który przedstawia nawet taką osobliwość, iż w tekscie francuskim używa wyrazu, zgoła nieznanego francuskiemu językowi. Słowa »discrimination«, nie znalazł dr. Winiarski, który ten ustęp tłomaczył, mimo dokładnych poszukiwań w żadnym słowniku francuskim, a znaczenie tego wyrazu zrozumieć można dopiero, jeśli się zwróci uwagę, iż jest on wzięty dosłownie z tekstu angielskiego, a w angielskim wyraz ten znaczy: różnicę.

Tłomaczenie przepisów traktatu, zastosowanie ich w życiu, przedstawiać też będzie często ogromne trudności, nastręczać liczne wątpliwości. Pracowano w pośpiechu, zwłaszcza w ostatnich tygodniach, w przemęczeniu, które źle się zawsze odbija na każdej pracy, tem bardziej wymagającej ścisłości i dokładności. Nieraz starano się sztucznie omijać trudności, gdy nie znano faktycznego stanu rzeczy, układane przepisy tak konstruować, by w każdym przypadku mogły mieć zastosowanie; stąd nieraz niesłychana ich zawiłość. Jakkolwiek zadaniem komitetu redakcyjnego przy radzie najwyższej było skoordynowanie tekstów, dostarczo-

nych przez liczne komisye, to jednak, gdy całą siłą parto, by jaknajprędzej módz pełny tekst Niemcom doręczyć, nie był on w stanie przeprowadzić naprawdę gruntownej rewizyi, choćby dla sharmonizowania terminologii, która nie zawsze była takąsamą w różnych komisyach; nieraz też tensam wyraz lub zwrot prawniczy zgoła co innego znaczy w jednym, a co innego w innym rozdziale traktatu.

II.

Polski Komitet Narodowy.

Skomplikowaną, zbyt nawet skomplikowaną była reprezentacya polska na kongresie paryskim. Znacznie też różniła się jej budowa od reprezentacyi innych państw.

Nie świadomego zamysłu czy też przypadku było to wynikiem, ale anormalności, wynikającej z biegu rozwoju sprawy polskiej w stosunku do koalicyi. Koalicya aktu Niemiec i Austryi z 5 listopada 1916 r. nie uznała, państwo polskie, budowane za zgodą tych wrogów koalicyi, dla niej nie istniało; nie mogło ono mieć — według zastrzeżeń ze strony państw centralnych, które określały jego warunki bytu — reprezentacyi na zewnątrz, ale gdyby nawet było mogło je mieć, to nie byłyby one uznane przez koalicyę. Koalicya uznała jako reprezentacyę państwa polskiego, wówczas jeszcze dla niej nie istniejącego realnie, Polski Komitet Narodowy w Paryżu. Dnia 28-go sierpnia 1917 roku, Komitet ten zawiadomił najważniejsze państwa koa-

licyi o tem, że powstał i że z pośród siebie wyznaczył reprezentantów przy ich rządach. Na list ten odpowiedziały: pierwsza Francya 20 września, Anglia 15-go, Włochy 30 października, a 10 listopada 1918 r. Stany Zjednoczone Ameryki północnej. Ten Polski Komitet Narodowy (Comité National Polonais) był więc reprezentacyą zagraniczną państwa polskiego, ale tego, które jeszcze realnie nie istniało. Nie było więc rządu, któryby temu Komitetowi mógł dać prawo reprezentowania Polski, gdyż ten niby rząd, za zgodą Niemiec i Austryi istniejący w Warszawie, nie był niczem dla koalicyi, a i dla Komitetu Narodowego. Stosunek Komitetu do rządu warszawskiego tak określał — z upoważnienia Komitetu — p. Erazm Piltz, rozwijając na posiedzeniu partyi radykalno-socyalistycznej w Paryżu 30 czerwca 1918 r. jego program: »Pytają nas często, jaki jest nasz stosunek do rządu polskiego w Warszawie. Odpowiedź nasza jest prosta. Nie możemy uznać za najwyższą władzę polską Rady Regencyjnej, która ma tylko pozory suwerenności. Tembardziej nie możemy uznać za nasz rząd narodowy Rady ministrów w Warszawie, która niema swobody działania i jest zależną od władz okupacyjnych. Lecz uznajemy jego wielką użyteczność w sprawie administracyi kraju, jak i jego niezaprzeczalne zasługi w sprawie obrony interesów polskiej ludności pod niemieckim uciskiem«.

Tak więc został Komitet Narodowy urzędową reprentacyą rządu, który dla niego nie istniał. Więc nie miał brać od kogo dyrektyw, nie musiał swojej

polityki stosować do zleceń przez swego zwierzchnika, rząd, wydawanych, lecz sam sobie je dawał. Był reprezentacyą, ale niezależną od nikogo, z mocą swobodnego decydowania o swej linii politycznej, o politycznych krokach.

To była jedna anormalność Komitetu, która wynikała z natury rzeczy, iż ten Komitet odcięty był od kraju, a — co najważniejsza — że w tym kraju nie rządziła ta większość, która zgodną była w poglądach z Komitetem, ale mniejszość, i to w Królestwie kongresowem mniejszość bardzo znikoma. Komitet był więc niejako reprezentacyą narodu polskiego, ale nie formalnie istniejącego w Polsce rządu. Nie z nominacyi rządu powstał, ale sam się stworzył i zyskał urzędowe uznanie koalicyi, sam dla siebie niejako był źródłem władzy.

Drugą anormalnością było to, iż Komitet polski był reprezentacyą w stosunku do wszystkich rządów koalicyi, i to reprezentacyą kollektywną. Komitet niejako był uwierzytelniony przy rządzie francuskim, angielskim, amerykańskim i t. d., tak jak to niekiedy się zdarza, iż jakiś poseł uwierzytelniony jest w kilku państwach blisko siebie leżących. Ale te państwa koalicyi nie leżały blisko siebie, gdy niektóre znajdowały się nawet za Oceanem. Niepodobna było w sprawach, potrzebujących porozumienia z rządami, ograniczyć się tylko do korespondencyi, z Paryża jako siedziby Komitetu wysyłanej; sprawy dyplomatyczne wymagają w tak dużej mierze dokładnego, pełnego omówienia czy nieobowiązujących wymian zdań. Otóż dla porozumiewania się z głów-

nymi rządami Komitet Narodowy wyznaczył swoich członków, bądź to w charakterze delegatów Komitetu (délégué du Comité auprés du gouvernement N.), bądź przedstawicieli i szefów misyi (représentant du Comité et chef de mission); charakter delegatów mieli: p. Erazm Piltz, który spełniał te funkcye przy rządzie francuskim, i p. Jan Modzelewski w Bernie przy rządzie szwajcarskim, do drugiej kategoryi należeli: p. Ignacy Paderewski w Stanach Zjednoczonych, hr. Władysław Sobański w Anglii i p. Konstanty Skirmunt we Włoszech. Delegaci, czy reprezentanci Komitetu, zewnętrznie więc wyglądali na posłów polskich, ale nie mieli tego charakteru, gdy właściwie zależeli sami od tego wielkiego wielogłowego poselstwa, którem był Komitet Narodowy. Poselstwa polskie miały więc jakby dwie kondygnacye.

Dla załatwiania spraw, zwyczajnie należących do zakresu konsulatów, stworzone zostały osobne urzędy: w Paryżu odrębnie od Komitetu pod nazwą polskiego urzędu dla spraw cywilnych we Francyi (office Polonais pour les affaires civiles en France; p. Ludwik Spiess, później p. Włodek), w Anglii i we Włoszech w łączności z misyami polskiemi pod nazwą sekcyi spraw cywilnych tychże misyi (w Londynie początkowo p. Stanisław Kozicki, w Rzymie p. Jan Zamorski). Do tych urzędów należały sprawy paszportowe, opieka nad cywilnymi Polakami i t. p. Rząd polski w Warszawie od siebie sprawy, należne konsulatom, oddał w Szwajcaryi utworzonej tam przez siebie misyi, mającej również siedzibę w Bernie. W ten sposób tam istniały jakby dwa konsulaty

polskie, wzajemnie się nie uznające. Ten anormalny stan rzeczy trwał w Bernie do kwietnia 1919 r. kiedy ostatecznie jeden już stworzono urząd polski.

Do składu Komitetu należała dość znaczna ilość osób. Na czele jako jego prezes stał twórca Komitetu, głowa kierunku politycznego, szukającego oparcia sprawy polskiej o koalicyę — p. Roman Dmowski, sekretarzem generalnym był p. Józef Wielowieyski, skarbnikiem generalnym hr. Maurycy Zamoyski. Weszli do niego dalej szefowie misyi polskich, o ile przebywali w Paryżu (pp. Paderewski, Sobański, Skirmunt) oraz delegat przy rządzie francuskim p. Piltz, prof. Jan Rozwadowski, p. Maryan Seyda, p. Stanisław Kozicki, który przeniósł się później na stałe do Paryża, prof. Stanisław Grabski, który później wyjechał do kraju, oraz z amerykańskiej kolonii p. Smólski, który jednak bawił w Ameryce, i dr. Franciszek Fronczak, delegat Wydziału Narodowego w Chicago. Wszedł oczywista do Komitetu generał Józef Haller po przybyciu do Paryża. Następnie Komitet rozszerzył się przez przyjmowanie delegatów partyi czy dzielnic. Weszli do Komitetu pp.: Andrzej Wierzbicki z Warszawy, hr. Jan Żółtowski z Poznańskiego, reprezentanci kresów hr. Łubieński i p. Joachim Bartoszewicz, z lewicy pp. dr. Dłuski, Patek, Downarowicz, dr. Sokolnicki, prof. Sujkowski, z galicyjskich ludowców hr. Mikołaj Rey i p. Włodzimierz Tetmajer.

Gdy przybyłem do Paryża, Komitet był dużą instytucyą. Mieścił on się pierwotnie w pałacu, będącym własnością hr. Zamoyskiego przy Avenue Kleber

11 bis, i tam też mieszkało kilku członków Komitetu. Ale wkrótce potem oddali oni te mieszkania na biura, a już wcześniej niektóre z nich musiano gdzieindziej poumieszczać. (Avenue Kleber 37 i 47 bis).

Obok prezydyum i sekretaryatu generalnego istniały wydziały: prawno-polityczny (p. Piltz) wojskowy (p. Wielowieyski), skarbowy (hr. Zamoyski), propagandy (prof. Rozwadowski), prasowy (p. Seyda), i — ekonomiczny (p. Wierzbicki), który jednak wkrótce przeniesiony został do Biura kongresowego. Przy prezydyum p. Joachim Bartoszewicz miał oddane specyalne funkcye polityczne.

Oczywiście, że wydział wojskowy pewne tylko sprawy załatwiał, gdyż wojsko polskie, później zwykle zwane armią Hallera, stanowiło część wojsk koalicyjnych, wchodziło specyalnie w skład armii francuskiej i podlegało najwyższej komendzie marszałka Focha; stosunek Komitetu Narodowego do wojska polskiego określił anneks do listu francuskiego ministerstwa spraw zagranicznych, pisanego do tegoż Komitetu 20 marca 1918 r. W dziesięciu paragrafach ujęte były prawa Komitetu; do niego należało: określenie chorągwi narodowej armii, oznak wojskowych (insignes militaires) i przysięgi, którą miało wojsko składać narodowi polskiemu, ustalanie polskości chcących wstąpić do armii i zatwierdzanie przyjmowania do armii jeńców Polaków wraz z wskazywaniem ich użycia w armii polskiej. Delegaci Komitetu mieli prawo zwiedzania — razem z komendantem armii polskiej lub przez niego wskazanym oficerem — koszar, obozów i szkół armii

polskiej i w takichże warunkach asystowania przy wylądowywaniu wojsk. W porozumieniu z Komitetem miały być badane sprawy, tyczące się moralnego i materyalnego stanu żołnierzy; za zgodą Komitetu miały być wysyłane misye dla organizowania ochotników, oraz mianowani generałowie polscy, pod których dowództwem szłyby do boju wojenne jednostki polskie. Publikacye armii polskiej poddano kontroli politycznej Komitetu. Zastrzeżono też, że siły wojskowe polskie będą mogły być wysłane na front dopiero po zorganizowaniu ich w jednostki (unités), a użycie ich poza frontem zachodnim będzie mogło nastąpić tylko za zgodą Komitetu.

To były mniejwięcej ramy prawne działalności wydziału wojskowego; przybywały później inne sprawy.

Departament prasowy prowadził przegląd prasy polskiej i obcej na użytek polski i władz francuskich, a — co ważniejsza — dostarczał wiadomości o sprawach polskich prasie francuskiej, oraz angielskiej w Paryżu, i naodwrót — także drogą telegrafu bez drutu — krajowi. Pracowali tam: p. Stefan Natanson, p. Rongier i t. d.

Propaganda — poza prasową — należała do wydziału propagandy, który znaczną zebrał bibliotekę. Tu się przygotowywało wydawanie oficyalnych memoryałów delegacyi, aż je następnie przejęło i dokończyło Biuro kongresowe; kilka innych broszur wydano staraniem Wydziału. Jemu oddana była kwestya zbliżenia z Francuzami; ono urządzało obiady polsko-francuskie, jak np. wielki obiad pod

prezydencyą Noulensa z politycznemi mowami pp. Paderewskiego, Dmowskiego, Painlevé'go, Denis-Cochina i innych. Przy tem biurze było wydawnictwo Polaka, pisma tygodniowego, przeznaczonego głównie dla żołnierzy polskich.

Ciężkie były zadania wydziału finansowego, by pokrywać coraz rosnące wydatki Komitetu; dużo w to włożył osobistych poświęceń jego kierownik.

Nie dość jasną była kompetencya wydziału politycznego, jak i specyalna p. Bartoszewicza.

Taką była organizacya Komitetu Narodowego, oczywiście w zarysie tu podana, może nie zawsze dokładnym, gdyż — nie wchodząc do niego — nie znałem bliżej wewnętrznego rozdziału roboty i tylko częściowo z nią się zapoznałem, głównie w związku z działalnością Biura kongresowego. Zaznaczam jeszcze, iż przy Komitecie utworzono osobną redakcyę tygodnika w francuskim języku ogłaszanego dla informowania zagranicy o sprawie polskiej pt. Indépendence Polonaise. Zaczął on ukazywać się w styczniu a zamknięty został po ukończeniu najważniejszych prac kongresu w lipcu 1919 r.; całość zawarła 25 numerów. Redagował go bardzo starannie prof. Stanisław Stroński, którego zupełnie prawie ta praca pochłonęła w Paryżu.

Z chwilą, gdy Komitet Narodowy uzyskał oficyalny kontakt z rządem polskim przez uznanie go ze strony tegoż rządu, oczywiście zaczęły się stosunki normalniej ukształtowywać. Gdy wreszcie niezależny już od Niemców rząd w Warszawie został uznany przez koalicyę, Komitet Narodowy stawał się zbęd-

nym, nie było dla niego miejsca w ustrojowej budowie państwa. Musiał rząd w kraju wejść w swoje prawa zwierzchniczej władzy w stosunku do wszystkich władz, więc także i zagranicą go reprezentujących. Komitet, z siebie niejako wywodzący swoją władzę, był anomalią; nie może państwo prowadzić dwóch polityk przez dwa różne swoje organy. Trzeba było myśleć o uregulowaniu stosunków Polski do państw koalicyi według szablonów, przyjętych w stosunkach międzynarodowych, więc o nominowaniu posłów bezpośrednio z ramienia rządu polskiego przy rządach koalicyi. Zapadła w Warszawie decyzya zwinięcia Komitetu jako naturalny rezultat konsolidacyi polskich stosunków. Po przyjeździe do Paryża p. Paderewskiego, w wielki wtorek 15 kwietnia Komitet Narodowy na wniosek swego prezesa p. Dmowskiego rozwiązał się i przeszedł w stan likwidacyi, która jeszcze trwała do czerwca. Ale uregulowanie sprawy zastępców przy państwach koalicyi, objęcie ich już przez mianowanych z Warszawy posłów, przeciągnęło się aż do sierpnia. Sporo z posad posłów przypadło w udziale członkom rozwiązanego Komitetu Narodowego, tak prawicę, jak lewicę reprezentujących.

* * *

Polski Komitet narodowy miał entuzyastycznych zwolenników, ale i zaciętych nieprzyjaciół. Jedni bezwzględnie pochwalali jego postępowanie, głosili potrzebę ścisłego posłuchu dla Komitetu, drudzy potępiali, jak tylko mogli, wyolbrzymiali każdy

najmniejszy błąd, starali się zatrzeć zasługi. Łatwo tłumaczy się to jego pierwotnym składem, stosunkiem jego członków do stronnictw politycznych. Na czele Komitetu stał wódz stronnictwa narodowej demokracyi i jego wybitna indywidualność, górująca bezwzględnie w Komitecie, nadawała cechę całej pierwotnej organizacyi, choć wchodzili do niej nie tylko narodowi demokraci, ale bezpartyjni oraz realiści. Zależnie więc od programu politycznego oceniano u nas w kraju Komitet. Nie szczędzili mu zarzutów zwłaszcza ci, którzy sami przegrali swój program, nie czując, jak dziwnie w ich ustach wygląda krytyka, boć w razie gdyby za ich hasłami poszło społeczeństwo, gdyby się im nie było oparło, a narzucających się na wodzów nie usunęło, sprawa Polski byłaby zgoła inaczej wyglądała, trochę chyba mniej pomyślnie, niż się dziś przedstawia.

Jeśli wokół Komitetu Narodowego wytworzyło się sporo niechęci także na gruncie paryskim, jeśli Komitetowi było można niejedno zarzucać, to przecież są to wszystko drobnostki w stosunku do tych wielkich rzeczy, od których właściwego lub niewłaściwego załatwienia może zależeć sąd o Komitecie. Prawda, że w Komitecie politykiem na wielką miarę był tylko jeden: jego prezes Dmowski — jeśli się pominie p. Paderewskiego, który po wyjeździe do Ameryki w pracach Komitetu nie brał już udziału. Ale choć w Komitecie zasiadali członkowie także dość przeciętni inteligencyą, to jednak nie brakło wśród niego i ludzi dużych zdolności i dużego rozumu, a wszystkich bez wyjątku odznaczała wielka miłość

Ojczyzny, szczere oddanie się jej sprawie, połączone nieraz z ofiarnością osobistą, a bardzo często z wytężoną pracą. Pewnej wyłączności, o którą tak oskarżano Komitet, było bezwątpienia trochę; lecz trudno przecież odmówić prawa tym, którzy wygrali jedno z największych narodowych zwycięstw, iż domagali się, by wierzono przedewszystkiem w ich siły, zdolności i szczęśliwą gwiazdę, i nie ustępowali, by zrobić miejsce innym, którzy — przez cały czas wojny lub znaczny jej okres — inną, złą grali politykę, a potem zgłaszali się do tamtych z pretensyą prostą i jasną, ale naiwną i naprawdę nieprzyzwoitą: »ôte toi, que je m'y mette«. Dziwną rzeczą również było żądać zmiany pierwotnego programu tego grona ludzi, które go zasadniczo wygrało, nim taka zmiana okazała się bezwzględnie konieczną. Żądać można było ustępliwości tylko o tyle, o ile chodziło o wspólne działanie, jeśli ono mogło być z korzyścią dla sprawy. I w tym kierunku nie można zarzucać Komitetowi bezwzględnej jakiejś wyłączności, gdy przecież w swoje grono dopuścił reprezentantów innych stronnictw, stojących pod wieloma względami na wprost sprzecznych stanowiskach; pod względem jednak współpracy, jeśli nie formalnie, to jednak materyalnie po obu stronach dość dużo wzajemnych występowało niechęci. Ale już zgoła śmieszne były pretensye, by do Paryża sprowadzać i dopuszczać do brania udziału w obradach kongresowych tych, którzy, w oczach koalicyi skompromitowani swoją poprzednią polityką, byliby budzili tylko podejrzenia. Jak niżej będę o tem jeszcze mówić, był w Paryżu, a wy-

stępował zwłaszcza u Francuzów, pewien brak zaufania do Polaków; jakżeby on był silnym, gdyby miano mówić z ludźmi, którzy aż do końca stali po stronie państw centralnych w swej polityce!

Jeśli jednak nawet występowała u członków Komitetu w pewnym stopniu niechęć do współdziałania z innymi czynnikami, zaznaczała się pewna wyłączność, w stosunkach osobistych u niektórych członków pewien górny ton i raziła trudna niektórych dostępność, to drobne mankamenty. By zaś pewne osobistości z jego grona naprawdę szkodzić mogły sprawie polskiej przez to, iż osobiste jakieś miały nieporozumienia z mężami stanu koalicyi, to doprawdy argument taki — o ile te niechęci istniały rzeczywiście, a nie w plotkach dziennikarsko-politycznych — przemawiać może tylko do bardzo niekrytycznych umysłów, nie zdających sobie sprawy z tych potężnych czynników, jakie decydowały o polityce kongresu, gdzie wobec gry idei i interesów, oraz narodowych sympatyi, sympatye osobiste nie mogły mieć żadnego znaczenia lub conajwyżej jakieś nie wchodzące prawie w rachubę.

Nie znaczy to, by nie było w pracy Komitetu, jak i delegacyi, jakichś błędów czy niedokładności. Ale nad wszystkiem góruje to, co Komitet potrafił osiągnąć. A osiągnął: uznanie go oficyalne przez państwa koalicyi, doprowadzenie do deklaracyi z 3 czerwca 1918 r. i wprowadzenie Polski w rząd państw koalicyi jako biorącej czynny udział w wojnie, a więc następnie w kongresie. To taka niesłychana zdobycz dla Polski, tak decy-

dująca o jej przyszłości, iż zmazałaby dziesięć razy większą ilość błędów, niż te, które popełnił Komitet według oceny jego nieprzyjaciół.

To, że osiągnęliśmy przez tę wojnę dużo więcej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać, nie jest oczywiście samo przez się zasługą Komitetu. Odbudowę Polski zjednoczonej i niepodległej umożliwiły warunki, których Komitet nie stworzył; ale on te warunki, przez przebieg wypadków dziejowych wytworzone, wykorzystał tak, że lepiej nie można było. Polityka zawsze przecież działa w pewnych warunkach, a jej zadanie ogranicza się do tego, by te warunki w odpowiedni sposób zużytkować.

Za najważniejszy czyn Komitetu uważać należy, iż doprowadził do deklaracyi mocarstw koalicyjnych z 3 czerwca 1918, do jej wydania więc przed zakończeniem wojny, przed rozpoczęciem kongresu. Może i bez zabiegów Komitetu byłaby powstała Polska zjednoczona jako wynik gry wielkich czynników polityki świata w czasie kongresu; tego ani twierdzić bezwzględnie ani bezwzględnie zaprzeczać niepodobna, bo niepodobna udowodnić czegoś, co mogło się stać, gdyby... Ale to, że już wcześniej — wskutek zabiegów Komitetu — ogłosiły państwa koalicyi, iż uznają za jeden z celów wojny utworzenie Polski zjednoczonej i niepodległej, miało dla nas bezcenną wartość, usuwało bowiem z pod możności dyskusyi kongresu kwestyę, czy Polska ma powstać, więc wszelkie niekorzystne możliwości. To też uznanie takiej Polski wraz z poprzedniem uzna-

niem Komitetu, stworzenie armii polskiej w obrębie armii koalicyi sprawiło, że Polska mogła zasiąść w rzędzie państw koalicyi na kongresie. W ten sposób miała — przynajmniej w pewnej mierze — głos w sprawie rozstrzygania swoich losów, na jej korzyść też szły wszelkie postanowienia, ogólnie na oku mające sprzymierzeńców. Kto wie, kto widział tam, w Paryżu, jak patrzano już nie na wrogów, ale na neutralnych — bon mot było we Francyi: neutres-pleutres (tchórze), a naprawdę niebardzo na nich inaczej patrzano, jak na boches'ów — ten zrozumie, co znaczyło dla nas, żeśmy dzięki polityce Komitetu weszli w rząd państw koalicyi.

III.

Delegacya polska i Biuro prac kongresowych.

Na kongresie przyznano miejsce Polsce; dostała ona prawo, by ją reprezentowało dwóch delegatów pełnomocnych. Jednym z tych delegatów, pierwszym, został oczywiście p. Dmowski; trudno było przypuszczać, by mogło być inaczej. Miejsce drugiego delegata zajął p. dr. Dłuski, jako zastępca właściwego delegata, p. Paderewskiego, który później dopiero przybył do Paryża. Następnie — w kwietniu — mianował rząd polski jeszcze trzeciego delegata, p. Władysława Grabskiego. Albowiem równocześnie mogło występować wprawdzie tylko dwóch delegatów polskich, ale nie koniecznie musiały to być ciągle tesame osoby. Przy zewnętrznych, oficyalnych wystąpieniach zwykle reprezentowali Polskę pp. Dmowski i Paderewski, ale w innych sprawach także pp. Grabski i Dłuski, którzy też również mieli prawo podpisywania pism, wysyłanych urzędownie do kongresu.

Podział pracy między delegatów zależał od ich porozumienia. Sprawy polityczne w zasadzie załatwiali pp. Dmowski i Paderewski, o ile ten bawił w Paryżu; p. Dłuskiemu były oddawane pewne sprawy, np. sprawa Spiżu i Orawy, co uczcił p. Warchałowski wymalowaniem zgrabnego obrazka, przedstawiającego p. Dłuskiego w aureoli jako świętego od tych naszych południowych kresów. P. Grabskiemu przypadł cały dział spraw gospodarczych, gdy na nich nie znali się dość nie-ekonomiści dwaj pierwsi delegaci. Stąd p. Grabski w swoje ręce ujął zwłaszcza sprawy, tyczące się likwidacyi Austryi, tak gospodarczo zawiłe a ważne.

Nazwą delegacyi obejmowano także jednak ogół współdziałających z delegatami na kongresie, tak jak w komisyach kongresowych delegatami nazywano reprezentantów państw, choćby nie pełnomocnych.

Delegacya miała oczywiście sekretaryat, który tworzyło trzech, a właściwie faktycznie dwóch sekretarzy: p. Stanisław Kozicki i dr. Michał Sokolnicki, gdyż p. Zygmunt Chamiec, drugim sekretarzem naznaczony, funkcyi nie sprawował. Wobec niefortunnej organizacyi i dwaj pozostali sekretarze, niewiele mieli w tym swoim charakterze do roboty; sekretaryat zajmował się głównie ostatecznem wygotowywaniem czystopisów pism, które wychodziły oficyalnie od delegacyi, i doręczaniem ich kongresowi, tj. sekretarzowi generalnemu lub właściwym komisyom.

P. Paderewski miał przy sobie w Paryżu osobną kancelaryę, której stosunek do sekretaryatu nie był zdaje mi się ściślej określony. Pozostawali też w stosunku tylko do p. Paderewskiego mający zadania dyplomatyczne pp. Skrzyński, Perłowski, August Zaleski i inni.

Przy boku delegatów pełnomocnych stała »narada przy delegacyi«, zwykle naradą delegacyjną zwana, z kilkunastu osób złożona, uzupełniająca się przez kooptacyę. Przewodniczył jej zwyczajnie z delegatów p. Dmowski, który później przewodnictwo oddał p. Wł. Grabskiemu i nie zawsze na nią odtąd przychodził. Pilnie brał w niej udział p. Dłuski, tylko p. Paderewski z powodu zajęć na naradzie nie zjawiał się. W skład narady wchodzili oczywiście sekretarze delegacyi, kilku członków Komitetu Narodowego (pp. Piltz, Skirmunt, Seyda, Rozwadowski, Wielowieyski, hr. Żółtowski, Bartoszewicz, hr. Łubieński), zaś z Biura Kongresowego jego szefowie (Pułaski i Wierzbicki) oraz ci, którzy zasiadali w komisyach kongresowych lub prowadzili pewne działy Biura (pp. Romer, Olszowski, Kasperski, Chamiec, Kutrzeba, Patek, Rybarski).

Narada początkowo niesłychanie rzadko się zbierała, ledwie raz na miesiąc, i politycznie wówczas nie miała żadnego znaczenia, gdyż wobec istnienia jeszcze Komitetu Narodowego tam roztrząsano także sprawy polityczne w stosunku do kongresu; ograniczała się więc pod tym względem narada do sprawozdań p. Dmowskiego z stanu sprawy polskiej na kongresie. Dopiero po likwidacyi Komitetu Na-

rodowego narada nieco więcej zajmowała się sprawami politycznemi i omawiała je, o ile jej zostały przez delegatów przedłożone; niewiele jej to zabierało czasu i nie dawało szerszej możności do wpływu na bieg spraw politycznych choćby w właściwym jej charakterze nie zobowiązującej delegatów narady, gdy zwyczajnie przypadało jej w udziale tylko wysłuchanie przedstawienia tego, co się stało, względnie co zrobiono. W każdym razie po zwinięciu Komitetu, od drugiej połowy kwietnia, zbierała się częściej, ostatecznie stale dwa razy na tydzień, w niedziele i środy, czego już przestrzegał ściśle p. Grabski.

Ważniejsze funkcye spełniała narada przez to, iż na niej zdawali sprawę zasiadający w komisyach kongresowych członkowie delegacyi, przyczem przedkładali ważniejsze kwestye, by otrzymać dyrektywę. Na naradzie decydowały się też sprawy wnoszenia pewnych żądań do kongresu, ustalał ich tenor, względnie artykułów, których wciągnięcia do traktatu delegaci mieli się domagać. Oczywiście dyrektywy, dawane członkom narady co do ich stanowiska w komisyach, co do przygotowania pewnych pism i t. d., wiązały ich; delegaci pełnomocni związani uchwałami nie byli i nieraz — ze względu na zmianę warunków czy też na inne jakieś okoliczności — inaczej postępowali.

Odkąd narada zaczęła się częściej zbierać, zastąpiła ona w pewnej mierze specyalne konferencye członków delegacyi z delegatami pełnomocnymi w sprawach, które wymagały dyrektywy odpo-

wiedzialnych czynników, przejęła też decydowanie w kwestyach, w których poprzednio rozstrzygały definitywnie specyalne komisye delegacyi.

Częstsze odbywanie narad umożliwiało lepsze skonsolidonowanie działań kół i kółeczek delegacyi. Ale i te posiedzenia były jeszcze za rzadkie, gdy sprawy na kongresie iść poczęły naprzód rwącym wprost pędem, gdy nieraz nie można było czekać już nie kilka dni do posiedzenia narady, ale nawet kilku godzin. Przytem potrzeba się okazała stworzenia organu przygotowawczego w stosunku do narady, względnie wprowadzającego w życie jej postanowienia. A że objawiała się — poniżej szczytów — wielka predylekcya do decydowania wszystkiego kollegialnie, więc pozostało w kwietniu jeszcze jedno kollegialne ciało, t. zw. mała narada delegacyjna. Pod przewodnictwem p. Grabskiego zbierali się codzień o godz. 9 rano: p. Dłuski jako delegat (inni nie brali udziału), obaj sekretarze delegacyi (pp. Kozicki, Sokolnicki), oraz reprezentanci wydziałów: wojskowego (p. Wielowieyski), prasowego (p. Seyda lub p. Marchlewski), wydziału politycznego przy delegacyi (p. Bartoszewicz), Biura Kongresowego (p. Pułaski lub Kutrzeba), delegacyi ekonomicznej (p. Wierzbicki), później także p. Piltz. Od drugiego pobytu p. Paderewskiego w Paryżu narada ta wyznaczała, kto ma iść na codzienną audyencyę do niego o wpół do dwunastej, o ile zachodziła potrzeba porozumienia.

Do tej małej narady należeć miały więc w zasadzie sprawy bieżące delegacyi. Ścisłego rozgrani-

czenia jednak w stosunku do właściwej narady nie było, jak wogóle brakowało jakiegoś dokładniejszego określenia stosunku narady do delegatów. W każdym razie utworzenie małej narady było rzeczą korzystną, choć nie usunęło zasadniczych braków organizacyjnych w delegacyi i choć do licznych posiedzeń jeszcze dodało nowe.

Ogół współpracowników delegacyi — obok właściwych delegatów pełnomocnych — tworzyło Biuro prac kongresowych (Bureau des travaux préparatoires de la délégation polonaise au congrès de la paix), które powstawać zaczęło w Warszawie w listopadzie 1918 r. z inicyatywy byłego marszałka Rady Stanu p. Franciszka Pułaskiego, aż, zorganizowane ostatecznie nieco później, pod tegoż kierunkiem przeniosło się do Paryża, zabierając z sobą szereg specyalistów z różnych działów, w Warszawie zaś pozostawiając dalej ekspozyturę pod kierunkiem p. Karola Lutostańskiego.

Do Paryża podążyła najpierw, już w grudniu, spora garść ekonomistów pod wodzą p. Andrzeja Wierzbickiego, która nazwała się delegacyą ekonomiczną, a na razie była w łączności z Komitetem Narodowym. Gdy przyjechało — 13 lutego 1919 r. — całe Biuro z p. Pułaskim, w skład Biura miała wejść i delegacya ekonomiczna. Że jednak już była ona — i to bardzo dobrze — zorganizowana, sprężyście prowadzona przez p. Wierzbickiego, który nie wchodził prawnie w skład Biura jako wysłany przez Towarzystwo Przemysłowców, zachowała t. zw. »delegacya ekonomiczna« swoją faktyczną oddzielność

w stosunku do Biura. W skład jej wchodzili pp.: Kazimierz Olszowski, prof. Kazimierz Kasperski, Zygmunt Chamiec, Witołd Markowski, Tennenbaum, Kawiński, Zofia Sokołowska, później przybyli prof. Roman Rybarski, Edward Natanson i t. d., przyczem Biuro miało cały szereg sił pomocniczych, młodszych.

W grupie członków Biura Kongresowego w ściślejszem słowa znaczeniu, tj. poza delegacyą ekonomiczną, znajdowali się z prawników początkowo tylko prof. Józef Buzek i piszący te słowa, później przybyli: prof. Antoni Górski, i dr. Szymon Rundstein; z historyków profesorowie: Wacław Sobieski (który wcześniej wyjechał), Władysław Konopczyński, Oskar Halecki; historyk gospodarczy prof. Franciszek Bujak; jako geograf prof. Romer, który jeszcze przed resztą Biura do Paryża się dostał; jako etnograf prof. Kazimierz Nitsch. Z Biurem przybyli dwaj tłomacze dla francuskiego i angielskiego, dr. Folkierski i p. Maciej Wierzbicki, który następnie jednak przeszedł do Komitetu Narodowego. Skład Biura rozszerzał się coraz bardziej; zaraz po przyjeździe członkiem jego stał się prof. Wincenty Lutosławski, który — chcąc być użytecznym — przyjął na siebie skromne obowiązki tłómacza, wchodzili w skład Biura i specyaliści od pewnych tylko kwestyi, jak dla spraw górniczych pp. prof. Zuber i inż. Drobniak, dla spraw pocztowych dr. Dalbor, dla spraw archiwalno - zabytkowych późno przybyli: dyrektor gen. archiwów dr. Paczkowski i dr. Morelowski i t. d. W skład Biura wszedł później dr. Bohdan Winiarski, który po-

przednio był zajęty w Komitecie Narodowym, naodwrót znowu prof. Czekanowski, który współpracował z prof. Romerem, przeszedł następnie do Komitetu. Jako tłómacze działali także pp. dr. Czerny i Francuz p. Mansue.

Między wydziałem ekonomicznym a Biurem nie było ścisłych rozróżnień, w razie potrzeby w pracach Biura brali udział ekonomiści, zwł. p. Olszowski jako prawnik, naodwrót znowu członkowie Biura w pracach wydziału ekonomicznego, najczęściej prof. Buzek, prof. Górski i ja. Na rozmaite posiedzenia zapraszano też osoby z poza delegacyi, które bądź znajdowały się tam w charakterze wysłanników ministerstw w specyalnych sprawach, bądź też z różnych przybywały powodów. Taksamo jak kongres zorganizowany był dość luźnie, tworzono w nim komisye ad hoc w razie potrzeby, podobnie zapraszano na posiedzenie Biura czy delegacyi ekonomicznej z pośród dłużej bawiących w Paryżu, np. dr. Kazimierza Szczepańskiego, który z ramienia ministerstwa handlu prowadził pewien bieżący dział handlowy, lub dr. Artura Benisa, należącego do specyalnej komisyi zakupów wojennych, a także wojskowych, jak admirała Kłoczkowskiego lub podpułkownika Zwierkowskiego, ale i chwilowo bawiących w Paryżu, czy to z kraju przybyłych, czy skądinąd tam zjawiających się, jak np. hr. Ostroróg z Londynu.

Posiedzeń w Biurze nie brakowało. Szersze grono, bo wszystkich członków (poza ekonomistami), obejmowały posiedzenia Biura, zwyczajnie zbiera-

jące się raz na tydzień pod przewodnictwem p. Pułaskiego, gdzie zdawano sprawę z działalności poszczególnych komisyi Biura, względnie omawiano i decydowano sprawy, które nie szły do tych komisyi. Dużo częstsze były posiedzenia delegacyi ekonomicznej, pod przewodnictwem p. Wierzbickiego, omawiające sprawy natury gospodarczej w łączności z kongresem będące, więc przedkładane zwłaszcza przez zasiadających w komisyach kongresowych: odszkodowań, umiędzynarodowień, finansowej i ekonomicznej, ale także wiele innych.

Cały szereg był znowu specyalnych komisyi. Tak istniała komisya dla sprawy umiędzynarodowienia portów, rzek i kolei, odpowiadająca takiejże komisyi kongresowej, więc doradcza dla zasiadających w tejże komisyi: prof. Kasperskiego i piszącego te słowa. W Biurze istniały komisye terytoryalne: 1) dla granic zachodnich, 2) dla granic północno-wschodnich (Litwa i Białoruś), 3) dla granic południowo-wschodnich (Ukraina) i 4) dla Galicyi (przewodniczący prof. Romer); zadaniem ich było głównie opracowanie oficyalnych memoryałów, uzasadniających pretensye polskie, o których niżej będzie mowa. Przed zorganizowaniem Biura zajmował się temi sprawami wydział propagandy Komitetu; potem przejęły je te komisye. Gdy przybyło więcej prawników, zorganizowaną została pod moim kierunkiem komisya prawnicza, która wypracowała szereg projektów prawnych oraz z dobranem licznem gronem współprawników przetłómaczyła w ciągu krótkiego czasu tekst »Conditions de paix« na pol-

skie; nim przyjechało kilku nowych prawników, co pozwoliło zorganizować tę komisyę, często sam prawnicze kwestye musiałem załatwiać, gdy dwaj inni prawnicy byli innemi pracami zajęci. Było jeszcze utworzonych kilka komisyi, które jednak bądź nie mogły, bądź nie potrzebowały rozwijać większej działalności, wspomnę przynajmniej komisyę dla sprawy gdańskiej pod przewodnictwem admirała Kłoczkowskiego; w razie potrzeby zwoływano posiedzenia ad hoc z członków Biura, fachowych w kwestyi, o którą chodziło, np. w sprawach archiwalnych i zabytkowych.

Przy Biurze istniał osobny zakład geograficzno-statystyczny prof. Romera, skąd wychodziły niezliczone mapy i obliczenia statystyczne; osobny też dział utworzono później jako biuro wydawnicze, które objęło całą stronę techniczną druku i tłomaczeń broszur, wydawanych przez Biuro, pod kierunkiem prof. Konopczyńskiego. Rodzaj jakby małego biura prasowego, które zresztą tylko dostarczało pomocy biuru prasowemu Komitetu Narodowego, prowadził przez jakiś czas prof. Sobieski.

W końcu kwietnia czy w maju wytworzono przy delegacyi jeszcze jeden organ: wydział polityczny pod kierunkiem p. Bartoszewicza, w skład którego weszli pp.: Wasiutyński, Czekanowski, Bator i Kobylański. Zadaniem tego wydziału miało być wypracowywanie politycznych memoryałów, wnoszonych do kongresu, względnie ostateczne redagowanie przygotowanych przez Biuro prac kongresowych; większej działalności ten wydział nie rozwinął.

Sekretaryat generalny (naukowy) Biura prowadził prof. Halecki, który też miał pod sobą bibliotekę podręczną Biura, zgromadzoną w Warszawie, oraz zbiór prac rękopiśmiennych, przygotowanych z inicyatywy Biura. Drugi sekretarz, p. Jerzy Fiedorowicz, późno z Warszawy przyjechał. Osobny sekretaryat miała delegacya ekonomiczna (p. Hołyński).

Byłoby niewdzięcznością, gdybym jeszcze nie wspomniał o niestrudzonym w różnorodnych zabiegach, pomysłowym sekretarzu administracyjnym Biura, p. Rafalskim, którego miejsce pod koniec zajął p. Rybiński, oraz o naszych »daktylach«, jak nazywaliśmy zwyczajnie — z francuskiego »dactylographes« — panienki, przepisujące na maszynie, bardzo chętne do pracy, nieraz długo ponad urzędowe godziny, muszące ciężko niekiedy walczyć między obowiązkiem do pracy a pociągiem do przyjemności paryskich, wdziękiem kobiecości obok żon kilku z członków Biura ożywiające męską monotonię naszego hotelu »des Champs Elysées«.

* * *

Rozmaita była robota członków Biura i delegacyi ekonomicznej. Najważniejsze, bo odpowiedzialne stanowisko zajmowali zwłaszcza ci wszyscy, którzy zasiadali w komisyach kongresowych i tam mieli przestrzegać i bronić interesów polskich. Niektóre z tych komisyi pochłaniały w ogromnej mierze czas ich członków, jak najpracowitsza może z wszystkich komisya dla umiędzynarodowienia

portów, rzek i kolei, a wymagały też sporego rudu przygotowania, jak zwłaszcza komisya dla odszkodowań.

Niesłychanie dużo czasu zabierały posiedzenia wewnętrzne w delegacyi, bądź ustalające linie postępowania dla członków komisyi kongresowych (ewent. jako wnioski na naradę delegacyjną, gdy ona się rozwinęła), czy linie zasadnicze dla oficyalnych memoryałów delegacyjnych, bądź dające aprobatę wygotowanym już memoryałom lub ostatecznym tekstom projektów artykułów prawniczych. Krytykowano nieraz, iż za dużo tych wewnętrznych posiedzeń. W pewnej mierze prawdą to było, ale czyż można się dziwić, iż w kwestyach takiej wagi, a przytem trudnych, przy braku doświadczenia na tym gruncie międzynarodowym, na którym trzeba było pracować, chciano każdą kwestyę przed decyzyą dokładnie rozpatrzeć kollegialnie? Pewnej przesady w ilości posiedzeń, z Warszawy rodem będącej, pewnego u niektórych członków lęku przed braniem na siebie decyzyi lub pewnego braku inicyatywy, bezwątpienia nie usprawiedliwi się tem w pełni, ale przynajmniej wytłómaczy.

Poza pracą w komisyach kongresowych, spadającą tylko na część członków delegacyi, poza posiedzeniami, którymi oczywiście nie wszyscy członkowie równie byli obciążeni, przychodziła jeszcze praca indywidualnie bardzo różnie rozdzielająca się między poszczególnych członków. Nie wszyscy równo nią byli obciążeni, nie koniecznie ze względu na ich mniejszą lub większą chęć do pracy, ale

na kwalifikacye, potrzebę ich współdziałania lub ilość współpracowników do pewnych kwestyi. Do wyświetlania historycznych kwestyi było aż za wielu, gdy historykom politycznym przychodzili też z pomocą prawnicy i ekonomiści, stąd, chcąc być więcej użytecznymi, historycy brali na siebie inne obowiązki: prof. Konopczyński prowadzenie technicznej strony wydawnictw, prof. Halecki — obok sekretaryatu generalnego — sekretaryat Towarzystwa miłośników ligi narodów, prof. Sobieski czasowo pomoc w dziale prasowym. Najwięcej mieli do czynienia ekonomiści, wcale liczni, prawnicy, których aż prawie po sam koniec było za mało, oraz niestrudzony geograf, prof. Romer. Etnograf, prof. Nitsch, bardzo potrzebny, przez czas jakiś silnie obarczony, miał znowu chwile wypoczynku; specyaliści do pewnych kwestyi, np. górniczych lub pocztowych, jedynie od czasu do czasu byli potrzebni, o ile więc nie przyjeżdżali tylko na czas pewien; gdy takie właśnie sprawy występowały, mieli czasu wolnego aż nadto.

Indywidualna praca w domu nie ograniczała się do spokojnego pisania memoryałów czy projektów prawnych lub broszur; trzeba było w razie potrzeby na gwałt poprostu dostarczać pism i not, przeważnie krótkich, skondensowanych w treści, czy to dla oficyalnego wnoszenia do kongresu, czy to dla użytku naszych delegatów lub polityków koalicyi i ich ekspertów. Nerwowa to była praca, wymagająca dokładnej znajomości rzeczy, a przytem ogromnej uwagi, by, nie mijając się nigdy z prawdą, czego się przestrzegało bardzo ściśle, nie

zaszkodzić linii politycznej naszej delegacyi, z nią się nie rozejść; tem trudniejszą było to rzeczą, iż często brakowało — z powodu wad w organizacyi delegacyi — odpowiednich dyrektyw politycznych, niezbędnych przy takiej pracy. A drobne noty ogromne nieraz miały znaczenie, gdy wielcy zwłaszcza politycy nie mieli czasu na czytanie dłuższych wypracowań, a może i ochoty.

Jeśli takie noty miały przeważnie charakter nie oficyalnych oświadczeń delegacyi, ale prywatnych komunikatów, to osobiste zetknięcie — poza przedstawieniami pewnych kwestyi w ciałach kongresu i udziale w jego komisyach — już zgoła należały do kategoryi towarzyskich stosunków, choć tak donioslych dla samej sprawy. O ile nawet przybierały formę wykładów, to — przecież w związku z obiadem lub śniadaniem. Ale rzadkie były takie wypadki; poza Amerykanami, chcącymi do gruntu poznać pewne kwestye, inni do słuchania takich wykładów zgoła nie okazywali chęci, a próby czynione całkiem zawiodły. Formą zwyczajną — była pogawędka przy odwiedzinach, a najczęściej przy zastawionym stole. Tak delegaci nasi, pp. Dmowski i Paderewski, stykali się z mężami stanu koalicyi, u szczytów stojącymi; tak znowu członkowie Biura śniadali, obiadowali i — rozmawiali z członkami innych delegacyi, ekspertami, jak oni.

Nie na zewnętrzne działanie obliczone były zebrania przy herbacie, które zainicyował p. Pułaski w jakiś czas po umieszczeniu się Biura w hotelu des Champs Elysées (rue de Balzac 3); miały

one skupiać przy sposobności odczytów Polonię, w Paryżu będącą, bez względu na przynależność partyjną. Przychodzili też na nie stale w Paryżu osiedli: nestor polski, p. Władysław Mickiewicz, dr. Motz i wielu innych. Mówił na tych zebraniach p. Wierzbicki o położeniu gospodarczem Polski, prof. Halecki o lidze narodów, dr. Winiarski o projekcie konstytucyi polskiej, dr. Dłuski o wrażeniach z oswobodzonego Wilna, prof. Górski o zadaniach gospodarczych Polski, zdawali sprawę delegaci na zjazd międzynarodowy w Brukseli. Dobra była myśl skupiania nieco rozbieżnych elementów przy swobodnej pogawędce, i te wieczory pozostawiły po sobie przyjemne wrażenia.

* * *

W postępowaniu delegacyi jako jej cechy znamienne można dwie podkreślić.

Pierwsze — to niestawianie żądań przesadnych, ale tylko rzetelnych, znaczy takich, które odpowiadają naszemu poczuciu, iż ich spełnienie należy się słusznie narodowi i państwu polskiemu. Należy to podkreślić jako cechę silnie przeciwstawiającą Polaków niektórym innym narodom, które inną szły drogą; dość wskazać na Czechów, na ich zachłanność na to, co nie ich, na szereg niesłychanie daleko idących, wprost dziwacznych postulatów, jeśli choćby jaki z nich mogli mieć zysk; szli oni na t. zw. u nas w Polsce krakowski targ, żądali bardzo wiele, aby opuszczać często szybko

i dużo, zadowalać się cząstką, a potem oświadczać, iż więcej nie chcieli. Tego rodzaju droga naturze polskiej nie odpowiada, bo obcą jej łapczywość na zysk, pozbawiony podstawy, choćby go można osiągnąć. Można też mieć wątpliwości, czy tego rodzaju metoda, wielkich żądań i godzenia się potem na znaczne redukcye, jest — zwłaszcza na dalszą metę — pożyteczną, gdy budzi oczywiście podejrzenie co do rzetelności wogóle stawianych postulatów.

Za to, nie egzagerując w żądaniach, delegacya polska, gdy raz jakie postawiła, twardo przy nich stała, nie godząc się łatwo na ustępstwa czy kompromisy. Rzecz jasna, iż tak twardo stać przy swoim programie, bronić go szczerze, można tylko wtedy, jeśli on nie jest przesadny, jeśli przez swoją wewnętrzną uczciwość ma odpowiednią też siłę.

Drugą cechą w pracy delegacyi było to, iż wszelkie przedstawienia przez nią stosunków były zgodne z prawdą, ścisłe, dokładne. I tu znowu zaznaczała się różnica postępowania Polaków a niektórych innych narodów. Nieraz posługiwano się na kongresie przekręcaniem faktów, podawaniem fałszywych cyfr i t. d. A już w dziennikach i broszurach roiło się poprostu od kłamstw. Na zachodzie znajomości spraw wschodniej Europy nie ma; znały je na kongresie nieliczne osoby, a dopiero przez wysyłanie misyi umożliwiono poznanie tych stosunków większej ilości ludzi. Jak mało wiedziano o bardzo ważnych sprawach, dowodem choćby sprawa Śląska cieszyńskiego; Lloyd George, tłomacząc w lon-

dyńskiej izbie posłów, iż sprawy kongresowe wolno idą, wskazywał na to, że niespodziewanie powstają kwestye trudne w sprawach zgoła nieznanych, i pytał: czy kto z panów przed wojną słyszał co kiedy o Cieszynie? Zapytanie takie wskazywało, iż zdaje się i Lloyd George o nim nie wiedział dawniej. Głośnem było w delegacyi polskiej zapytanie jednego z cudzoziemców, referenta spraw polskich przez czas dłuższy, czy — wysokie są góry na Górnym Śląsku? Istnieniem bowiem gór tłómaczył sobie nazwę Górnego Śląska (Haute Silesie). W takich warunkach śmiałe kłamstwo mogło mieć nieraz powodzenie.

Tą drogą nigdy Polacy nie szli. Ich też przedstawienia zyskały ostatecznie pełne uznanie, że są rzeczowe, dokładne. Kłamstwo nie ostoi się na dłuższą metę.

* * *

Kiedyś dopiero historya zestawi całość zabiegów delegacyi na kongresie w sprawie polskiej, lepiej mogąc znać przebieg wypadków, niż najbardziej naoczny świadek, ograniczony tylko do widoku pewnej części całego tego placu politycznych ścierań się i walk; wszakże historyk będzie znać nie tylko to, co jawnie na zewnątrz wychodziło z każdej delegacyi, ale i całą tajną ich robotę wewnętrzną, i potajemne prywatne porozumiewania się delegacyi, więc całą grę polityczną, mogąc wprost badać tajniki motywów, nie odgadywać je tylko

z zewnętrznych czynów i słów. Nie byłoby też obecnie rzeczą wskazaną odkrywać wewnętrzną robotę polską. By jednak choć częściowo zilustrować ją — zaznaczam, że bardzo częściowo, bardzo fragmentarycznie, jedynie dla przykładu — zestawię tu dwie grupy działalności delegacyi. Będą one wskazywały wysiłki i zdobycze członków delegacyi poza działalnością właściwych delegatów pełnomocnych, która przejawiała się w politycznych głównie rezultatach, tyczących się terytoryów polskich; tej ostatniej działalności nie tykam zgoła — parę słów poświęcę jej dopiero w zakończeniu tych uwag i rozważań.

Te działy, które chcę omówić, tem się odznaczają, że nie są tajne, że odrazu się ujawniała w nich praca Biura, lub też — na razie prowadzona tajnie — ujawniła przecież w chwili ogłoszenia traktatu z Niemcami.

Pierwszy dział — to publikacye, które wychodziły z Biura. Pisano je tam, na miejscu, gdzie można było lepiej poznać zapatrywania obcych, o których chodziło, odpowiednio więc dobierać argumenty. Podręczna biblioteka dostarczała materyału, ale nie byłaby wystarczała; ogromną też pomocą, może główną nawet podstawą ogłaszanych broszur, były zawczasu przez Biuro kongresowe przygotowane referaty w liczbie kilkuset. Jeszcze w grudniu 1918 r. w Biurze zestawiono spis wszystkich zagadnień, łączących się z sprawą polską, o ile można było przewidzieć, jakie mogą się nasunąć na kongresie, więc zwłaszcza tyczących się terytoryów i gra-

nic Polski, ale także i kwestyi gospodarczych; do opracowania poszczególnych tematów zaproszono kilkudziesięciu uczonych, specyalistów, tak, by każde zagadnienie mogło być rozpatrzone wszechstronnie, w zwięzłych wywodach, w zasadzie nie ponad arkusz wynoszących. Tak np. do kwestyi Gdańska było przeszło dwadzieścia referatów. Ten materyał, który później zestawiono w katalogu, krótko streszczającym każdą rozprawę, oddany został do dyspozycyi członków Biura, którym wolno było z niego swobodnie korzystać. Oczywiście, iż przed ogłoszeniem prace członków Biura dostawały aprobatę ze względu na polityczny swój kierunek. Członkowie Biura bowiem oczywiście nie prowadzili swojej polityki, co wyraźnie zaznaczone zostało po przyjeździe Biura do Paryża; podporządkowali się pod tym względem bezwzględnie delegacyi, a choć mogły być różnice zdań, to występowały one na wewnątrz, a na zewnątrz linia polityczna była jedna — ta, którą określali odpowiedzialni za politykę delegaci pełnomocni. Tak samo do tej linii dostosowane były wszystkie prace, z Biura wychodzące; porozumienie się pod tym względem z braku czasu delegatów nieraz ociągało ogłoszenie już gotowych memoryałów czy rozpraw.

Publikacye bądź miały oficyalny charakter, bądź też wychodziły tylko pod nazwiskami autorów. Dla pierwszych ustalono ładny wygląd zewnętrzny broszur in 4° w białej okładce, przewiązanych czerwoną tasiemką na grzbiecie. W tytule podawano jako wydawcę: Délégation polonaise à la

conférence de la paix lub — później — Commission polonaise (także: Bureau) des travaux préparatoires au congrès de la paix.

Na kongresie nie lubiano dużo czytać; starano się więc o zwięzłość, a większe rozprawy w ten sposób ujmowano, iż na początku umieszczano referat zasadniczy, ogólny, poczem szedł szereg anneksów, tyczących się poszczególnych kwestyi.

Cztery ogłoszono zbiorowe publikacye, ujmujące syntetycznie objaśnienia postulatów polskich.

Pierwsza ukazała się pod tytułem: Questions relatives aux territoires polonais sous la domination prussienne (Paris, mars 1919). Podpisała ją cała komisya terytoryalna dla kresów zachodnich Biura z hr. Janem Żółtowskim jako przewodniczącym na czele; autorów poszczególnych rozdziałów nie wymieniano w tej broszurze. Rozpoczyna ją przedstawienie systemu germanizacyjnego, w anneksach omówiono fałszowanie statystyki niemieckiej, ilość ludności zależnej bezpośrednio od rządu pruskiego, do czego dołączono mapę rozsiedlenia tej ludności zależnej, na końcu dodano dwa historyczne anneksy, o germanizacyi jeszcze przez Fryderyka II i jego bezpośrednich następców, oraz o stosunku Polski do Prus zachodnich i wschodnich, specyalnie zostały zaś omówione w niej w osobnych ustępach: sprawa gdańska (przyczem dodano szereg bardzo ciekawych allegatów, nawet w reprodukcyach), wraz z sprawą Elbląga, sprawa protestantów w Polsce, oraz sprawa Górnego Śląska ze względu zwłaszcza na jego związek gospodarczy

z Polską. Rozdział o Gdańsku, zwięźle, świetnie opracowany przez prof. Bujaka, został wydany także z osobna, jak również rozdziały: o protestantach, opracowany i w odbitce podpisany przez prof. Buzka, i o Śląsku (także po ang.). Inne rozdziały pisane były przez pp.: Romera, Buzka, Konopczyńskiego i innych.

Specyalnie Galicyi został poświęcony: Mémoire sur la Galicie (Paris, mars 1919 — ale wydany później), najbardziej jednolity, bo prawie cały jednego pióra, prof. Romera, głównie operujący oczywiście statystyką i geografią, z drobnymi tylko historycznymi anneksami, moimi i prof. Haleckiego.

Najobszerniejszym z wszystkich memoryałów jest ten, który tyczy się granic wschodnich, gdy najwięcej w nim trzeba było wyjaśnić kwestyi bardzo złożonych: Les confins orientaux de la Pologne (Paris, mai 1919). Syntentyczny wstęp o Litwie i Białej Rusi został napisany przezemnie, uzupełniony przez ustęp o Ukrainie prof. Haleckiego; w anneksach omówiono unię polsko-litewską (Halecki), prześladowania i upośledzenia żywiołu polskiego po rozbiorach (Kutrzeba), bardzo obszernie statystykę ludności, z dodaniem szeregu tablic i map (Czekanowski), węzły gospodarcze, łączące te kraje z Polską, nie z Rosyą (Tennenbaum), oraz działalność polską na polu szkolnictwa niegdyś i w czasie wojny (Konopczyński), i dodano wyjaśnienie, co znaczy nazwa Ukrainy (Halecki).

W pewnej ilości egzemplarzy wyszedł ten memoryał pod tymsamym tytułem z wstępem hr. Łubieńskiego i z mniejszą ilością anneksów. Niektóre

anneksy, jak np. o prześladowaniu Polaków i o statystyce ludnościowej, ogłoszone też zostały osobno.

Wadą przy układaniu tych memoryałów było, iż nie ustanawiano dla nich redaktorów — z wyjątkiem dla galicyjskiego — ale dokonywano redakcyi kollegialnie; stąd robota nad nimi przewlekała się i zabierała ogromnie dużo czasu, ale ostatecznie temu systemowi roboty tylko drobne można przypisać usterki memoryałów pod względem ich jednolitości. Z politycznych względów z trudem do końca wreszcie doprowadzono ostatni z wymienionych tu memoryałów, omijający, ze względu na ścieranie się w Polsce i w delegacyi zdań, wyraźne postawienie terytoryalnych roszczeń.

Uzupełnieniem niejako tych trzech dużych memoryałów terytoryalnych były dwa mniejsze: o Śląsku cieszyńskiem (La question de Silesie de Cieszyn, prof. Buzka) i o Spiszu, Orawie i Czaczy (Territoires polonais en Hongrie septentrionale, Paris, avril 1919, z mapami; prof. Kazimierza Nitscha).

Delegacya ekonomiczna zaś ogłosiła obszerny: Mémoire sur la situation économique de la Pologne unifiée et sur l'urgence de donner satisfaction à ses besoins économiques (Paris, février 1919, także po ang.), uzupełniony przez bardzo żmudny, rojący się od cyfr, a przejrzysty, anneks, wykazujący zapotrzebowanie polskie w chwili obecnej co do aprowizacyi, przemysłu, rolnictwa, kolei i finansów, oraz podający krótki przegląd jej zasobów gospodarczych. Osobny krótki memoryał poświęciła nafcie (L'industrie du petrole en Galicie, Paris, mars 1919).

Obok tych urzędowych memoryałów wydano szereg broszur. Tak prof. Lutosławski na podstawie materyałów Biura opracował sprawę gdańską i Mazowsza pruskiego (Gdańsk and East Prussia), oraz Litwy i Białej Rusi (Lithuania and White Ruthenia, Paris 1919), obie w języku angielskim; dwie broszury poświęcono historyi sprawy żydowskiej w Polsce: La question juive en Pologne (Kutrzeba, Cracovie 1919) i obecnemu jej stanowi u nas (prof. Bujaka, franc. i ang.); krótką statystykę Galicyi zestawił przejrzyście prof. Romer (Statistics of Galicia, Paris, may 1919); wydano rozprawę p. Panenkowej p. t. La Galicie, pays polonais; przezemnie zostały omówione prawa Rosyi do Litwy i Białej Rusi (Droits de la Russie sur la Lithuanie et sur la Ruthénie-Blanche, Paris, mai 1919; The rights of Russia to Lithuania and White-Ruthenia, Paris 1919); wreszcie prof. Stroński zestawił i objaśnił źródłowy materyał do stosunków Ukraińców galicyjskich z Niemcami i ich działalności w Galicyi (Documents ruthéno-ukrainiens, Paris, mai 1919, jako wydawnictwo: Bureau polonais de publications politiques), a prof. Zuber objaśnił stosunki naftowe w Galicyi (ang.).

Ze względu na potrzebę dostarczania wiadomości o polskich stosunkach zwłaszcza Anglikom, postanowiono rozsyłać odpowiednie broszury po Anglii w ilości po 30.000 egzemplarzy; pomysł ten wyszedł od prof. Lutosławskiego i przez niego też energicznie był przeprowadzany w praktyce. Tak rozesłano po Anglii broszurę prof. Lutosławskiego

o Gdańsku i Prusach wschodnich, moją o prawach Rosyi do Litwy i Białej Rusi i prof. Bujaka o kwestyi żydowskiej w Polsce.

Dla przykładu, jak takie broszury pisano, podaję w dodatkach w języku polskim moją broszurę, wyżej wspomnianą, o prawach Rosyi do Litwy i Białorusi.

Biuro częściowo dostarczyło nieco materyałów świetnemu publicyście francuskiemu p. Henrykowi Grappinowi do jego doskonałych broszur o Litwie, Galicyi i Śląsku cieszyńskim.

* * *

Drugą grupę wysiłków członków delegacyi można częściowo zestawić, przeglądając przepisy traktatu. Pomijam wszelkie postanowienia, tyczące się terytoryów, Polsce przyznanych, jak to już wyżej zaznaczyłem; przechodzę tylko inne przepisy.

Cały szereg korzyści z traktatu przypadł Polsce jako członkowi koalicyi; oczywiście w zredagowaniu przepisów, od których stylizacyi mogła zależeć także większa lub mniejsza korzyść Polski, brali udział polscy członkowie komisyi kongresowych; lecz tego ich udziału z traktatu wyczytać się nie da, wykażą go kiedyś protokoły komisyi czy zapiski o przebiegu tych obrad. Ale są w traktacie specyalne przepisy Polski się tyczące, jej zapewniające pewne prawa; nie potrzeba być bardzo domyślnym, by przypuścić, iż takie przepisy zostały wprowadzone wskutek specyalnych wniosków lub starań polskich uczestników komisyi.

Przyjrzyjmy się takim postanowieniom traktatu.

1. Traktat postanowił (art. 254), iż państwa, którym zostały odstąpione terytorya, należące przed wojną do cesarstwa niemieckiego, mają przejąć na siebie część długu cesarstwa według jego stanu z 1 sierpnia 1914 r., a to w stosunku dochodu z tych odstąpionych terytoryów do dochodów cesarstwa; jakie dochody będą wzięte za podstawę obliczeń, to oznaczy komisya odszkodowań. Tożsamo ma się stać z przejęciem części długów tego państwa niemieckiego, do którego odstąpione terytoryum należało. Polska więc z racyi przejścia ziem, które podlegały Prusom, będzie musiała zapłacić odpowiednie części długu przedwojennego Rzeszy niemieckiej oraz Prus, podobnie jak Belgia, Dania i Czechy (ale nie Francya, gdyż ją zwolniono od płacenia długów za Alzacyę i Lotaryngię). Otóż traktat zawiera co do Polski specyalny przepis, i to dwukrotnie powtórzony. W art. 255 postanowiono, iż »w stosunku do Polski będzie wykluczona od przepisanego przez art. 254 przejęcia długu ta jego część, co do której Komisya odszkodowań ustali, że powstała wskutek środków, przedsięwziętych przez rządy niemiecki i pruski w celu przeprowadzenia kolonizacyi niemieckiej w Polsce«. Tożsamo powtarza także art. 92, alinea 2. A więc Polska potrąci z udziału, który ma przejąć w długu pruskiem, miliony z tytułu pożyczek na kolonizacyę. Ile wyniesie ta kwota, to będzie oczywiście kwestyą żmudnych rachunków.

Nie wiem pozytywnie, jaką była historya tego specyalnego przepisu, kto go uzyskał; ale chyba tylko od Polaka mógł wyjść odpowiedni wniosek.

2. Państwa, które otrzymają od Niemiec terytorya, nabywają według art. 256 na własność »wszelkie dobra i wszelką własność Rzeszy lub państw niemieckich, położone w obrębie tych terytoryów«, jak również prywatne dobra byłego cesarza Niemiec i rodziny cesarskiej; za dobra te należy się jednak zapłata równowartości, która pójdzie na fundusz odszkodowań. Że należeć się ma zapłata za te dobra, to ustalono dopiero w ostatniej chwili; Polacy zajmowali ciągle to stanowisko, iż dobra i inna własność państwowa należą do tego, kto rządzi, i że za nie żadna zapłata się nie należy. Na korzyść Niemiec, by ulżyć ciężarom, jakie mają ponosić na rzecz odszkodowania, wprowadzono obowiązek zapłaty równowartości dóbr państwowych w terytoryach odstąpionych — wbrew praktyce prawa międzynarodowego, przyjmującego w zasadzie, że dobra takie przechodzą wraz z terytoryum bez żadnej odpłaty. Jedyne zdaje się dwa od tej reguły wyjątki, to zapłata przez Austryę Turcyi za domeny Bośni i Hercogowiny przy aneksyi z r. 1908, będąca poprostu odczepnem dla łatwiejszego jej uspokojenia, oraz zastrzeżenie w traktatach państw bałkańskich z Turcyą z r. 1913, iż za dobra państwowe, przejęte przez te państwa, będzie dane wynagrodzenie, zastrzeżenie, które w praktykę życia nie zostało wprowadzone.

Zmiana praktyki, tworzącej zasadę prawa mię-

dzynarodowego, przedewszystkiem wypadła na naszą niekorzyść, gdyż co do Belgii i Francyi zastrzeżono w tymże artykule, iż za objęte dobra i własność państwową płacić nic nie będą.

Ale przecież udało się — w ostatniej chwili, przed ustaleniem »Conditions de paix«, gdy były już w druku, i wręczeniem ich Niemcom — uzyskać dodanie w dziale o Polsce w art. 92 takiej klauzuli: »Ustalając w wykonaniu artykułu 256 części VIII (odszkodowania) niniejszego traktatu [1]) wartości dóbr i własności cesarstwa lub państw niemieckich, przechodzących na własność Polski równocześnie z oddanemi jej terytoryami, Komisya odszkodowań będzie obowiązana wyłączyć z tej oceny budynki, lasy i inną własność państwową, które należały do dawnego Królestwa polskiego; nabyte one zostaną przez Polskę jako wolne i swobodne od wszelkich ciężarów«.

A więc przynajmniej tyle zyskano, iż, musząc płacić za koleje, kopalnie i t. d., będące własnością państwa pruskiego czy niemieckiego, przecież nie zapłacimy za majątki, które w dawnej Polsce były starostwami, tenutami czy królewszczyznami. Będą to znaczne obszary, zwłaszcza lasów w Prusach zachodnich. O ile więc rząd pruski sprzedał czy rozdarował takie dobra, przepadły one dla naszego państwa; a zwłaszcza darowizn było bardzo dużo. Jeśli jednak pozostały one w jego ręku do dziś, to odzyskujemy je darmo; a mają nam być oddane jako »wolne i swobodne od wszelkich ciężarów«

[1]) Błąd! powinno być: części IX (przepisy finansowe).

(francs et quittes de toutes charges), co powinno zabezpieczyć nas od jakichś pretensyi np. z tytułu melioracyi i t. d.

Wiadomą w delegacyi było rzeczą, że to częściowe przynajmniej ochronienie nas od dotkliwego ciężaru, idącego na miliony, było wyłączną zasługą zapobiegliwości, energii i przytomności umysłu p. Kazimierza Olszowskiego.

3. Stosując ogólnie stylizowany artykuł 339 specyalnie i do Polski, możemy stwierdzić prawa, jakie Polska przez traktat nabywa co do statków na Odrze. Polska może zażądać od Niemiec wydania jej takiej ilości statków i holowników, zaimmatrykulowanych w portach Odry, tak rządowych, jak będących własnością prywatną, jaka przypadnie na tę część Odry, która Polsce się dostanie, a to w stosunku do ruchu na tym jej odcinku przed wojną; że ten ruch był w portach, które Polsce powinny po plebiscycie przypaść, bardzo znaczny (w Koźlu, ob. Romer, Rocznik polski tabl. 138), znaczna więc też ilość statków i holowników będzie się Polsce należeć. Jak wielka — to ustali arbiter, względnie ustalą arbitrzy, wyznaczeni przez Stany Zjednoczone. Niemcy oddać mają statki w 3 miesiące po zażądaniu tego przez Polskę, a statki muszą być »zaopatrzone w odpowiednie urządzenia i przyrządy, znajdować się w dobrym stanie, być zdolne zapewnić przewóz towarów a mają być wybrane z pośród ostatnio zbudowanych«. Polska tych statków nie dostanie darmo, zapłaci za nie według szacunku arbitrów, jednakże cena nie może »w ża-

dnym wypadku« przewyższać wartości pierwotnych kosztów budowy, więc będzie w stosunku do obecnych kosztów budowy statków bardzo niską. Wygodną rzeczą jest i to, że za te statki zapłaci Polska nie każdemu z właścicieli, ale łącznie do funduszu odszkodowań, a właścicieli prywatnych, którzy statki utracą, będzie musiał wynagrodzić rząd pruski. W ten sposób Polska dojdzie do flotyli na Odrze, która będzie się przedstawiała jako ważna arterya ruchu handlowego dla naszego gospodarstwa społecznego.

Przepis ten uzyskali reprezentanci polscy w komisyi kongresowej dla umiędzynarodowienia portów, dróg wodnych i kolei; uzyskanie nie było zbyt trudne, gdyż zażądano dla Polski praw takich, jakie Komisya już przyznała co do Łaby Czechom, chodziło więc o zastosowanie analogii; w ostatecznej redakcyi, która przeszła do traktatu, ściągnięto artykuły, tyczące się Łaby i Odry, razem w jeden i nadano mu ogólną stylizacyę, tak, że tyczy się on wszystkich rzek umiędzynarodowionych, z których Niemcy ustępują, — a zatem także i Niemna, co dla Polski również może mieć znaczenie.

4. W tejże Komisyi postanowiono umiędzynarodowienie Odry i Niemna, rzecz ważną i korzystną dla Polski.

5. Art. 371 traktatu postanawia, iż na odstąpionych terytoryach mają Niemcy oddać wraz z liniami kolejowemi urządzenia i instalacye do nich należne, a to w całości i w dobrym stanie, oraz tabor kolejowy, odpowiadający takiej sieci kolejowej

lub jej części. Ten tabor ma być oddany według inwentarza, ostatniego z przed 11 listopada 1918 r. (daty rozejmu), w stanie »normalnego utrzymania«; również mają być oddane zapasy, ruchomości i narzędzia, przynależne tym liniom.

Artykuł ten, ogromnej doniosłości i wagi, nie kosztował trudów polskich członków Komisyi dla umiędzynarodowienia portów, dróg wodnych i kolei, w której go ułożono, gdyż przyszedł już w doskonałej redakcyi jako projekt, tyczący się wszystkich terytoryów ustępowanych przez Prusy, więc tak Francyi, jak Polsce.

Ale na końcu tego artykułu jest dodatek, ważny dla Polski, uzyskany przez polskich członków Komisyi z ich inicyatywy: »Przepisy powyższych paragrafów zostaną zastosowane do linii kolejowych w dawnej Polsce rosyjskiej, przebudowanych przez Niemcy na tor szerokości niemieckiej; linie te mają być traktowane podobnie, jak części oddzielone od sieci kolejowych państwa pruskiego«.

Wniosek, przezemnie zaproponowany i ułożony, a przedstawiony Komisyi przez prof. Kasperskiego, szedł dalej — żądał wogóle przyznania nam taboru dla wszystkich linii w Polsce rosyjskiej według tych zasad, co dla terytoryów odstąpionych. Lecz nie został w tej formie przyjęty; uznano przecież słuszność żądań (odsyłając inne do komisyi odszkodowań), by Niemcy zapewnili nam tabor na tych liniach, na których zmienili tor szeroki, rosyjski, na wąski, obcinając nawet progi, by uniemożliwić kiedy[illegible] i aodwrót przerobienie go znowu na

szeroki, — a przez to uniemożliwili Polsce zużytkowanie tego taboru, któryby nam Rosya miała oddać dla tych kolei. Linie te, dla których taboru żądać możemy od Niemców — i to bez żadnego wynagrodzenia — obejmują cały obszar okupacyi niemieckiej po brzegu prawym Wisły.

Jeszcze raz zastrzegam, iż jest to tylko częściowy owoc działalności członków komisyi kongresowych, t. j. ten, który można przy czytaniu traktatu wprost wyróżnić jako pochodzący z polskiej inicyatywy. Kto zna bieg spraw w komisyach, w których zasiadali nie tylko reprezentanci głównych państw, ten wie, jak niełatwo przechodziły takie specyalne klauzule.

* * *

Obok Biura kongresowego, oficyalnego organu pomocniczego delegatów, działały w Paryżu w sprawie polskiej i inne czynniki, bądź z pewnemi kompetencyami, przyznanemi im, bądź też ot tak, z dobrej woli. Do pierwszych należeli członkowie lewicy, bawiący w Paryżu, z których pierwsi przyjechali z znanem poselstwem naczelnika państwa Piłsudskiego, a później coraz ich przybywało. Mieli oni swój lokal i mieszkanie osobno, przy rue Lauriston 74. Niektórzy z członków lewicy brali oficyalny udział w pracach delegacyi i Komitetu Narodowego; im też były oddane sprawy pertraktacyi z mniejszymi narodami od wschodu Polski: Litwinami, Estończykami itd. Prócz tego rozwijali także

działalność publicystyczną przez dzienniki; obok dzienników lewicowych mieli członkowie lewicy przystęp do bardzo poważnego pisma »Temps«, które niejednokrotnie pomieszczało wyjaśnienia czy interwiewy, jak np. z pp. Wasilewskim, Filipowiczem i t. d. Zadaniem kół lewicy było zbliżenie się do partyi lewicowych na Zachodzie, na ogół Polsce niechętnych, popierających Niemców ze względu na sympatye dla socyalizmu niemieckiego, oświadczających się też za Rosyą leninowską. Ważne to było zadanie, by te duże i znaczące odłamy polityczne przekonać o słuszności sprawy polskiej, zbić uprzedzenia. Nie mogę jednak nic powiedzieć o tej pracy, gdyż jej bliżej nie znałem.

Na »Lauristonie«, tj. w siedzibie lewicy, odbywały się stale odczyty i pogadanki o ważnych bieżących kwestyach, w poniedziałki popołudniu, na które zapraszano także i nie należących do tego kierunku politycznego. Ciekawe tam nieraz toczyły się dyskusye, jak np. co do naszego stanowiska w stosunku do Ukrainy.

W pewnej mierze oficyalny charakter mieli — choć nie na zewnątrz — reprezentanci terytoryów, czy grup, jak: prof. Szura, bardzo pilnie zabiegający koło sprawy cieszyńskiej, siedzący w Paryżu z ramienia cieszyńskiej Rady Narodowej, a wspomagany przez p. Warchałowskiego, jak chwilowo i innych wysłanników z tej części Polski; pp. Łubieński, Krzyżanowski, Rybiński i Gurowski, reprezentujący oficyalnie nasze północno-zachodnie kresy, czy — krótko zresztą bawiący w Paryżu — działa-

cze orawsko-spiscy: ks. Machay i górale: Borowy i Halczyn i t. d.

Trudno mi coś bliższego powiedzieć o działalności tych licznych osób z polskiej Polonii, które w prywatnym charakterze przebywały w Paryżu; to pewna, że nie zaniedbywali i oni sposobności, by w swoich zetknięciach poruszać sprawę polską. Ciekawą broszurę ogłosił — jako wspomnienia z pod rządów ukraińskich — hr. Józef Potocki. P. Stanisław Szpotański poświęcił broszurę naczelnikowi Piłsudskiemu (Pilsudski et son rôle en Pologne, Paris 1919). Szereg drobnych broszur wydawał hr. Jan Tarnowski, z których ostatnie: La politique de Bismark et la question polonaise i Le traité de paix et la Pologne (obie wydane w Biarritz 1919). Było takich broszur pewnie więcej. Oczywiście pomijam dawniej we Francyi w czasie wojny wydane broszury, poświęcone sprawie polskiej, przez Polaków, ale i przez Francuzów pisane, których jest spory szereg.

IV.

Główne mocarstwa i Polska.

Na kongresie ostateczna decyzya w wszystkich sprawach zależała — jak mówiłem — jedynie od pięciu największych państw, których reprezentanci zasiadali w Radzie najwyższej. Od stanowiska więc tych państw przedewszystkiem zawisło, jaki będzie los Polski. I one musiały się liczyć z faktami dokonanymi, potęga ich jednak była i jest tak wielka, że te fakty nie mogłyby mieć decydującego znaczenia, gdyby ich uznać nie chciały, gdyby pragnęły je zmienić, tak, jak potrafiły zniszczyć, zetrzeć takie fakty, jak pokój brzeski lub bukareszteński. By ocenić więc należycie to, co się stało w stosunku do Polski, by zrozumieć, dlaczego tak, a nie inaczej, wypadły uchwały Rady Najwyższej, trzeba przyjrzeć się polityce każdego z tych wielkich mocarstw, jaką one obrały w sprawie polskiej, starać się zbadać sprężyny tych polityk.

Ale to nie wystarczy jeszcze, by wyjaśnić w pełni polskie decyzye kongresu. Były one wy-

padkową polityk tych państw wobec Polski, różnymi kierowanych motywami, ale wypadkową też siły, jaką każde z tych państw posiadało, boć od tej siły, od wzajemnego stosunku tych państw do siebie, zależało, które przedewszystkiem potrafi swoją polityczną linię narzucić reszcie.

Nie jest to rzeczą łatwą dotrzeć do najgłębszych sprężyn działalności politycznej światowych mocarstw. Nieraz te sprężyny poruszały bardzo różne motory; wystarczy pod tym względem zwrócić uwagę na to, iż na politykę zewnętrzną tych państw oddziaływały bardzo silnie także ich wewnętrzne stosunki, polityka prowadzących mężów stanu w stosunku do partyi politycznych w ich krajach działających, do wypadków, jakie tam się rozgrywały na terenie zdawałoby się zgoła nie mającym żadnych punktów zetknięcia się z Polską. Złożoność tych czynników utrudnia ocenę stanowiska poszczególnych państw, zwłaszcza że czas wojny, szybkość zmieniających się jak w kalejdoskopie wypadków, nie sprzyjają możności dokładnego zdania sobie sprawy z ich wzajemnego oddziaływania. A do tego przyłącza się jeszcze i to, że dyplomacya nie lubi wyraźnie i jasno przyznawać się do właściwych pobudek swego działania, a nawet przeciwnie, często stara się o to, by ukryć właściwe pobudki, a postępowanie swoje na zewnątrz motywuje zgoła inaczej, niż to jest w istocie rzeczy. Trzeba uważnie postępować, by nie dać się uwieść pozorom, by nie wziąć na seryo słów, które są tak często w tych

wypadkach tem, co Francuz określa jako »camouflage«.

Mimo to jednak, iż ta kwestya przedstawia tak wiele trudności, mimo, że nie czuję się dostatecznie przygotowanym, by wydać w tych sprawach sąd pewny, na granitowych wsparty podstawach, gdyż stałem jako członek Biura kongresowego dość z daleka od wielkiej polityki, nie rozmawiałem sam z tymi kilku obcymi mężami stanu, którzy przedewszystkiem ją prowadzili, a nie przeprowadzałem również specyalnych studyów nad temi kwestyami, o ileby na takie studya pozwalały dziś dostępne materyały, przecież spróbuję tu podać ocenę tej polityki mocarstw wobec Polski. I nie mogę usunąć się od tego zadania, boć inaczej nie mógłbym oświetlić żadnej z tych szczegółowych kwestyi, o których chcę mówić; przebieg takich spraw nie miałby dostatecznego uzasadnienia, przedstawienie go byłoby zbiorem szczegółów, niezwiązanych z całością. A wszakże właśnie o to mi chodzi, by w tej książce nieco przynajmniej wyjaśnić ten wielki moment narodzin nowego polskiego państwa, przecież właśnie ta wielka zagadka zaciekawia przedewszystkiem polskie umysły, podnieca do jej przemyślenia. To, co piszę, próba to tylko; ale — sądzę — i ta próba może nie całkiem będzie bez wartości, gdy podstawą moich sądów jest częściowa przynajmniej znajomość przebiegu spraw, gdy wielkie linie polityki odbijały się także i na przebiegu tych kwestyi, w których załatwieniu brałem bezpośredni udział. Czy te moje obserwacye były ścisłe, czy rozumo-

wania, na nich oparte, a uzupełniane ogólniejszą obserwacyą, choć już pośrednią, są usprawiedliwione, to ocenić potrafią ci, którzy odemnie więcej wiedzą, ocenić potrafi w pełni kiedyś historyk, który będzie miał w ręce pełniejszy, w przeważnej mierze dziś niedostępny materyał.

* * *

Wspólnym celem polityki wobec Polski, przyjętym przez wielkie mocarstwa i ogłoszonym światu w akcie z 3 czerwca 1918 r., a będącym rozszerzeniem na nie wszystkie hasła, które prezydent Wilson wyraził w mowie do senatu z 22 stycznia 1917 r., następnie zaś określił w orędziu do kongresu Stanów Zjednoczonych z 18 stycznia 1918 r. w artykule 13. — była odbudowa dawnego państwa polskiego. Według tego artykułu 13. Polska miała objąć jako udzielne państwo terytorya, zamieszkałe niewątpliwie przez ludność polską, i otrzymać swobodny dostęp do morza. Zasada nie mogła więc odtąd ulegać wątpliwości; państwa koalicyi wiązały się przez to wzajemnie, iż wskrzeszą Polskę. Traktat, zawarty z Niemcami na podstawie tychże punktów Wilsona, wprowadził odbudowę Polski w życie z woli tych państw co do terytoryów, które poprzednio znajdowały się pod władzą Niemiec. Co do terytoryów, niegdyś stanowiących część państwa rosyjskiego, wielkie mocarstwa stanęły na stanowisku — które wyraźnie zaznaczyły w traktacie swoim z 28 czerwca 1919 r. z Polską — iż odzyskały one

niepodległość już poprzednio, a to przez zrzeczenie się Rosyi praw do nich w deklaracyi rządu rosyjskiego z dnia 30 marca 1919 r. Traktat z Austryą zapewnia Polsce terytorya polskie, które podlegały Habsburgom, bez określenia jednak jeszcze, w jakich granicach.

To było oficyalne stanowisko koalicyi. Na kongresie nie chodziło już więc o to, czy Polska ma istnieć; ona już istniała, a jej delegaci pełnomocni zasiedli tam odrazu w rzędzie państw koalicyi. Pozostawała jednak otwartą kwestyą jej rozległość, gdy punkt Wilsona, Polski tyczący się, wobec specyalnych warunków rozsiedlenia ludności polskiej w pomieszaniu na kresach z ludnością obcą otwierał szerokie pole interpretacyi, które terytorya są niewątpliwie polskie, a ustęp o wolnym dostępie do morza nie rozstrzygał, jak ten dostęp ma wyglądać, gdzie Polska ma z morzem się stykać, jak prawnie ma być uregulowaną sprawa tego dostępu. Polityka więc mocarstw miała — co do kwestyi terytoryalnych — zająć stanowisko wobec tych nastręczających się zagadnień, co do których rozmaicie punkt Wilsona mógł być interpretowany, zatem co do Mazurów pruskich, czy Śląska pruskiego, co do Galicyi wschodniej, Gdańska i t. d. Polityka tych mocarstw miała też zająć stanowisko co do innych kwestyi, nie terytoryalnych, które Polski się tyczyły. Jeśli co do zasady odbudowy nie było między państwami temi różnicy zdania, to były — w stosunku do tych zagadnień, jeszcze otwartych. Różne też wobec nich zajęła stanowisko polityka Stanów Zje-

dnoczonych czy Anglii, względnie Francyi albo Włoch, by już nie wspominać Japonii, dalekiej, która sprawą polską bliżej się nie interesowała.

Polityką międzynarodową mogą kierować trzy czynniki: idea — sympatya — i interes.

Nie brak u nas ludzi »trzeźwych«, którzy odrzucają uznanie w polityce między narodami idei i sympatyi jako czynników ważkich, a sprowadzają wszystkie jej ruchy do jednej tylko wyłącznej siły: interesu państwa, pojmowanego zresztą rozmaicie, bo zależnie od tych, którzy państwo reprezentują i jego wolę mają prawo i możność wyrażać. Zaprzeczaniu, by w życiu międzynarodowem grać mogły rolę czynniki szlachetnej natury, jak idea i sympatya, a nie wiódł ich zawsze i wyłącznie poziomy interes, przeczą fakty, przeczy w rozlicznych wypadkach historya, choćby Polski. Nie znaczy to oczywiście, by interes nie wchodził bardzo poważnie w rachubę; można śmiało powiedzieć, że interesowi przypada w udziale przemożne znaczenie, że on przedewszystkiem rozstrzyga w stosunkach pomiędzy narodami, u niektórych państw rzeczywiście wyłącznie — dość wskazać na Niemcy; jednakże pierwiastków idealnych z rachuby nie należy także usuwać. Zwykle z mniejszą one działają siłą, ustępują najczęściej tam, gdzie wchodzą w kolizyę z interesem. Silniejsze są wówczas, jeśli interes państwowy nie staje im w poprzek, a tembardziej, jeśli te różne punkty widzenia schodzą się z sobą. Bywa jednak tak, iż taki czynnik szlachetnej na-

tury — nie tyle sympatya, a od sympatyi silniejsza idea — góruje nawet ponad interesem, zwycięża.

Rzadkie to wypadki, lecz lekceważyć ich nie można. Byłoby to takim samym błędem, jak gdyby kto naodwrót, łudząc się pozorem, tam, gdzie ma się do czynienia z ściśle wymierzonym interesem, dał się uwieść słowom, pokrywającym interes płaszczykiem idei czy sympatyi. Trzeźwo trzeba patrzeć na stosunki międzynarodowe; ale rzeczą trzeźwości jest, by nie lekceważyć żadnego z pierwiastków, które wchodzą w grę międzynarodową, każdemu przyznać taką wagę, jaką on ma w gruncie rzeczy.

Wszystkie te trzy pierwiastki wykryć się dają jako doniosłe w skutkach przy tworzeniu Polski przez wielkie potęgi, tak więc przy uznaniu zasadniczem jej racyi bytu, jak i przy ustalaniu na kongresie, już szczegółowem, tego jej bytu warunków.

Chyba nie ma nikogo, ktoby dziś jeszcze odmawiał działaniu prezydenta Stanów Zjednoczonych ideowości, tkwiącej głęboko w całej jego umysłowości, w całej psychice. Tej ideowości złożył sporo dowodów. To nie tylko mami nas jakaś szata apostolska, którą włożył na siebie; słowa jego — to nie gra, która ma kryć właściwe cele i dążenia. Hasło odbudowania całej Polski rzucił już wówczas, gdy jeszcze nie były Stany Zjednoczone w wojnie z państwami centralnemi; niepodobna odkryć w tym jego czynie jakichkolwiek momentów interesu Północnej Ameryki, która z prezydentem się zsolidaryzowała

i potwierdziła jego stanowisko, do swego też programu przyjęła zasadę wskrzeszenia naszej Ojczyzny.

Jeśli idea była pierwszym motywem rzucenia hasła o Polsce zjednoczonej i niepodległej, to równocześnie trzeba na bok usunąć przypuszczenia, jakoby co do innych państw koalicyi deklaracya z 3 czerwca przedstawiała się tylko jako rodzaj interesu wojennego, jeśli użyć można takiego wyrażenia. Przez uznanie Polski niepodległej i zjednoczonej starała się wprawdzie koalicya przeciwdziałać niemieckim próbom pozyskania Polski, wstrzymać Polaków od opowiedzenia się za państwami centralnemi, które już im konkretnie przyrzekły utworzenie Polski; polski program koalicyi znacznie był szerszy w stosunku do programu niemiecko-austryackiego, który głosił tylko fragmentaryczne — i to bardzo fragmentaryczne — odbudowanie Polski, w dodatku jako państwa słabego, najzupełniej od tych sąsiadów zależnego. Przez rzucenie hasła Polski wielkiej, zupełnie wolnej, koalicya dodawała w Polsce otuchy tym, którzy za nią się oświadczali, podkopywała możność przeciągania chwiejnych na stronę zwolenników oryentacyi centralnej, zapobiegała poborowi w Polsce, któryby dostarczył setek tysięcy świeżego żołnierza Niemcom. Akt z 3 czerwca — to było wprawdzie posunięcie na szachownicy wojennej, wskazane wojną, która nakazuje, by przeciwnika osłabiać przez wytwarzanie mu wewnątrz jego kraju trudności; podniecał on opór Polaków w granicach władzy Niemiec, dążności odśrodkowe Polaków w Austryi.

Lecz choć miała ta deklaracya znaczenie także »wojennego aktu«, to stanowiło ono tylko niejako dodatkową jej cechę; byłoby wielkim błędem sprowadzać ją — jak to chciano zrobić — na poziom tego rodzaju środków wojennych, których się używa tylko dla szkodzenia nieprzyjacielowi, nie mając zamiaru dotrzymać przyrzeczeń. Nie można tego aktu zestawiać choćby nawet z aktem mocarstw centralnych z 5 listopada 1916 r., który rzeczywiście był prawie tylko taką sztuczką ściśle wojenną. Państwa koalicyi nie potrzebowały tak Polski, której współdziałanie zresztą mogło być tylko bierne, by koniecznie dla ratowania swej sytuacyi musiały występować z swoją deklaracyą w tym stanie przewagi, jaką koalicya już wówczas posiadała. Dalszy też bieg wypadków, wprowadzenie przyrzeczeń w życie po zwycięstwie bez żadnych zastrzeżeń, dowodzi jasno, iż ten akt był wynikiem głęboko obmyślanej decyzyi stworzenia Polski niepodległej i zjednoczonej. Wartość słów państw tej miary, co państwa koalicyi, była inna, niż perfidnych Niemiec, gotowych zawsze nie dotrzymać słowa, niż Austryi, nie mającej swej woli, myślącej cudzą głową, działającej według nakazu sprzymierzeńca.

Stwierdzając idealizm Wilsona a odrzucając na bok jako motyw aktu z 3 czerwca interes ściśle wojenny koalicyi, nie wyjaśniamy jeszcze przez to powodów, które skłoniły państwa koalicyi do oświadczenia się w zasadzie za odbudową Polski, jakoteż stanowiska, jakie zajęły w sprawie rozprowadzenia tej zasady, a więc wobec poszczególnych kwestyi,

tyczących się polskiego państwa, jego granic i określeń warunków jego bytu. Oczywiście punkt widzenia poszczególnych państw w tych sprawach był różny, z osobna zatem trzeba się przyjrzeć polityce każdego z nich.

* * *

Rozpocznę od Francyi. W państwie tem mamy gorącego przyjaciela, rzetelnego sprzymierzeńca. Francya nie tylko oświadczyła się za Polską, ale za Polską wielką i silną, bardzo silną — »grande et forte, très forte« jak to do nas mówił p. Pichon, gdy Biuro kongresowe było u niego na audyencyi. Chyba niema nikogo, ktoby dziś nie widział, że tak jest, że Francya za nami stoi chętnie i szczerze, że nam spieszy z pomocą tak na kongresie, jak i tu, w kraju, zwłaszcza przez to poparcie, jakiego udziela dla stworzenia naszej armii. A jednak Francya nas kilkakrotnie opuściła, dozwoliła, że zapadły w Paryżu uchwały na naszą niekorzyść: czy w sprawie Gdańska, choć tak doskonale Francya rozumie jego znaczenie dla Polski, czy też w sprawie Górnego Śląska i t. d.

U Francyi i we Francyi cieszymy się obecnie prawdziwą sympatyą. Zewnętrznym wyrazem tej sympatyi, ogólnej, szerokiej, to choćby przyjęcie p. prezydenta Paderewskiego w Izbie posłów, by już nie mówić o setkach innych jej objawów przy najrozmaitszych sposobnościach. Takich wylewów sympatyi nie da się sztucznie wywoływać. Muszą

one odpowiadać istotnemu odczuciu narodów. Sympatya ta coraz się też we Francyi wzmaga. Ale nie znaczy to, by tak silną, jak jest obecnie, była poprzednio, i to nawet niezbyt jeszcze dawno. Przeciwnie, w okresie bardzo bliskim tych sympatyi nie było — a raczej, dokładniej mówiąc, można je było odnaleść u jednostek, jak p. Clemenceau, ale nie u ogółu. Myśmy we Francyi mieli sympatyi niegdyś bardzo dużo, mieliśmy je, gdy Polska stanowiła państwo niepodległe, mieliśmy je i później, a poświadczała to ona zwłaszcza w serdecznem przyjmowaniu naszej emigracyi po powstaniach lat 1794 1831 i 1863. Ale te uczucia w końcu wieku XIX i w początkach XX stulecia silnie przygasły, omal zamarły; powodem zaś była niemożność pogodzenia sympatyi dla Polski z nową sympatyą Francyi — dla Rosyi, Polski gnębicielki.

Sympatya do Rosyi wyrosła na gruncie politycznego interesu, była jego silną podporą w społeczeństwie; a w społeczeństwach demokratycznych, w których szeroka opinia oddziaływa na rząd, rzeczą konieczną dla politycznych sojuszów, by były potrzebą nie tylko mózgów, ale i serc, zwłaszcza gdy chodzi o masy ludności; słabe miałby siły sojusz, choćby najlepiej politycznie usprawiedliwiony, któryby w demokratycznie rządzonem państwie nie znajdował podpory w sentymentach ogółu. Rosya rozumiała to, nie żałowała trudów i pieniędzy, by rozbudzać sympatyę we Francyi; pomagał w tem francuski rząd w interesie swej polityki zewnętrznej.

Celem politycznego związku Francyi z Rosyą było zabezpieczenie się od Niemiec, względnie przygotowanie odwetu za Alzacyę i Lotaryngię. Wszakże Rosya była z drugiej strony sąsiadem Niemiec, a potęga jej, w oczach Francuzów dużo większa i pewniejsza, niż była w rzeczywistości, zdawała się dawać gwarancyę temu krajowi, coraz w siły w stósunku do Niemiec słabniejącemu wskutek nieprzybywania ludności, iż miliony żołnierzy wschodniej potencyi, dodane do wojsk francuskich, są siłą, mogącą się z wszelką szansą przeciwstawić choćby świetnie udyscyplinowanej armii Hohenzollernów, Salus Reipublicae suprema lex esto; to mogła demokratyczna Francya przytaczać na swoje usprawiedliwienie, iż brata się z autokratyczną Rosyą gniotącą w przeciwieństwie do niej wszelką myśl wolną, miliony swej rdzennej ludności poddającą pod bezwzględny rząd czynowników, wprost pastwiącą się nad inorodcami. Zahypnotyzowana potęgą Rosyi, nadziejami na jej pomoc w razie potrzeby, nie chciała widzieć Francya monstrualności tego związku. W niejednej z francuskich dusz odzywało się z tej racyi uczucie wstydu, ale nie u ogółu. Francuskiej południowej natury jest właściwością iż nie lubi półtonów, iż nie kawałkiem duszy, ale całą oddaje się temu, w co wierzy. Tak też całą duszą stała Francya po stronie Rosyi, sympatyą uzupełniając interes polityczny. W takich warunkach o Polsce ogół słyszeć i wiedzieć nie chciał.

Gdy wybuchnęła wojna, nie zmieniły się te stosunki. Francya lojalnie stanęła po stronie Rosyi;

ani chwili nie wahała się, by dotrzymać przymierza, przez myśl jej nie przeszło, by mogła nie dochować zawartej umowy. Poświęcanie milionów ludzi ze strony Rosyi w ofenzywach, gdy chodziło o to, by przez atak od wschodu przynieść ulgę walczącym przeciw Niemcom od zachodu Francuzom, powiększały sympatyę do Rosyi jako wiernego sprzymierzeńca. W tych warunkach Francya oczywiście nie miała zamiaru wysuwać kwestyi polskiej; oświadczenie Mikołaja Mikołajewicza przyjęła z swej strony bardzo życzliwie, jak później deklaracyę rządu Kiereńskiego o niepodległości Polski, ale kwestyę polską uważała jako sprawę wewnętrzną rosyjską. Jak długo istniała Rosya, Francya nie miała interesu politycznego w domaganiu się wskrzeszenia Polski. Ta Polska nie mogłaby zastąpić jej Rosyi. Przecież nie mogło to być państwo tak olbrzymie, jak dawny carat; choćby się związało z Francyą, to mogłoby dać Francyi tylko część tej pomocy, jaką obiecywała Rosya. Gdy jednak ta Rosya istnieć przestała, gdy mocarny prestige jej zginął pod uderzeniem niemieckiego »młota«, a co więcej, gdy cała budowa wewnętrzna runęła w błoto bolszewizmu, wykazując nicość jej państwowo-twórczą, musiało przyjść we Francyi do rewizyi politycznych koncepcyi.

Osią, koło której obracały się dawniej te koncepcye polityczne Francyi, była obawa przed Niemcami. Koło tejsamej osi obracają się one i obecnie. We Francyi istnieje ciągle paniczny strach

przed Niemcami, jeszcze teraz, choć one zostały tak pokonane. Wyrażał się ten strach w czasie obrad kongresowych, gdy zdawała się wątpliwą kwestya, czy Niemcy podpiszą przedłożony im traktat; w społeczeństwie francuskim można było widzieć wprost histeryczny niepokój. Nad wszystkiem góruje tam ciągle obawa, że Niemcy znowu, może niedługo, wzmocnią się i pomyślą o tem, by rzucić się na sąsiadkę zachodnią; przecież Alzacyi i Lotaryngii i traktatu z 28 czerwca nie zapomną. A Francya wyszła z wojny niesłychanie osłabiona; według zestawień, podanych w francuskiej Izbie posłów dnia 26 grudnia 1918 r., zginęło w wojnie 1,040.000 jej żołnierzy i 31.000 oficerów, zaginęło, więc w części zginęło, 311.100 żołnierzy i 3.000 oficerów, liczba inwalidów dosięgła cyfry 694.000, tak, że razem straty osiągnęły cyfrę do 2,000.000 na mniejwięcej 6,000.000 zmobilizowanych. Tej straty nie potrafi wyrównać przyrost ludności Francyi, tak nikły, poprostu żaden, przed wojną, a zachęty, skierowywane tam obecnie pod adresem kobiet francuskich, by chciały przecież być matkami, nie odnoszą skutku. A Niemcy o tyle były ludnością potężniejsze przed wojną i będą zapewne po wojnie. Pomysł związku narodów zdawał się przynosić nadzieję, iż ta nowa wielka organizacya zdoła ująć w swoje ręce zabezpieczenie pokoju w przyszłości. Do tego jednak trzeba było, by ta liga rozporządzała siłą zbrojną; wnioski jednak Francyi w tym kierunku idące, a przedstawiane przez p. Leona Bourgeois, nie zostały przyjęte. Lidze narodów przypadło

w udziale według statutu omal tylko platonicznej wartości staranie, by pokoju świata nie zakłócono.

W takich warunkach nabrała oczywiście dla Francyi znaczenia kwestya polska. Polska może zastąpić Rosyę, przynajmniej częściowo. Ona może stać się Francyą na wschodzie Niemiec — jak to wyraził jeden z mowców na politycznym obiedzie pod prezydencyą p. Noulensa, urządzonym przez Towarzystwo France-Pologne w końcu maja 1919 r. Ta Polska związałaby się silnie z Francyą przeciw Niemcom. Wszakże interes obu państw będzie wspólny, jednaki; Niemcy taksamo nie zapomną Poznańskiego, Prus zachodnich i Śląska Górnego, jak Alzacyi i Lotaryngii.

W takich warunkach postulat niepodległej Polski musiał uzyskać poparcie Francyi. W miarę jak przedłużał się okres rządów bolszewickich w Rosyi, a z tem i zrozumienie coraz lepsze, że nieprędko Rosya stanie się znaczącym czynnikiem, gdy stwierdzono wielokrotnie współdziałanie Rosyi sowieckiej z Niemcami a zapoznano się lepiej z Polską, tak mało na zachodzie znaną, ład zaś i porządek, coraz w niej się — choć powoli — gruntujące, stawiały dobre świadectwo zdolnościom państwowym Polaków, rosło zainteresowanie Francyi w sprawie polskiej. Na gruncie wspólności politycznej interesów mogła rozwinąć się sympatya, a raczej odrodzić, gdyż istniała ona w głębinach Francyi, a zgłuszoną została tylko chwastem rosyjskiej przyjaźni.

W rozbudzeniu sympatyi była i jest jeszcze jedna przeszkoda. Gdy iechałem do Paryża, sądzi-

łem, iż tam w stosunku do Polski politycy, stanąwszy raz na stanowisku jej niepodległości, będą tylko patrzeć w przyszłość, przekreślając to, co było; zwłaszcza można było spodziewać się tego co do Francuzów, mających swój własny, tak ogromny interes w tem, by Polska powstała i była potężną. A jednak pomyliłem się. Przeszłości tam nie zapomniano, i jeszcze nieraz spotkać się można z pewnem niedowierzaniem w stosunku do Polaków ze względu na bliższe stosunki drobnej garstki z Niemcami, jak i oryentacyę austryacką części polskiego społeczeństwa. Dowodem choćby rozprawy w Izbie poselskiej w grudniu 1918, w których przypominano w przykry sposób, iż obecny Naczelnik państwa stał po stronie państw centralnych w początkach wojny. Przecież nawet tytuł profesora uniwersytetu warszawskiego niezbyt dobrą jest w Paryżu rekomendacyą, boć ten uniwersytet powstał za zgodą — Niemców. Mała znajomość spraw polskich, stosunków galicyjskich, oraz poprzedniej polityki przedwojennej Austryi wobec Polaków, która części polityków galicyjskich potrafiła zaćmić krytyczne osądzenie celów Austryi w czasie wojny i jej stosunku zupełnego podporządkowania wobec Niemiec, sprawiają, iż sympatye austryackie, mogące być usprawiedliwianemi, traktuje się tam często na równi z sympatyami dla boches'ów. Na tym to gruncie Czesi potrafili zyskać sobie na zachodzie takie stanowisko, iż przedstawili cały swój naród jako idący w czasie wojny solidarnie, stale, po linii koalicyjnej. Te niedowierzania jednak już zacierają się,

i sądzę, że całkiem zatrą się niedługo; na razie oczywiście uniemożliwiało to zużytkowanie w Paryżu osób skompromitowanych w oczach koalicyi, choćby fachowych, bo byłoby to wprost ze szkodą dla samej sprawy; inaczej rozprawia się z tym, w którego lojalność się w pełni wierzy, inaczej choćby z nawróconym przeciwnikiem.

Francya, licząc w przyszłości na pomoc Polski, oczywiście musi pragnąć tego, by Polska była silną, boć tem skuteczniejszą może być jej pomoc. A jednak przecież Francya ustąpiła Anglii w sprawie rozwiązania kwestyi gdańskiej, jak również ostatecznie zgodziła się na propozycyę angielską, by o przynależności Górnego Śląska rozstrzygnął plebiscyt. W obu sprawach Francya broniła polskiego punktu widzenia; takie było stanowisko jej polityków na kongresie, takie całej jej prasy, która w sprawie Gdańska i plebiscytu na Śląsku pomieściła ogromną ilość artykułów i artykulików, także dostarczonych przez biuro prasowe Komitetu Narodowego i przez Biuro kongresowe. Jeśli jednak co do wyniku tarć wzajemnych w sprawie Gdańska były może złudzenia wśród członków delegacyi polskiej, czy Francya ustąpi Anglii, to nie było ich, gdy podniesioną została kwestya plebiscytu na Śląsku. Z ust jednego z najwybitniejszych członków delegacyi polskiej, gdyśmy podnosili z uznaniem, że dzienniki paryskie tak silnie za nami występują — oczywiście nie bez dyrektywy w tej mierze rządu francuskiego, mającego na dzienniki ogromny wpływ, padła uwaga, iż właśnie ta kampania pra-

sowa i gorliwość polityków francuskich złą są wróżbą, zdają się wskazywać, iż Francya chce okazać nam swoją dobrą wolę, ale nas — ostatecznie opuści. Uznawaliśmy w pełni słuszność uwagi, złudzeń nie mieliśmy.

Tłomaczy się to tem, iż stanowisko Francyi w stosunku do reszty głównych kongresowych czynników, zwłaszcza w stosunku do Ameryki i Anglii, było dużo słabsze. Nie tylko dlatego, iż Francya wogóle jest mniejszą w stosunku do tamtych państw; nie tylko dlatego — co ważniejsza — iż wojna wyczerpała ją bardziej, niż Anglię, która w zabitych straciła 658.000, niż zwłaszcza Amerykę, której obywateli zginęło tylko 60.000; ale także dlatego, że wyczerpała gospodarczo i finansowo więcej, niż tamte dwa państwa, i przez to od nich uzależniła. Najważniejszym czynnikiem, który sprawiał, że Francya musiała ustępować wobec poglądów tamtych sojuszników, było to, iż od ich zgody zależało urzeczywistnienie celów wojny, na których Francyi niesłychanie zależało; obok odbioru Alzacyi i Lotaryngii, którego niktby nie mógł kwestyonować, chodziło Francyi o to, by uzyskać na szereg lat, z możnością zatrzymania nawet na stałe, zagłębie Sarry, okupacyę prowincyi nadreńskich na czas jakiś, oraz — zawarcie przymierza z Anglią i Ameryką, zapewniającego jej pomoc tych państw w razie ponownego napadu Niemiec. Ten ostatni punkt przedstawiał się jako kwestya ogromnej doniosłości wobec panicznej obawy Niemiec, o której mówiłem poprzednio, a braku zapewnienia utrzymania

pokoju przez ligę narodów, gdy upadły wnioski francuskie o stworzenie armii ligi.

W takich warunkach Francya, zależna od dobrej woli ze strony tamtych dwóch państw, miała w wielu sprawach związane ręce. Jeśli tamte państwa, czy jedno z nich, żądały koncesyi dla Niemców, toć oczywiście Francya, przyciśnięta do muru, godziła się na koncesye raczej sprzymierzonej Polski, niż — swoje własne. Jeśli przychodziła na stół kwestya koncesyi co do węgla, toć Francya raczej przystawała, by je dano na Śląsku, niż co do obszaru Sarry, zwłaszcza, że przecież przyznanie plebiscytu nie grozi jeszcze utratą tego kraju przez Polskę.

Temu, że stanowisko Francyi było z tych powodów słabsze, niż Ameryki i Anglii, przypisać należy, że pewne rozwiązania sprawy polskiej wypadły nie po naszej myśli, że Francya przecież przy pertraktacyach ustąpiła, choć broniła naszego stanowiska.

Pod jednym tylko względem interes nasz i Francyi był sprzeczny. Francyi, jak Polsce, musiało zależeć na tem, by politycznie — więc terytoryalnie i ludnościowo — Niemcy zostały osłabione. Toż zależało obu państwom, by Niemcy po wojnie nie górowały nad niemi przewagą gospodarczą. Jednakże Francyi, niesłychanie wyczerpanej gospodarczo, mającej zniszczone przepiękne prowincye, zniszczoną na lata produkcyę węgla w północnych departamentach, bardzo zależało na tem, by Niemcy zapłaciły jej duże odszkodowanie. Dług Francyi przed wojną wynosił prawie 30 miliardów franków;

dnia 1 kwietnia 1919 r. suma jego przekroczyła cyfrę 174½ miliardów, a liczono się z koniecznością dalszych pożyczek aż po ogólną sumę 200 miliardów; oprocentowanie z niecałego miliarda przed wojną podniosło się na 6.768 milionów w dniu 1 kwietnia 1919 r. W budżecie francuskim końca z końcem związać nie sposób.

Gdy też w lutym b. r. rzucono myśl jednorazowej ciężkiej daniny majątkowej od wszystkich obywateli Francyi na spłatę części długów, a to w wysokości nawet 20% majątku, depresya opanowała umysły tej ludności zapobiegliwej, skrzętnej, z taką usilnością gromadzącej sous do sous'a, by złożyć sobie kapitalik na starość i zapewnić rentę. Rozległy się wołania, że najprzód trzeba przecież do płacenia pociągnąć Niemców. Jak zwykle we Francyi, te dążenia streściły się w krótkiem haśle, które zjawiało się na murach ulic, w dziennikach jako stała rubryka, rozlegało echem w dyskusyach: l'Allemagne payera d'abord! A jeśliby się Niemcy gospodarczo zniszczyło, toć jakżeby one mogły płacić miliardy odszkodowań? Stąd interes Francyi w tem, by gospodarczo Niemcy nie zostały zniszczone, by więc miały z czego pokrywać sumy, koalicyi należne.

Może ten wzgląd nie miał wpływów na Francyę przy decyzyi kwestyi plebiscytu na Górnym Śląsku. Napewno za to w innej materyi zaważył on na szali na niekorzyść Polski. Zdawało się w czasie obrad kongresowych, iż przyjętą zostanie zasada, że wszelkie dobra państwowe na obszarze

terytoryów, które Niemcy muszą odstąpić w myśl traktatu, przejdą na nowych zwierzchników terytoryalnych bez żadnego za nie odszkodowania. Ostatecznie stało się inaczej, zadecydowano, iż za te majątki należy Niemcom zapłacić. Dodać jednak trzeba uwagę, iż choć w art. 256 przyjęto obowiązek zapłaty jako zasadę, to jednak uczyniono wyjątek na rzecz Francyi co do Alzacyi i Lotaryngii i na rzecz Belgii, tak, że one nic nie zapłacą za dobra państwowe. My będziemy musieli płacić — a jedynie w ostatniej chwili udało się uratować tyle, iż za dobra niegdyś przed rozbiorami koronne polskie (wraz z lasami oczywiście), o ile one i obecnie są dobrami państwowemi, a Polsce w myśl traktatu przypadają, Polska płacić nie będzie. Jeśli ostatecznie powzięto decyzyę, że nie darmo takie majątki przejdą na państwa, które dostają terytorya od Niemiec, tłomaczy się tem, iż chciano zapewnić znaczne kwoty, które z tego tytułu będą płatne, na rzecz funduszu odszkodowań. W powiększeniu tego funduszu będą mieć udział wszystkie zniszczone państwa, ale w każdym razie najbardziej zniszczona Francya — największy.

* * *

Zgoła inny do Polski był stosunek Stanów Zjednoczonych Ameryki północnej.

Polscy członkowie Biura kongresowego najczęściej, o ile chodzi o ekspertów innych delegacyi, stykali się z ekspertami amerykańskimi. Wszyscy prawie znaliśmy pp. Bowmanna, Lorda, Jounga,

Morrissona i innych. Przychodzili do nas, my chodziliśmy do nich. Nie było to zgoła przypadkiem, ani naszą jakąś specyalną predylekcyą, jak nie było to przypadkiem również, iż gdy Anglia przygotowanie spraw na kongresie poruczyła prawie wyłącznie politykom, Ameryka używała do nich historyków, geografów i t. d. Nie było to zgoła rzeczą przypadku, iż z naszej delegacyi najżywsze stosunki z ekspertami amerykańskimi utrzymywał prof. Romer, geograf i statystyk, z geografem Bowmannem i historykiem Lordem. Wypływało to właśnie z istoty patrzenia Ameryki na te kwestye, które miał decydować kongres, specyalnie i na kwestyę polską.

Jeśli Francyi zależało na tem, odkąd oświadczyła się za niepodległością Polski, by ona była jak największą i jak najsilniejszą, jeśli Anglia zajęła zasadniczo przychylne dla wskrzeszenia Polski stanowisko, ale co do jej wielkości inaczej swoją politykę ustaliła, niż Francya, to Ameryka zgoła innemi oczyma patrzyła na tę kwestyę. Ona chciała, by Polsce dostało się ani za dużo, ani za mało, ale to, co jej się — należy. Oczywiście to, co jej się należy — według zapatrywań amerykańskich.

Że nie zawsze nasze pojęcia o tem, co słusznie Polsce przypaść powinno, zgadzały się z pojęciami amerykańskiemi, to rzecz naturalna. Nie może obcy, choćby najlepszej woli, odczuć pewnych narodowych sentymentów, ale też temu nie można się dziwić, ani tego brać za złe. Ważniejsze to, iż obcy nie łatwo może zoryentować się dokładnie w stosunkach ziem polskich, z natury już niesły-

chanie skomplikowanych, a bardzo trudnych do przedstawienia obcemu, zwłaszcza jeśli przy ocenie wchodzą w rachubę nie tylko wartości, które można wymierzyć lub zważyć, ale także pewne imponderabilia, jak np. charakter kraju, przepojenie go pewną kulturą, jego ciążenie cywilizacyjne i t. d., które zwykle tylko w niedostatecznej mierze można wykazać przez zestawienia zrozumiałe dla ludzi dalekich od tego kraju mających inną psychologię myślenia, niż my, niż mieszkańcy Europy wogóle. By zrozumieć np. kwestyę żydowską, trzeba ją poznać tak, jak swoiście ona przedstawia się w Polsce, co niesłychanie trudnem dla tych, którzy znają żydów, ale innych, gdy w ich ojczyźnie kwestya żydowska zgoła odmienne wykazuje cechy albo poprostu — nie istnieje jako taka.

A do tych trudności przyłączają się jeszcze inne: brak nieraz materyałów, na których możnaby się oprzeć, rozpowszechnienie najbłędniejszych często wiadomości o stosunkach na ziemiach polskich. Dość wskazać na to, iż zwłaszcza np. co do Litwy i Białejrusi statystyka narodowościowa, tak ważna broń w walce o te ziemie, dla nas poprostu nie egzystuje, boć oficyalna rosyjska — a taka istnieje tylko dla całego tego obszaru — daje stek fałszerstw; trzeba więc obcemu najprzód to udowodnić, by jej nie przyjmował jako podstawy, ale jeśli się nawet ten rezultat osiągnie, to nie ma co dać w zamian, gdyż innej statystyki, autentycznej, niema. Każdy z Polaków zna dobrze nieprawdy, powtarzane z tupetem wprost zdumiewającym przez pe-

wne koła szowinistyczne litewskie (choćby np. o litewskości Wilna), przez Rusinów wschodnio-galicyjskich (którzy np. kilkakrotnie zmniejszają ilość polskiej ludności w wschodniej Galicyi), czy przez żydów nacyonalistów (rozpuszczających np. w prasie często wprost zmyślone wiadomości o pogromach w Polsce). Skądże cudzoziemiec, nie znający Polski, nie przypuszczający, by chrześcijanie, czy niechrześcijanie nawet, mogli tak bezczelnie kłamać, mógł łatwo uwierzyć, że to wszystko wymysły, że nasze twierdzenia są w pełni słuszne?

Właśnie dla Amerykanów, którzy do rozwiązania zagadnień polskich przystępowali bez uprzedzeń, nie mieli zawczasu powziętych, z politycznych motywów wynikających zapatrywań, jak pewne sprawy załatwić, poznanie istotnego stanu rzeczy było kwestyą, na którą kładli największy nacisk. Może być, iż to stanowisko delegacyi amerykańskiej, zgodne z idealnem stanowiskiem prezydenta Wilsona, nazwą doktrynerstwem politycy, nie wierzący w »zasady«, przeciwni temu, by należało stosować w życiu międzynarodowem np. takie, jak: iż do państwa powinny należeć tylko te terytorya, których ludność narodowością swoją do tego państwa ciąży, czy chce do niego należeć. Przyznaję się szczerze, że należę do tych, którzy mają dla takiego doktrynerstwa prawdziwy szacunek. Z takimi ludźmi Polakom porozumieć się można. Trudności polegają tylko w tem, iż nieraz — z przyczyn, o których mówiłem — trudno się zrozumieć.

Ale przecież z Amerykanami, choć były trud-

ności, dogadać się potrafili członkowie polskiej delegacyi. Prosty, niezłożony, a zdrowy jest umysł Amerykanina; rozumuje on kategoryami nieskomplikowanemi, jasnemi, uczciwemi. Jakkolwiek nie jest rzeczą łatwą dla Europejczyków poznanie tej obcej umysłowości, to jednak nie niemożliwą, ani nawet wymagającą zbyt wielkiego wytężenia. A nie tylko najlepszych chęci nie brakowało Amerykanom, by bez uprzedzeń każdą sprawę poznać; wkładali oni nadto w swoje usiłowania ogromną sumę rzetelnej pracy i porządnej wiedzy. Zwłaszcza doskonałym znawcą spraw polskich okazał się prof. Lord, który po wyjeździe p. Bowmanna wszedł do komisyi Cambona i wogóle miał w referacie sprawy polskie. Historyę polską znał dawniej dobrze, napisał sam duże, doskonałe dzieło o drugim rozbiorze Polski; z misyą ambasadora Noulensa jeździł do Polski, poznał ją więc przynajmniej częściowo z osobistej obserwacyi; dokładnie studyował nasze memoryały, czy wogóle polskie prace, tyczące się spornych kwestyi, i to tem gruntowniej, iż umie czytać po polsku. W razie potrzeby zwracali się Amerykanie nieraz do nas wprost o wyjaśnienia; sam dostarczałem kilkakrotnie takich mniej lub więcej obszernych not, jak o prawno-państwowem stanowisku Gdańska za czasów Rzeczypospolitej polskiej, o ograniczeniach żydów przez rząd rosyjski na terytoryach litewsko-ruskich po rozbiorach Polski, o greko-unitach na tych terytoryach, zniesieniu unii i stanie obecnych dla niej sympatyi. A ile takich not dostarczył niestrudzony prof. Romer!

Całe zaś badanie amerykańskich ekspertów owiane było szczerą sympatyą dla Polski. Bo Polska sympatyę, i to dużą, ma nie tylko we Francyi, ale także — zgoła bez podkładu interesowności — w Stanach Zjednoczonych. Jak Francyę zawsze kochała Ameryka, wdzięczna jej za Lafayetta, a w tej wojnie pomoc, daną bratniej republice, uważała niejako za spłatę długu, zaciągniętego wobec niej niegdyś za czasów walki o niepodległość, tak ziarna sympatyi dla Polski w tejsamej epoce w Ameryce zasiali za wolność jej walczący: Kościuszko, a jeszcze w większej mierze jeden z narodowych bohaterów Ameryki północnej, Kazimierz Pułaski, wzmogło zaś tę sympatyę w czasie wojny to, iż Polacy amerykańscy, gdy Stany Zjednoczone wystąpiły zbrojnie, pospieszyli w ogromnej ilości w szeregi armii jako ochotnicy, procentowo w dużo wyższej mierze, niż jakikolwiek inny naród, w Stanach osiadły, dając tem dowód swej lojalności wobec nowej ojczyzny, co tam umiano ocenić.

Idealizm Wilsona, chęć wprowadzenia w życie międzynarodowe nowych zasad sprawiedliwości, to czynniki, które decydowały o stanowisku wobec Polski Ameryki, a wsparte były szczerą dla niej sympatyą.

Nadzieja korzyści — oczywiście tylko gospodarczych, boć o politycznych trudno nawet myśleć wobec oddalenia i potęgi Stanów — może była. W innych sprawach nieraz mogłem zauważyć, iż interes kieruje działalnością reprezentantów Ameryki, i to niezbyt wówczas skoordynowany i sto-

piony z idealną dyrektywą, którą mieli za drugi punkt wyjścia. W stosunku do Polski tego momentu korzyści jako czynnika, któryby wpływał na stanowisko Ameryki wobec niej, trudno mi było się dopatrzeć, choć nie ulega wątpliwości, iż Stany zechcą wejść w bliższe stosunki z Polską, znaleźć w niej targ, zwłaszcza dla swojego kolosalnego przemysłu, z politycznego zbliżenia wydobyć i gospodarczą korzyść.

Tak ujmując zasadniczé stanowisko Ameryki wobec nas, zrozumiemy, iż jej delegaci wahali się, by przyznać Polsce Gdańsk jako etnograficznie niepolski; dla nich rozstrzygające były argumenty nie historyczne, ale przedewszystkiem narodowościowe i statystyczne. Dłuższej pracy członków Biura kongresowego trzeba było, by przekonać ekspertów amerykańskich, że Gdańsk się słusznie Polsce należy; i przekonać się udało. Ale jednak, gdy p. Lloyd George wystąpił przeciw oddaniu Polsce Gdańska, ten argument etnograficzny wysuwał jako mogący przekonać prezydenta Wilsona, choć motywy jego wystąpienia, istotne, głębsze, były zgoła inne. Również założeniu, iż ludność ma prawo sama decydować o swej państwowej przynależności, przypisać należy, że Ameryka opowiedziała się za plebiscytem na Mazurach pruskich; bo choć oni są etnograficznie Polakami, brano na uwagę twierdzenie, że przecież nimi nie czują się, że więc należy zostawić im decyzyę co do ich przynależności państwowej. Na wstrzemięźliwość Amerykanów co do bezwzględnego przyznania tego terytoryum Polsce

działał przytem jeszcze jeden wzgląd — wyznanie protestanckie Mazurów. Wobec Polski jest znaczna nieufność na Zachodzie, czy będzie tolerancyjną. Działa do dziś jeszcze przeciw nam w osiemnastym wieku prowadzona kampania, która mieszanie się Prus i Rosyi do spraw Rzeczypospolitej z całą perfidyą uzasadniać chciała obroną mniejszości wyznaniowych, jakoby uciskanych; a do dawnego osadu podejrzeń dodali nowego proszku nieufności ci, którzy w ostatnich czasach, zwłaszcza w czasie wojny, podnosili przeciw nam zarzuty o nietolerancyi wogóle. Przytem wiedzą na zachodzie, że Polska jest katolicką, a w krajach protestanckich stale przedstawiają Kościół katolicki jako wojowniczy w stosunku do innych wyznań, skory do ucisku, i w to rzeczywiście wierzą. Amerykanie, którzy odznaczają się wielkiem przywiązaniem do protestantyzmu, ten moment różnicy wyznania u Mazurów pruskich brali uważnie w rachubę. Ze strony polskiej krokiem bardzo szczęśliwym było wysunięcie w tych sprawach superintendenta p. Burschego z Warszawy, który, przywiązany do swej religii, jej głową będący, mógł budzić zaufanie u tych, którzy bliżsi mu byli wyznaniem, a jako gorący Polak i znający dokładnie miejscowe stosunki mógł najlepiej sprostować błędne wiadomości, usunąć obawy. Tej kwestyi protestanckiej poświęcił osobną broszurę protestant prof. Buzek, członek Biura kongresowego. Później też nie zdarzało się spotykać ze strony Amerykanów — czy i Anglików — wysuwania tego mo-

mentu wyznaniowego przeciw przyznaniu jakiegoś terytoryum Polsce.

Podobnie co do Śląska pruskiego mógł działać na Amerykanów argument, jakoby ludność górnośląska nie chciała do Polski należeć, że się nie czuje polską, choć po polsku mówi; ze strony nam przeciwdziałającej zaznaczano, że przy wyborach na sejm Rzeszy — już po rewolucyi niemieckiej — wzięło udział na Górnym Śląsku 60% ludności, że więc jakoby większość tem stwierdziła, iż chce dalej należeć do Niemiec; oczywiście prostowano tego rodzaju argumentacyę, wskazując, iż były to wybory rewolucyjne, a w takich opozycya zawsze bierze udział, że niepewność co do przyszłości tego kraju i wzgląd, by wybrani przez samych Niemców posłowie nie rościli sobie prawa do przemawiania w imieniu całej ludności, skłaniały i Polaków do brania udziału w wyborach, do czego namawiali i księża katoliccy, mający tam taki wpływ na lud. Ustąpienie jednak Wilsona w sprawie Śląska Górnego, który był w przedstawionych Niemcom »Conditions de paix« przyznany wprost Polsce i dopiero w odpowiedzi na kontrpropozycye niemieckie został poddany plebiscytowi, przypisać należy przecież nie temu, iż użyto argumentów, odpowiadających zasadom, które postawiła Ameryka, lecz naciskowi politycznemu Anglii. Prawda, iż nacisk ten mógł być tem skuteczniejszy i łatwiej uzyskać postrach, że proponowany plebiscyt jeszcze Polski możności otrzymania tego terytoryum nie pozbawiał, miał dać tylko sposobność stwierdzenia, że te

ziemie są w przeważającej części z przekonania polskie.

Zasady amerykańskie pewnie też dużo zaważyły co do kwestyi wschodniej Galicyi; przeciw nam wysuwano moment etnograficzny, naszą liczebną mniejszość we wschodniej Galicyi, wraz z niechęcią ludności ruskiej, by miała dostać się pod polskie rządy; nie bez wpływu były gadki o naszej nietolerancyi. W każdym razie polskość Lwowa została uznaną, do czego przyczyniła się nie tylko statystyka, ale i heroiczna jego walka, której pomyślny wynik najlepiej demonstrował, że my w nim mamy bezwzględną przewagę. Konsekwentnie też dążyła Ameryka do zabezpieczenia praw ludności ruskiej w Galicyi wschodniej przez osobny statut, a nawet do zastrzeżenia jej ludności prawa oświadczenia się w drodze plebiscytu, do którego państwa chce należeć. Że Ameryka znacząco występowała w tej kwestyi, na to dowód, iż głównie z jej strony podnoszono kwestyę rozejmu z Ukraińcami i do tego rozejmu bardzo silnie parto, iż ułożenie statutu dla wschodniej Galicyi oddano w ręce członka amerykańskiej delegacyi, prof. Lorda.

Liczyć się też z tem należy, iż ze strony delegacyi amerykańskiej natrafimy na opór, by koalicya narzuciła etnograficznej Litwie związek, choćby luźny, z Polską, jak również, by Polsce przyznać terytorya białoruskie z przewagą ludności prawosławnej, a nawet, by do Polski wcielić terytorya białoruskie z przewagą ludności katolickiej wprost

jako jej część składową, a nie pod formą unii. Lecz polskość Wilna znowu będzie na naszą szła korzyść w oczach tej delegacyi. Na odwrót należało się spodziewać pomocy Ameryki w żądaniu, by spór cieszyński rozstrzygnął plebiscyt, jak co do Spisza i Orawy.

Również za wychodzący od Ameryki, choć nie wyłącznie, uważać trzeba pomysł gwarancyi przez osobny traktat Polski z koalicyą praw mniejszości narodowych w Polsce, oraz żydów. Prawda, że suggestyę należy przypisać pod tym względem zwłaszcza żydom, a ich potężnemu wpływowi w Anglii i Ameryce to, że na tę suggestyę tak silnie zareagowano. Ale gdyby te podszepty nie natrafiły na grunt amerykańskich zasad o obronie praw każdego narodu, sprawa narzucenia nam tego traktatu, specyalnie zaś zabezpieczenia praw ludności żydowskiej w Polsce, nie byłaby może przybrała takiego obrotu.

Jak widzimy z tego krótkiego przeglądu spraw, w których głos Ameryki bardzo zaważył na szali, polityka amerykańska jest konsekwentna w przeprowadzaniu zasad, które przyjęła jako swój punkt wyjścia w rozstrzyganiu kwestyi przynależności państwowej spornych terytoryów.

W każdym razie uderza to, iż już po powziętej decyzyi Ameryka dwukrotnie się cofnęła, zmieniła swoje stanowisko w myśl żądań Anglii: co do Gdańska i Górnego Śląska.

Nie da się tego wytłómaczyć w taki sposób, iż tylko rzeczowe argumenty przekonały Amerykę,

specyalnie prezydenta Wilsona, jakoby postąpiono poprzednio błędnie. Argumenty, nieznane nam jeszcze dziś, osłonione głęboką tajemnicą, były, o ile domyślać się można, nie rzeczowej, ale politycznej natury.

Zdawaćby się mogło, iż decydujący głos na kongresie w radzie pięciu państw głównych powinna mieć Ameryka, wojną nie osłabiona ani pod wojskowym, ani pod gospodarczym względem, pod tym ostatnim raczej silnie w stosunku do Europy wzmocniona; wszakże przytem Ameryka nie była wiązana układem co do zawierania wspólnego pokoju. A jednak, choć jej głos był dużo donioślejszy od głosu Francyi, Włoch czy Japonii, to jednak górował nad nim głos Anglii. Czemu?

Dwa — sądzę — były tego powody. Nie podobna tam, gdzie wspólnie się radzi, gdzie jednomyślnie zapadają uchwały, zbyt często żądać, by ustępowano wygłaszanemu przez się zdaniu, choć się ma bardzo dużą przewagę. Doprowadziłoby to do konfliktów, a przecież tego nie chciano. I tak do jednego konfliktu, bardzo ostrego, przyszło — z Włochami, a groziły równocześnie dwa inne: z Belgią i Japonią, które już omal także pakować zaczęły kuferki do wyjazdu. Zasady, które chciał przeprowadzić prezyden Wilson, zetknęły się z początku wielokrotnie z odrębnemi koncepcyami europejskiemi; umysły starego kontynentu, wychowane w starej szkole dyplomacyi, wytykające swoje cele głównie na podstawie interesów, nie mogły tak łatwo się pogodzić z teoryami Nowego Świata,

abstrakcyjnemi w dużej mierze, nawet bardzo abstrakcyjnemi. Przeprowadzenie w pełni tych zasad, przyjęcie ich przez delegacye, byłoby mogło doprowadzić do wewnętrznych przewrotów w krajach, dla których miały znaczenie ujemne, których ambicyi i interesom odmawiały uznania; a choć Ameryka jest tak potężną, to przecież liczyć się musiała z tem, iż faktyczny jej udział w wojnie nie był wielki, iż zwłaszcza drobne tylko poniosła straty w ludziach, tej najcenniejszej w wojnie ofierze. Przeprowadzając zasady z całą stanowczością w pewnych sprawach, uznanych ze swej strony za najważniejsze, jak kwestya miasta Fiume i zrzeczenie się żądania od Niemiec kontrybucyi, a nawet zwrotu kosztów wojennych, trzeba było ustępować w innych, za mniej ważne uznawanych. A za takie uznane były i sprawy polskie, zwłaszcza, że ustępstwa Ameryki co do Gdańska i co do Śląska Górnego właściwie z jej zasadami nie stały w jawnej sprzeczności, przeciwnie, można je było nawet niemi usprawiedliwiać.

A obok tego względu był jeszcze inny — tyczący się już wprost osoby prezydenta Wilsona. Stanowisko jego nie było tak silne, jakby mogło być jako głowy tak potężnego państwa. Z jednej strony miał on bowiem przeciw sobie silną opozycyę w Ameryce ze strony partyi republikańskiej z drugiej strony skrępowany był przez to, iż jako cel najważniejszy wytknął sobie wprowadzenie w życie w czasie kongresu ukochanego dziecka swej myśli — związku narodów. Zwłaszcza ta osta-

tnia sprawa nie tylko w pierwszym rzędzie zajmowała jego umysł, ale i krępowała jego ruchy. Przeprowadzenie przyjęcia projektu związku narodów nie było sprawą łatwą, nie spotykało się z pewnych stron z chętnem przyjęciem; a przytem i w Ameryce była silna opozycya, grożąca, iż projekt ten zostanie przez senat odrzucony. By zapewnić przyjęcie projektu związku, prezydent Wilson postanowił połączyć go z aktem traktatu, tak, iż wszedł on do niego jako istotna jego część składowa i pomieszczony został zaraz na początku (część I.); że zaś trudno było przypuszczać, by jakie państwo traktatu nie ratyfikowało, zapewniało to, iż przez przyjęcie traktatu jako całości przyjęty zostanie także pakt związku narodów jako jego część składowa. Zwracając całą uwagę na tę sprawę ligi, czyniąc z niej oś wszelkich swoich czynności, oczywiście osłabiał przez to prezydent Wilson swoje stanowisko, odsłaniał swoją słabą stronę. Chcąc przeprowadzić swoje co do związku narodów zamiary, nie mógł zrażać sobie współpartnerów na kongresie, musiał wobec nich nieraz okazać się ustępliwym nie tylko co do treści postanowień ligi, ale także — jak to tak często jest w polityce — co do innych spraw, nie złączonych zgoła żadnym związkiem z ligą.

* * *

To właśnie zapewniało Anglii przewodnie na kongresie stanowisko, iż nie miała takich słabych swoich stron, jak Francya, czy Ameryka; mogła z tej sytuacyi korzystać, zwracać politykę całego kongresu w tym kierunku, w którym nastawiony był ster jej polityki, Dyplomacya Anglii oddawna za najświetniejszą była uważana; w całej pełni i w tej wojnie tę swoją opinię potrafiła potwierdzić.

Anglii głównymi celami wojny było: zniszczenie potęgi morskiej Niemiec, która mogła jej zagrażać, pozbawienie ich kolonii i zabezpieczenie sobie drogi do Indyi Wschodnich. Osiągnęła to wszystko przedtem, nim zebrał się kongres. W czasie wojny poddała pod swoją władzę terytorya na drodze do Indyj leżące, zajęła kolonie; pierwszy odrazu rozejm wydał w jej ręce przeważną część groźnej floty niemieckiej, a gdy nie potrafiła uzyskać zgody innych państw koalicyi na zniszczenie tej floty, by ona, rozdzielona między zwycięskie państwa, nie powiększyła niepotrzebnie — ze względu na przewagę morską Anglii — flot sprzymierzeńców, to i tak jakoś się stało, że znaczną część tej floty, cernowanej w Anglii, pogrążyła na dno jej niemiecka załoga. Przez wojnę nie ucierpiała Anglia tak, jak inne państwa europejskie; przemysł jej rozrósł się nawet, handel zajął część targów niemieckich, a reformy skarbowe już w czasie wojny potrafiły zaradzić opłacaniu procentów od wojennych pożyczek. Anglia powiększyła swój

zapas złota, tak, iż przewyższył on sumę wydanych banknotów. Na kongresie Anglia już nie potrzebowała ubiegać się o osiągnięcie swoich głównych celów, mogła więc przeprowadzać łatwiej swoje zapatrywania, gdy inni jej pomocy potrzebowali, o jej zgodę musieli zabiegać.

Tak — w najkrótszych słowach — przedstawiało się stanowisko Anglii na kongresie. Dlatego, jak w przeważającej ilości spraw, tak i w sprawie polskiej, jej zapatrywania miały taki wpływ decydujący.

A o ile o Polskę chodzi, to miała ona własne, odrębne zapatrywania i inne cele, niż tamte państwa.

Trzy można odróżnić tu wytyczne jej polityki wobec nas: jedną polityczną w stosunku wogóle do Polski, drugą gospodarczą w stosunku do niej, trzecią zaś już nie wprost Polski tyczącą się, ale będącą naturalną konsekwencyą wytycznej, przyjętej w stosunku do Niemiec.

Anglia bądź występowała sama z projektami, ograniczającymi siłę polityczną Polski w przyszłości, bądź też przyłączała się do takich projektów, gdy je kto inny wysuwał. Tak Anglia nie dopuściła, by Gdańsk dostał się Polsce jako jej część składowa, Anglia przeprowadziła zmianę postanowień co do Górnego Śląska. Anglia czyniła również trudności Polsce w otrzymaniu Wschodniej Galicyi, nie chce połączenia z Polską przez unię Litwy etnograficznej. Dlaczego? Trzeba zaprzeczyć, by Anglia nie chciała odbudowy Polski. Już o tem

poprzednio była mowa. Nie chce jej też pozbawiać jakichś dużych terytoryów; uderza w terytorya ludnościowo i terytoryalnie nie tyle wielkie, co znaczące politycznie i gospodarczo. Zestawiając te pozornie różne stanowiska, iż Anglia na stworzenie Polski godzi się, popiera je, ale Polskę obcina, trzeba przyjąć jedno tłómaczenie, które usuwa sprzeczności: ona godzi się na istnienie polskiego państwa, ale nie pragnie, by to państwo było wielkie, silne.

Anglia dziś jest pierwszą w świecie potęgą. Poza Europą liczyć się musi ze Stanami Zjednoczonymi i Japonią, ale w Europie — z nikim, boć Niemcy — zgruchotane, Francya — wyczerpana, zmuszona wobec obawy w stosunku do Niemiec szukać oparcia o Anglię, Włochy — zależne od Anglii ze względu na otwarte wybrzeża, konieczność dowozu z Anglii węgla, Rosya — w upadku, z którego niewiadomo kiedy się podniesie, inne zaś państwa — to wogóle quantités negligeables. Nasuwa się myśl, iż Anglia chce się zabezpieczyć, by, przewagą jej drażnione, przeciw niej w pewnej mierze nie połączyły się: Francya, Włochy — i Polska. Dodanie do dwóch pierwszych członków — trzeciego, który mógłby pod swą egidą zgrupować znowu jeszcze kilka mniejszych, nie byłoby przyjemne.

Nie chcę podawać takiej myśli jako jakiejś konkretnej koncepcyi politycznej. Może raczej chodzi Anglii o cel inny, bardziej bezpośredni: Anglia chciałaby uzależnić od siebie Polskę, a oczywiście to byłoby rzeczą trudną do przeprowadzenia, gdyby

Polska była silną politycznie i gospodarczo; łatwiej da się to przeprowadzić z państwem mniejszem, słabszem. Mniej to może — niż inny wzgląd, o którym niżej — tłómaczyłoby stanowisko Anglii w sprawie Śląska Górnego. Ale wydaje się bardzo prawdopodobnem, jeśli się zwróci uwagę na załatwienie kwestyi Gdańska i na stanowisko Anglii w stosunku do Litwy. Nieoddanie Gdańska Polsce osłabia ją politycznie, a może uzależnić gospodarczo. Lloyd George usprawiedliwiał żądanie, które dopiero z wielką trudnością udało mu się przeprowadzić, by z Gdańska utworzyć wolne państewko, tem, iż Gdańsk jest niemiecki, że więc nie należy ludności niemieckiej poddawać pod władzę polską. Ależ zgodził się przecież na to, iż pod władzę polską miała być poddana spora ilość ludności niemieckiej poza obszarem Gdańska, i to nawet siedzącej w zbitej masie, na granicy; wszakże według »Conditions de paix«, które już postanawiały istnienie wolnego miasta Gdańska, Polsce dostawał się niemiecki etnograficznie powiat górowski, nie żądany nawet przez Polaków, oraz niemiecki obszar koło Piły. Dlaczego do tej z górą milionowej ludności niemieckiej, którą oddawano Polsce według »Conditions«, nie miano zaliczyć ludności obszaru gdańskiego, która wynosi tylko koło 350.000? Jakoś nie chce się wobec tego wierzyć, by to wzgląd etnograficzny Anglią w tej sprawie kierował, gdy ona przytem wogóle na takie względy zbyt czułą się nie okazywała, zwłaszcza co do Czechów. Czy naprawdę chodziło o koncesyę na rzecz Niemców? I cóż to

dla nich za koncesya, jeśli Gdańsk do nich nie będzie i tak należeć! Czy przypadkiem nie była ta koncesya — koncesyą dla samej Anglii?

W traktacie nie jest zagwarantowane, kto wojskowo obsadzi terytoryum wolnego miasta Gdańska. Czy Polska? Tak my sądzimy, bo tego — chcemy. Ale Gdańsk podlega lidze narodów; a więc tam może będzie jakiś międzynarodowy kontyngent? A może tylko — angielski? Oczywiście — z ramienia ligi. Od tego, kto będzie miał w rękach wojskowo Gdańsk, zależeć będzie możność wojskowego połączenia Polski w czasie wojny z państwami zachodniemi. Choćby Polska miała swoją flotę wojenną, toć będzie ona bez znaczenia wobec floty angielskiej. W Gdańsku będzie rezydować stale naczelny komisarz (haute commissaire) z ramienia pięciu głównych mocarstw; po rozgraniczeniu terytoryów i nadaniu Gdańskowi konstytucyi będzie on — rozstrzygać spory (już przewidywane!) między Gdańskiem a Polską. Ważna to zatem placówka; ten komisarz może się stać faktycznie rządzącym w Gdańsku czynnikiem. Czy przypadkiem tym naczelnym komisarzem nie będzie — Anglik? Cały ten ustęp o Gdańsku ułożony został przez Anglika, p. Morleya; czyż rzeczą byłoby dziwną, gdyby układał głównie z myślą o Anglii? Gwarantuje traktat utworzenie z części portu Gdańskiego strefy wolnej (zone franche), ważnej dla statków obcych państw, zwłaszcza państw tak handlowych, jak Anglia. A umiędzynarodowienie Wisły ułatwia, przez zrównanie warunków żeglugi, kursowanie na niej

statków obcych. Anglia wogóle na kongresie głównie występowała z myślą jak najdalej idących umiędzynarodowień rzek, korzystnych dla jej handlu; i o Wiśle nie zapomniała.

A o kogóż oprzeć się będzie mogła Litwa, jeśli nie chce być pochłonięta przez Niemcy lub przez Rosyę, a nie chce też związać się unią z Polską? Sama w takich warunkach nie mogłaby chyba zachować samoistności, zdana na swoje słabe siły. Czy nie będzie tem państwem, które nad nią rozciągnie opiekę — Anglia, mająca do niej dostęp od morza, choćby ta opieka nie miała przybrać legalnej formy mandatu od Związku narodów? Któreż inne państwo wogóle mogłoby się takiego zadania podjąć? Nie spieszy się do tego Francya ani Włochy, Ameryka daleko i zgoła ją Litwa nie obchodzi. A handel z Litwą i przez Litwę będzie ułatwiać umiędzynarodowienie — na wniosek Anglii uchwalone — Niemna, głównej rzeki Litwy, i do Polski sięgającej.

Anglia, na utrzymanie swojego handlu i jego rozwój taki kładąca nacisk, interesom handlowym podporządkowująca swoją politykę w tak dużej mierze, zyskałaby w taki sposób nie tylko wpływ polityczny na Polskę i Litwę, ale zwłaszcza zapewniłaby sobie swobodny dostęp dla swego handlu, specyalnie korzystne dla niego warunki. Przez Litwę, a ewentualnie i inne na północ od niej nad Bałtykiem położone małe państwa, któremi zaczyna się opiekować (n. p. Estonią), uzyskałaby Anglia pewny wstęp na olbrzymi targ rosyjski, tak

przez nią ceniony. Czy więc nie te względy przedewszystkiem kierowały nią, decydowały o jej wobec Polski stanowisku?

Nie w Anglii powstał termin o »egoismo sacro«, którem państwo powinno się kierować w swej polityce. Ale bez fachowego terminu, który może być szkodliwym, gdy politykę państwa przedstawia w świetle nie dla wszystkich oczu miłem, Anglia w praktyce zawsze stosowała ten święty egoizm, mający pomagać do pełniejszego wprowadzenia w życie hasła angielskiego: »Rule Britannia«, z niesłychaną wprost mądrością. Dlaczego morze Bałtyckie nie miałoby być tak szeroko otwarte mimo Sundów, jak są Oceany? Dlaczego na tem morzu nie miałaby równie często zjawiać się dumna flaga angielskiej marynarki?

Obok tych momentów ogólnej polityki angielskiej w stosunku do Polski, w szeregu kwestyi o jej zachowaniu decydowała ricochet'em polityka angielska wobec Niemiec. Anglia występowała zawsze przeciw czyjejkolwiek hegemonii na świecie, przeciw najsilniejszemu, więc najgroźniejszemu dla niej politycznemu konkurentowi [1]). Zwalczała niegdyś długo Francyę, i zwalczyła, tak, jak obecnie zwalczyła znowu takiego niebezpiecznego konkurenta, który z nią chciał wystąpić do rywaliza-

[1]) Ob. ciekawe uwagi o polityce angielskiej, które wypowiedział na odczycie w Biurze prac kongresowych prof. Rybarski; wydrukowany ten odczyt w Roku polskim z maja 1919 r. p. t. »Motywy polityki angielskiej w sprawie polskiej«.

cyi, poza Europą nawet, — Niemcy, głoszące, iż ich przyszłość leży na wodzie. Ale Anglia sentymentami się nie kieruje, przeciwnika pokonanego nie nienawidzi; gdy dla niej przestaje już być groźnym, gotowa podać mu dłoń przebaczenia, popierać nawet przeciw temu, kto ponad niego wyrasta. Anglia rozegrała walkę na śmierć i życie z Niemcami; gdy ją rozstrzygnęła wojna na jej korzyść, gdy już Niemców obawiać się nie potrzebuje, nie ma zamiaru przeciw nim dalej walczyć. Anglia nie lubi wojny, a pragnie rozwoju stosunków handlowych, stanowiących tak ogromny czynnik jej potęgi. Niemcy — ze względu na ilość ludności i jej zapotrzebowanie — były bardzo ważnym targiem dla Anglii; nie ma ona zgoła zamiaru rezygnować z tego targu. Stąd nie chce zrażać sobie ponad potrzebę Niemiec, nie chce pozbawiać ich sił gospodarczych, któreby osłabiły znaczenie tego targu. Wprawdzie ustępstwa na rzecz Niemiec, do których namawiała Anglia zebrane na kongresie państwa, i te dalsze, które poczyniono już po wręczeniu Niemcom jakoby niezmiennych w zasadzie »Conditions de paix«, przedstawiała tak, iż są one konieczne, bo Niemcy inaczej pokoju nie podpiszą, a ona nie chce nowej wojny prowadzić, gdyż przeciw temu oponuje ludność angielska; przecież tak p. Lloyd George argumentował wobec p. Paderewskiego na głośnem w naszej prasie posiedzeniu rady czterech, iż trzeba zrobić koncesye na niekorzyść Polski, bo inaczej Niemcy nie dadzą swej sygnatury na traktacie, a o Polskę koalicya nowej

wojny prowadzić nie będzie. Prawda, iż trzy wielkie, potężne syndykaty angielskie — górników, kolejarzy i robotników portowych — szły w tym kierunku, by do wznowienia wojny nie dopuścić, i żądały ustępstw dla Niemiec. Lecz chyba p. Lloyd George dobrze wiedział, iż Niemcy do oporu nie były zdolne, iż musiały pokój podpisać, a całe ich odgrażanie się było tylko bluffem bardzo sprytnym, by wymódz jakieś przecie ustępstwa, któreby i przez się coś znaczyły i mogły ułatwić podpisanie pokoju bez przewrotu wewnątrz kraju. I chyba wiedział p. Lloyd George, iż te obawy, co się stać może, jeśli Niemcy nie podpiszą, wyrażane np. przez prasę paryską, były tylko sztucznie wywołane, bo potrzebny był taki nastrój. Ustępstwa chciała porobić Anglia z innego powodu: bo uważała, że to zgodne z jej polityką wobec Niemiec, już pokonanych. A że trudno było je robić na rzecz Francyi, więc musiała je dać Polska. Cóżby to szkodziło, gdyby Śląsk Górny przy plebiscycie Niemcom przypadł? Byłyby lepszym dla Anglii klientem. Toż i ważne ustępstwo, że za majątki niemieckie, które wywłaszczy Polska, musi indywidualnie płacić interesowanym, a nie zapisze sum należnych tylko na konto swego »debet« w centralnej kasie odszkodowań, wzmocni dopływ pieniędzy do Niemiec na niekorzyść Polski.

Ustępstwa te, kosztem Polski ze względu na politykę Anglii wobec Niemiec uczynione, nie były przecież sprzeczne z ogólną polityką Anglii, życzącej Polsce, by istniała, ale by nie była zbyt silną.

Tego momentu ogólnego co do Galicyi wschodniej nie przeważa i interes 75.000 Anglików, mających udziały w nafcie galicyjskiej, a oświadczających się wraz z interesowanymi w tejże nafcie Belgami za tem, by te tereny przypadły Polsce, bo w ten sposób surowiec nie będzie oddzielony od rafineryi, zapewniony lepszy porządek prawny, a zagwarantowany dobry wewnętrzny targ Polski dla tego towaru.

* * *

I jeszcze tylko — dla całości obrazu — słów kilka o czwartej potędze, gdyż piąta — Japonia — zgoła na boku się w tych kwestyach trzymała, zdaje się zwyczajnie idąc razem z Anglią. Ta czwarta potęga — Włochy — nie jakiemś »egoismo sacro« kierowała się wobec Polski. Specyalnego politycznego interesu nie miała w kwestyi polskiej, odkąd rozbitą została Austrya, a więc nie wchodziła w rachubę sprawa pozyskania sprzymierzeńca poza plecami Austryi żyjącego. Stosunki gospodarcze będą istnieć, choć bez zbyt wielkiego znaczenia dla obu państw. I tak Włochy, które serdecznie w stosunku do nas się zachowywały, czyniły to wiedzione prawie wyłącznie szczerą, prawdziwą sympatyą, którą równie szczerze im naród polski oddaje. Oczywiście jednak trudno było wymagać, by Włochy z narażeniem swoich własnych interesów występowały w obronie polskich. Tem trudniej byłoby im to przyszło, że ich położenie

było na kongresie bardzo trudne, a znaczenie o wiele mniejsze, niż innych państw głównych. Co sympatya dać może, oczywiście bez narażania własnych interesów, to nam najchętniej Włosi dawali, i to bez jakichś szczególnych z naszej strony zabiegów i starań.

V.

Związek Narodów.

Nie mam zamiaru wyjaśniać na tle historycznem, jak się narodził projekt Związku Narodów, ile w nim wyłącznej myśli Wilsona, ale ile tych pierwiastków, które sięgają w tył, i to bardzo daleko w tył, nie tylko do trybunału haskiego, powstałego z inicyatywy Mikołaja II, ale gdzieś aż do Henryka IV i jego wielkiego planu, nawet jeszcze dalej, do utopii Marsyliusza z Padwy z XIV stulecia. Nie mam też zamiaru zestawiać tu systematycznie przepisów pierwszej części traktatu pokoju, która obejmuje »covenant« — umowę Związku Narodów. Tę pracę — bardzo potrzebną, bo u nas ogół prawie nic o Związku narodów nie wie — zrobią bez wątpienia inni, którzy zapoznali się lepiej odemnie z całą tą olbrzymią już dziś literaturą, jaką wywołał na zachodzie projekt Wilsona tak w francuskim, jak i w angielskim języku, którzy też przypatrzyli się bliżej tam, na Zachodzie, temu ruchowi za Związkiem Narodów, wychodzącemu z szeregu towarzystw, mających na celu propagowanie wielkiej idei, popycha-

nie naprzód pracy koło udoskonalenia tego, co przyniósł pod tym względem kongres. Moje zadanie ograniczam dużo skromniej; chcę tylko trochę podać własnych wrażeń, trochę refleksyi ze stanowiska polskiego w tej ważnej sprawie, która tak zgoła jeszcze naszego ogółu nie potrafiła zainteresować.

Wyjeżdżałem z kraju z pewnem zainteresowaniem, jak na prawdę przedstawia się kwestya wcielenia w życie pomysłu amerykańskiego. Nasłuchałem się i naczytałem w naszych »poważnych«, »trzeźwych« politycznie dziennikach tyle sceptycznych uwag! Z takiem politowaniem patrzyli nasi »wielcy« politycy na tych, którzy mieli — według ich zdania — jakieś złudzenia, iż Związek Narodów to nie jest humbug amerykański, czy jakiś poroniony płód teoretyzującego profesora. I jakoś tak trudno było te sceptyczne zdania pogodzić z tem, iż przecież ten autor Związku Narodów — to wielki naprawdę polityk, od którego w tak dużej mierze zależą losy świata, że przecież to chyba nie jakiś sobie nierealny utopista, jeśli potrafił zostać prezydentem olbrzymiej północno-amerykańskiej Rzeczypospolitej.

Zetknąłem się po raz pierwszy ze Związkiem Narodów na posiedzeniu komisyi kongresowej; wśród żywej dyskusyi jeden z członków zabrał głos i zwrócił uwagę, iż omawianej kwestyi dotyczy jeden z artykułów tymczasowego projektu Związku Narodów. Dyskusya upadła — sprawę milcząco uznano przez to za rozstrzygniętą. Miałem wrażenie, że jakiś niewidzialny duch, a mocny, stanął wśród obecnych

i poczuli wszyscy jego tchnienie. Nie miałem odczucia, jakoby w komisyi zasiadali zwolennicy ligi; raczej zdawało mi się, że widzę jakby ironiczne uśmiechy, a przecież nikt się nie odważył na słowa opozycyi. Projekt ligi — to było rzeczywiście — tabu. Ale może nie tyle ze względu na uznanie znaczenia tej idei, ile na jej twórcę — potężnego prezydenta Stanów Zjednoczonych, który w nią włożył całą swoją duszę.

Z głębi jego duszy wyszła ta idea, wielka, czysta, szlachetna, opracowana mózgiem, ale wyhodowana gorącą krwią serca, kochającego ludzkość, chcącego zapobiedz w przyszłości wzajemnemu jej tępieniu się. To nie tylko teoryjka, którą wymyśliła profesorska głowa Wilsona wśród rozmyślań nad istotą stosunków międzypaństwowych i historyą świata. To także — a raczej przedewszystkiem — owoc jego religijnych przekonań, tak silnych wśród społeczeństwa amerykańskiego; on sam przecież pochodzi z rodziny pastorów. Czyż nie jest to już charakterystyczną cechą, iż sama umowa dostała nazwę covenant'u, wziętą z nazwy umów związków religijnych? Nie tylko głębokie przekonanie profesora w słuszność stworzonej przez niego idei zachęcało Wilsona do tego, by wcielenie jej w życie popierał całą mocą, ale religijny, apostolski wprost zapał. Tej myśli podporządkowana była cała jego działalność na kongresie, dla niej musiał czynić nawet, wbrew zapatrywaniom, koncesye w innych sprawach, ale takie, które raczej poświęcał jako mniej ważne, byle tę, najważniejszą, ocalić.

Umiano, przynajmniej zewnętrznie, uszanować religijny zapał Wilsona; nie wypadało krytykować szlachetnej idei, zaczepiać potężnego polityka, którego postąpienie przechyliło szalę wojny, a przynajmniej przyspieszyło przesilenie. Ale równocześnie z artykułów różnych projektów kongresowych usuwano przecież łączenie przepisów z ligą, co było początkowo rzeczą dość częstą; chętniej dawano bardziej konkretne rozwiązania, niż odsyłanie do przyszłej ligi, któraby sprawę miała załatwić. Ale po jakimś czasie zaznaczył się zwrot. Znowu nawrócono do ligi, znowu coraz częściej pojawiały się wnioski, by lidze przekazywać pewne sprawy, które po zawarciu traktatu musiałyby być dopiero załatwione, lub też które stale mogłyby dawać powrót do różnic zdań i sporów. Stało się jasną rzeczą, iż — Związek Narodów przyjdzie do skutku, iż jest rzeczą całkiem realną, że więc można operować tą instytucyą w razie potrzeby.

Czy chodziło jedynie o to, iż trzeba było się pogodzić z wolą tak potężnego czynnika, jak Wilson? Czy uznanie Związku jako instytucyi realnej miało być tylko kwestyą niejako kurtoazyi, wywdzięczenia się mu za pomoc, którą dał koalicyi?

Oczywiście — nie. Wzgląd na siłę Wilsona, starającego się z fanatyzmem prawie przeprowadzić swoją ideę, bardzo dużo znaczył w zachowaniu się innych państw na kongresie, specyalnie tych największych, decydujących. Ale były i inne względy. Z ideą Związku Narodów i usunięcia przezeń groźby wojen na przyszłość łączył się czynnik

interesu, i to bardzo żywotnego. Mniejsze państwa przeważnie chętnie patrzyły na ten Związek, który, gdyby rzeczywiście stał się tak potężną ponadpaństwową instytucyą, jak marzył Wilson, byłby dla nich najlepszą tarczą w przyszłości, którąby się mogły zasłonić w spółubieganiu się narodów, zabezpieczyć się przed »prawem« mocniejszego, będącego przecież w wojnie siłą decydującą. A do czego taki mocny jest zdolny, zwłaszcza jeśli to tego rodzaju mocarz, pozbawiony wszelkich skrupułów etycznych, jak Niemcy, to poznały te państwa w czasie wojny, o tem pouczyły ich pokoje takie, jak brzeski lub bukareszteński.

Ale zdanie tych państw »aux intérêts particuliers« nie wiele znaczyło na kongresie. Na szczęście dla ligi, miała ona tam poparcie także ze strony, której nie można było lekceważyć: Francyi. Francya, obawą wobec Niemiec przeniknięta, nie łudząca się, by wygrana wojna zabezpieczyła ją raz na zawsze, upatrywała w lidze zabezpieczenie na przyszłość, ogromnej doniosłości dla niej. Wszakże cała potęga Związku stanąćby musiała za nią w razie grozy niebezpieczeństwa. Tak we Francyi, w której hasła Związku zgrupowały wogóle bardzo licznych, gorących zwolenników z ideowych pobudek, znalazł Wilson dla swojego projektu poparcie bardzo wydatne także ze względu na realne interesy tego kraju. Projekt, łączący głosy Ameryki i Francyi, nie mógł tak łatwo zostać odrzuconym.

Niechętna lidze, a zewnętrznie obojętna wobec niej, była zwłaszcza Anglia. Polityka angielska, tylko

interesem, bardzo trzeźwo obliczonym, kierująca się, nie upatrywała ani potrzeby Związku dla siebie, ani wogóle korzyści. Anglia, przed wojną tak potężna, że mogła sobie pozwolić nawet na »splendid isolation«, przez wojnę wzmogła swoją potęgę do niesłychanych granic. Nie potrzebuje się obawiać żadnego napadu, gdy zgniotła jedynie niebezpieczne Niemcy, a od sparaliżowanej Rosyi ma na czas długi spokój. Z innemi nieprzyjaciółmi da sobie sama rady, potrafi się nietylko obronić. Utworzenie ligi krępowałoby swobodę ruchów Anglii, utrudniało jej prowadzenie własnej, zgoła niezależnej polityki; zwłaszcza gdyby się urzeczywistnić miały z Związkiem w założeniu łączone pomysły ograniczenia zbrojeń, mogłaby się ona znaleźć w nieprzyjemnem położeniu, gdyby musiała zastosować je do swej floty.

Z tych powodów Anglia nie życzyła sobie utworzenia Związku, choć trudno było to wyraźnie mówić. Ale i ona ostatecznie nie wystąpiła przeciw Związkowi, gdy nietylko potrafiła przeprowadzić w projekcie zmiany, tępiące jego dla niej nieprzyjemne kanty, ale stwierdziła, że można będzie Związek zużytkować jako nowy, nieznany jej poprzednio, a podatny instrument.

Bo polityka, która jeszcze w Europie włada dotąd, na długiej tradycyi wsparta a interes wysuwająca na plan pierwszy, właściwie jedyny, polityka, której reprezentantką dziś według najczystszego typu jest po Niemczech Anglia, przypomina ku bietę-kokietkę, która wszystko ceni, co zużytkować potrafi dla swej gry życiowej — salonową rozmowę,

czy wir tańca, uczone zebrania czy wykłady uniwersyteckie, kościelne nawet obrzędy i zwyczaje. Nie szukajmy u niej moralności. Tak polityka tego rodzaju, o którym mowa, uzna każdą ideę, jeśli z niej korzyść można odnieść; a pięknym, nieraz modnym też, płaszczykiem idei przykryć rękę, wyciągniętą po — korzyść, to nawet dodaje polityce pikanteryi, specyalnego wdzięku, choć może dla niektórych wyczuć, mającej trochę cyniczny posmak.

I otóż pokazało się, że można ideę Związku doskonale zużytkować praktycznie. Choćby np. w takiej sprawie, jak kolonie. Trudno byłoby zażądać dla jakiegoś państwa, by mu oddano znaczną część kolonii niemieckich, zwłaszcza jeśli takie państwo na początku wojny zapowiedziało, iż nie myśli powiększać przez nią swojego terytoryum. Ale co innego przecie, jeśli kolonie oddane zostaną lidze narodów, a ona odda — mandat do zarządu kolonii takiemu państwu. Jeśli nawet inne państwa, słabsze, takie mandaty też dostaną, to przez zatrzymanie zwierzchnictwa na rzecz ligi można będzie je tak trochę zawsze trzymać w pewnej zależności, gdyż trudno, by te mniejsze, może nawet w radzie ligi nie reprezentowane, mogły czynić jakieś wstręty państwu potężniejszemu co do zarządu oddanemi mu koloniami.

I tak więc usunięte zostały trudności, projekt Związku Narodów w zasadzie miał pełne poparcie. Tylko — w zasadzie; bo oczywiście były kwestye co do przeprowadzenia myśli. Przypatrzmy się, jak w rezultacie wyglądają najważniejsze posta-

nowienia o Związku, bo to nam najlepiej pozwoli ocenić, czem on miał być, czem zaś — będzie.

Związek zostaje zawiązany, jak głosi wstęp »umowy«: »w celu poparcia współdziałania narodów oraz zapewnienia im pokoju i bezpieczeństwa«. Miał on zapewnić usunięcie wojen, dać gwarancyę, że sprawy sporne między państwami będą poddawane rozstrzygnięciu przez utworzony w tym celu sąd, doprowadzić do ograniczenia zbrojeń.

Otóż wojny Związek nie usuwa, zasadniczo uważa ją za dopuszczalną, byle po dopełnieniu pewnych formalności. Art. 12 traktatu tak postanawia; »Państwa, należące do Związku, godzą się poddać każdy spór, mogący wywołać zerwanie stosunków, sądowi rozjemniczemu lub zbadaniu przez radę (Związku) i nie uciekać się do użycia siły zbrojnem przed upływem trzech miesięcy od wyroku rozjemczego lub sprawozdania rady«. Orzeczeniu rady ma się obowiązek poddać państwo tylko wówczas, jeśli uchwała jej zapadnie jednomyślnie (oczywiście bez udziału stron interesowanych): »W razie jeśli radzie nie uda się zjednać jednomyślności wszystkich członków, nie reprezentujących stron wiodących spór, państwa, należące do Związku, zastrzegają sobie prawo postąpienia według tego, co uznają za niezbędne celem obrony prawa i sprawiedliwości«.

A jeśli państwo nie zastosuje się do wyroku sądu rozjemczego czy jednomyślnej uchwały rady, czy liga może wystąpić zbrojnie przeciw opornemu? Statut ligi przewiduje różne środki, ale nie ten je-

dynie skuteczny — zbrojnej egzekucyi postanowień. Wnioski o utworzenie siły zbrojnej, którąby rozporządzała liga, nie uzyskały poparcia, nie stały się prawem, mimo nalegań Francyi, która je stawiała.

A rozbrojenia? Art. 8 mówi: »Państwa, należące do Związku, uznają, że utrzymanie pokoju wymaga ograniczenia zbrojeń do minimum, niezbędnego celem zapewnienia zarówno bezpieczeństwa narodowego, jak i wykonania przez wspólną akcyę zobowiązań międzynarodowych«. Ale plan rozbrojenia będzie dopiero opracowany przez radę a następnie te propozycye będą musiały być przyjęte przez poszczególne rządy. Zdaje się więc, że do tego rozbrojenia — bardzo daleko. Chciano na razie rozbroić »małe« państwa: Polskę, Rumunię, Jugosławię i Czechy, i w końcu maja zaproponowano im to; lecz nawet ich rozbrojenie przecież się nie udało. Można też mieć wątpliwości, czy będzie przestrzegany ustęp z art. 8: »Należące do Związku państwa zobowiązują się udzielić sobie nawzajem szczerych i zupełnych wiadomości, dotyczących stopy swoich zbrojeń, programów wojskowych i morskich, oraz stanu tych gałęzi przemysłu, które mogą być przystosowane do celów wojennych«.

Tak Związek narodów w ostatecznej redakcyi dużo inaczej wygląda, niż go sobie obmyślił Wilson. Starczyłoby tej materyi, którą przygotował Wilson, na obszerną, wygodną szatę dla ludzkości powojennej. Gdy zaczęto z niej szyć to ubranie, po przykrawaniach, poprawkach, dodatkach, zrobił się z niej

kusy fraczek, bardzo kusy, nawet bardzo podobny do przedwojennego, oddawna używanego.

Lecz czyż się dziwić można? Czyż nowa idea, silnie odbiegająca od poprzednio istniejącego stanu, może odrazu zdobyć sobie uznanie? Czyż tak nie było już z tylu ideami? Głuszyły je szeroko rozrośnięte w duszach ludzkich chwasty przekonań, nawyknień czy przesądów, że trzeba było wielu lat, trzeba było ogromu pracy, by przecież te chwasty usunąć i miejsce zrobić dla nowej rośliny, by się mogła przyjąć i rozkorzeniać, już nie głuszona przez nie. Przeprowadzenie. nowych idei najtrudniejsze właśnie w stosunkach międzynarodowych; wszakże sceptycy twierdzą, iż zmiany w nich, wywoływane zwłaszcza wojnami, zdawałoby się tak doniosłe, są tylko przesunięciami sił i wartości, ale w tejsamej płaszczyźnie, nie zaś jakąś ewolucyą, nie krokiem naprzód.

Lecz nietylko dlatego idea Związku Narodów natrafiła na trudności, że miały tę nową roślinę szczepić dłonie ogrodników, niechętnych jej, przyzwyczajonych długą praktyką do innej uprawy ziemi, do zasadzania i pielęgnowania innych szczepionek międzynarodowego ducha. Bo wszakże to dyplomaci starej szkoły, wywodzący swój rodowód z przed kilku wieków, zostali powołani do przygotowania statutu ligi, dyplomaci, przywykli uważać za najwyższe przykazanie bronienie jednostronne interesów własnego państwa, obcy temu, by wcielać zasady miłości bliźniego także w wzajemnem narodów stosunku. To, że starych ludzi powołano do pracy nad

nową ideą, nie mogło — oczywiście — wyjść tej pracy na korzyść. Ważniejszy, głębszy jeszcze jednak powód istnieje, który nie tylko sprawił na kongresie, że do Związku z nieufnością się zwracano, ale będzie utrudniał długo jego pełniejsze rozrośnięcie.

Związek narodów miałby stać — według jego koncepcyi — ponad państwami, być wyższą ponad nie instancyą. Byłoby to jakieś nad-państwo, z najistotniejszemi atrybucyami suwerennemi w stosunku do innych państw, które nie tylko miałoby chronić ich całość terytoryalną ustaloną przez traktaty paryskie, ale sięgałoby znacznie dalej, mogłoby sądzić ich czyny, wydawać wyroki, wymuszać je siłą zbrojną, mieszać się do szeregu spraw wewnętrznych. Jak państwo związkowe ogranicza suwerenność państw do związku należących, taksamo Związek narodów, choć złożony z państw suwerennych, przecież byłby w stosunku do nich jakby takiem państwem związkowem. Gdzie granica jego władzy, jeśli się raz narodzi dość silny? Czyż nie byłoby naturalną rzeczą, że będzie on dążył do tego, by swoją władzę coraz rozszerzać?

I czyż się można dziwić, iż dzisiejsi ludzie, wychowani w pojęciach suwerenności państwa, nie mogą się łatwo pogodzić z taką zasadniczą zmianą pojęć? Czyż można się dziwić, że państwa współczesne, dumne z tej swej suwerenności, które w czasie wojny, nawet pod grozą swego zniweczenia, nie łatwo poddawały ją ograniczeniom, naprawdę tę suwerenność z lekka dotykającym — że te państwa nie chcą się pogodzić z myślą, iż mają odrazu tyle z tej

suwerenności się wyrzec? Ileż to wieków trwało, nim udało się człowieka ujarzmić, poddać jego przedpaństwową suwerenność ograniczeniu, tak że dziś ślady jej już tylko pozostały prawie dla oka niewidoczne. Tyle wieków pracował Kościół, by uczyć ludzi, że drugi człowiek jest jego bliźnim, że nie wolno mu czynić tego, co samemu nie jest rzeczą miłą. Tyle wieków pracowało państwo, by przez groźbę kar, i tych kar wykonywanie, by potem przez urzędy czy szkoły wprowadzać w życie uznanie zasad, że poszczególni ludzie nie mogą być sobie wilkami. A jednak — czy choćby dziś w pełni przeniknęła do przekonań ta zasada? Czy wojna nie dała przykładów, jak łatwo człowiek otrząsa się z tych węzłów, jeśli może, i wraca do suwerennego egoizmu? A o ileż silniejszą jednostką jest państwo, z milionów ludzi złożone, rozporządzające wojskiem i armatami, państwo, któremu nie przypisuje się zgoła, że ma sumienie; przecież nawet historya tak rzadko próbuje pociągnąć państwo przed swój konfesyonał, by, w nim zasiadłszy, choćby platonicznie osądzać, co dobre, a co złe w jego działaniu. Wprost przeciwnie zwyczajnie się dzieje — doszło do ubóstwienia państwa, do uświęcenia w opinii wszelkich jego czynów jako nie mogących mieć kwalifikacyi moralnych, zawsze jakoby moralnych, jeżeli prowadzą do celu.

Mimo iż obecna wojna wykazała, że tak być nie może, mimo iż zgniecione Niemcy taką, najjaskrawiej u nich występującą, »moralnością« państwową muszą napełnić wstrętem uczucia, oburzeniem przekonania, to jednak przecież na ogół jeszcze

pojęcia suwerenności są zbyt silne, zbyt potężne, by mogły umysły i serca pogodzić tak gwałtownie z tem, że powinno się ograniczyć tę suwerenność, że powinno się uznać, iż ona ma też stosować się do praw, przestrzegać przepisów, że może być zmuszoną do posłuszeństwa siłą, karaną nawet.

Nie dziwmy się, że suwerenność państwowa, przez wieki praktyki rozwinięta, teoryą nauki o państwie wyjaśniona i uzasadniona, opiera się ograniczeniu, poddaniu pod inną wolę, wyższą, której dotąd nie znała; dodajmy na jej usprawiedliwienie, że nie ma ona, jak dotąd, żadnej gwarancyi, iż ta wyższa wola będzie dbała rzeczywiście o salus reipublicae całego świata, że będzie naprawdę sprawiedliwą, bezstronną.

* * *

Takie uwagi nasunął mi ten Związek, gdy — z daleka zresztą — patrzyłem na jego powstawanie. Ale znaną rzeczą, iż Polaka — Polska przedewszystkiem obchodzi; znaną anegdota, że gdy do Afryki dla badań nad słoniem pojechało kilku uczonych różnych narodowości, Anglik napisał broszurę o handlu kością słoniową, Niemiec traktat trzytomowy o słoniu i jego życiu, Francuz nowelkę na temat miłostek słonia, a Polak—rozprawę pt. »słoń a kwestya polska«. Ta anegdota przypominała mi się często w Paryżu — tam Polaków, omal że wszystkich, poza kwestyą polską nic nie obchodziło, oceniali wszystko pod kątem widzenia, nastawionym według tego wymiaru.

A oczywista, iż kwestya Związku narodów dla

sprawy polskiej nie jest obojętna, przeciwnie — ogromnego znaczenia. Wszakże po wojnie, mimo iż tak dużą, zjednoczoną będziemy mieli Ojczyznę, położenie nasze będzie niesłychanie trudne, niebezpieczne. Wciśnięci będziemy między dwie potęgi, Niemcy, na razie zgruchotane, ale i tak potężne, już rozpoczynające się odbudowywać, i Rosyę, w sobie rozbitą, ale mogącą w przyszłości, może niezbyt dalekiej, znowu zostać wielką potęgą choćby ze względu na tę olbrzymią ludność, którą obecnie to państwo skupi nawet w razie odłączenia od niego części nie rdzennie rosyjskich. Musimy ciągle się lękać porozumienia tych dwóch sił, porozumienia, które istniało między carską Rosyą i nawpół absolutnie rządzonemi Niemcami, które istnieje dziś między Rosya bolszewicką a pseudo-demokratycznemi Niemcami, zaistnieć może w przyszłości między jakąkolwiek Rosyą a jakiemikolwiek Niemcami, i to właśnie na gruncie sprawy polskiej. Mogą się odrodzić w pełni dążenia, które spoiły »komunią wyznań« — według cynicznego wyrażenia Fryderyka II — te dwa państwa, komunią z Polski uczynioną. Związek narodów, gdyby powstał silny, potężny, gdyby stał na straży praw narodów, byłby nam walną podporą, dawałby opiekę, bezpieczeństwo spokojnego życia i rozwoju. W naszem interesie jest, by on istniał, wzmacniał się.

Nie zanosi się jeszcze na to; ten Związek, który obecnie powstanie, będzie miał bardzo jeszcze słabe rusztowanie. Zajmie się on za to sprawami, które mu z niechęcią oddamy, gdy — nie gwarantując na-

szego bezpieczeństwa — już naszą suwerenność ogranicza. Na razie — może na długo — musimy szukać sprzymierzeńców na starą modłę, w państwach, które zgodny z nami mają polityczny interes. Ale i tego Związku, co powstanie, nie należy lekceważyć. W każdym razie pewne znaczenie mieć on będzie. Trzeba dbać choćby o to, by w nim nie objawiły się prądy przeciw nam. Wszakże nam wrogów nie brak, wielu i zaciętych. Liga, pojęta idealnie, szlachetnie, może być użytą dla celów mniej szlachetnych, mniej idealnych. Trzeba nam wiedzieć, co się tam dzieje w tej lidze. Choćby nawet nie wierzyło się, że ta liga będzie długo istnieć, że jej idea zwycięży z czasem, prosty interes nakazuje nie lekceważyć jej, zapoznawać się z całym ruchem, który koło niej się skupia, rozumieć go, brać czynny udział, by temu ruchowi z naszej strony przynosić takie podniety, jakie dla nas są ważne i korzystne.

Za mało u nas zainteresowania się ligą narodów. Prawda — byłoby rzeczą niebezpieczną, gdybyśmy przejęli się zbytnio tą ideą, jak długo ona nie jest ugruntowana w umysłach innych narodów, zwłaszcza najbliższych. Służba najszczytniejszej idei może być — niebezpieczną. My w walce, która w Europie od XVI stulecia toczyła się inter libertatem et maiestatem, przyczem majestat utożsamił się z absolutyzmem, stanęliśmy z całej duszy po stronie wolności, z tym rezultatem, że nie dopuściliśmy do tryumfu »majestatu« królewskiego, lecz też osłabiliśmy siłę państwa tak, że w końcu XVIII wieku ulegliśmy rozbiorom. Byłoby źle, gdybyśmy ideę Związku prze-

jęli tak silnie i szybko, iżbyśmy uwierzyli zawcześnie w przekształcenie natury ludzkiej, iżbyśmy — wyciągając konsekwencye z idei Związku — rozbroili się, nim się rozbroją nasi liczbą od nas silniejsi sąsiedzi. To byłoby niebezpieczeństwem. Ale zdaje mi się, że ono nie zachodzi, że raczej grozi tu inne: iż możemy zlekceważyć tę ideę, zaniedbać ją, miast starać się ukuć z niej także kapitał dla naszej przyszłości. Wszakże do tego Związku będzie należeć zwierzchnicza władza nad Gdańskiem, który dla nas ma taką ogromną wagę. Wszakże do tego Związku należeć ma czuwanie nad prawami mniejszości w Polsce, rozstrzyganie sporów w tych kwestyach rodzących się. Wszakże rozstrzygnięciu Związku poddawane będą spory z wykonywania przepisów co do umiędzynarodowienia Wisły. Wszakże z tym Związkiem będzie łączyć się też szereg innych spraw, wynikających z traktatu.

A my na razie w Związku mamy głos bardzo słaby, bo jedynie będzie reprezentowana Polska w »Zgromadzeniu« Związku, w którem biorą udział wszystkie państwa, do Związku należące — a liczba to bardzo znaczna, gdy obecnie do Związku z mocy traktatu wchodzi ich 27, a zaproponowanych jest z pośród neutralnych — 13. Lecz w tym organie, który będzie miał główne zadania do spełnienia, w »radzie« Związku, Polski nie ma. Do rady wejdzie obok pięciu przedstawicieli głównych mocarstw — Stanów Zjednoczonych, Anglii, Francyi, Włoch i Japonii — czterech przedstawicieli mniejszych państw, a to wyznaczonych na razie przez statut ligi, ażby zostały wy-

brane te państwa przez pierwsze zgromadzenie Związku. Temi państwami są: Belgia, Brazylia, Hiszpania i Grecya. Wielka to szkoda, iż do nich nie należy Polska. Ale to jeszcze rzecz nie stracona. Pierwszy wybór może zmienić te państwa, które poza pięciu potęgami do rady należą. O ile nie uda się Polsce wejść do Związku przy pierwszym wyborze, to może próbować dostać się tam przy powiększeniu liczby członków, które przewiduje statut ligi; rada może »za zgodą większości zgromadzenia powiększyć liczbę należących do Związku państw, których przedstawiciele zasiędą w radzie z wyboru zgromadzenia«.

A już obecnie uważać należy, by przynajmniej w sekretaryacie Związku narodów byli urzędnicy Polacy. Przypuszczać należy, iż najdzielniejsze siły tam się będzie wysyłać w razie, gdy rada zająć będzie się miała jaką sprawą, Polski dotyczącą; w takim bowiem wypadku: »każdy członek Związku, w radzie nie reprezentowany, będzie wzywany do wysłania swego przedstawiciela, ilekroć radzie przedłożona zostanie sprawa szczególnie go dotycząca«.

* * *

Sprawa ligi narodów zajmowała członków Biura kongresowego, wśród których kilku zapoznało się dobrze z obszerną literaturą przedmiotu i śledziło przebieg sprawy na kongresie, jak i ruch we Francyi i Anglii. Byli to zwłaszcza pp. prof. Halecki, dr. Winiarski i dr. Rundsztein. Szef biura prac kon-

gresowych, p. Pułaski, dążył do utworzenia wewnętrznej, w biurze, komisyi, odpowiadającej kongresowej Komisyi dla Związku narodów. Gdy się to z pewnych względów nie powiodło, przecież zajęto się w inny sposób sprawą ligi. Przy obradach nad tą kwestyą zaproponowałem, by Biuro gromadziło literaturę podmiotu, i to w kilku egzemplarzach, bądź zakupując dostępne w handlu księgarskim książki, bądź starając się dostać egzemplarze broszur i wogóle publikacyi, do handlu nie wprowadzonych, by można skompletować biblioteki tego działu w kilku głównych centrach naszego umysłowego życia. Gorliwie zajął się tem sekretarz Biura, p. Halecki. Zaproponowałem też utworzenie polskiego towarzystwa przyjaciół ligi narodów. Na jednem z wieczornych zebrań w hotelu delegacyi polskiej wygłosił prof. Halecki, entuzyastyczny zwolennik ligi, odczyt o lidze, uzupełniony w dyskusyi przez nieco sceptyczniejsze moje poglądy i silnie już sceptyczne p. Winiarskiego. Wyrażono zgodę i potrzebę zawiązania towarzystwa. Przygotowany statut przesłano do Warszawy, a w Paryżu stworzono Koło towarzystwa, mające wogóle towarzystwo reprezentować zagranicą, ażby się ono ukonstytuowało w Warszawie i rozwinęło działalność. Prof. Górski, wybrany przewodniczącym, i prof. Halecki jako sekretarz rozwinęli żywą działalność na miejscu, by wejść w kontakt zwłaszcza z Towarzystwem francuskiem, które skupiało w sobie Towarzystwa z poza Francyi, prawie już wszędzie stworzone. Przyznano naszemu towarzystwu miejsce i głos

i miało ono brać udział w najbliższym zjeździe, w końcu czerwca, jednak odroczonym. Prof. Halecki przygotował też ze strony polskiej szereg wniosków na zjazd, przyjętych z drobnymi poprawkami przez zarząd paryskiego towarzystwa.

Oby towarzystwo w kraju jaknajprędzej powstało i rozwinęło działalność, popierając, a ewentualnie i pobudzając też, czynność pod tym względem naszego rządu.

VI.

Obywatelstwo polskie.

Nie obojętną dla państwa jest rzeczą skład ludności, która do niego prawnie należy, tj. jego obywateli, na których określenie na kongresie używano nazwy prawie że nowo ukutej: ressortissants. Język francuski nie odróżnia dotąd jeszcze dość ściśle narodowości i przynależności państwowej; wszakże np. w traktacie frankfurckim z r. 1871 w artykule, mówiącym o tem, że mieszkańcy Alzacyi i Lotaryngii dostają obywatelstwo państwowe niemieckie, wyrażono to tak, iż Francuzi stają się Niemcami. Dla nas oczywiście taki zwrot jest wprost monstrualnym; ale też my, którzy państwo straciliśmy w końcu XVIII wieku a w XIX stuleciu mieliśmy tylko czasowo jego fragmenty, wyrobiliśmy tak jasne i silnie wyodrębnione pojęcie narodowości, jak nie wiele innych narodów. Z pod pióra też Polaka, prof. Wincentego Lutosławskiego, wyszła — wydana przez koło paryskie przyjaciół Ligi narodów — broszura, precyzująca dużo lepiej pojęcie narodowości, niż dotąd

jakakolwiek inna praca (La conscience nationale et la ligue des nations. Paryż 1919). Francuzi dopiero w czasie kongresu zaczęli silniej odróżniać pojęcie narodowości i obywatelstwa państwowego, a że na określenie tego ostatniego nie mogli już używać wyrażeń dla narodowości właściwych, nie chcieli zaś oczywiście pozostawać przy nieodpowiadającym obecnym stosunkom terminie: poddany (sujet), przeszli do używania tego nowotworu »ressortissant«, który też stale pojawia się w traktacie. Wyrazy »nationalité« i »nationaux« oznaczają jednak w nim — zgodnie z duchem francuskiego języka — przynależność państwową, nie narodowość.

Polska wśród tych swoich »ressortissants« będzie mieć sporo nie-Polaków, którzy się jej dostaną wraz z ziemią. Obywatelami jej mają prawo moralne stać się ci, którzy siedzą oddawna na ziemiach, Polsce przyznanych. Ale czy mają pozostać w Polsce, czy mają dostać jej obywatelstwo, a z niem prawa, nawet polityczne, ci, którzy zostali nasłani do Polski przez rząd obcy, wrogi nam, by ją germanizować czy rusyfikować? Czy mają zostać obywatelami polskimi urzędnicy, których w takich masach nasyłał rząd niemiecki, pruski czy rosyjski do ziem polskich, nie dopuszczając tam zgoła żywiołu polskiego do władz administracyjnych czy sądowych, nawet do szkolnictwa? Czy mają pozostać obywatelami polskimi ci koloniści niemieccy, których sprowadzano z najróżnorodniejszych okolic, by polskiej ziemi nadawali wygląd obcy, niemiecki, by uprawiali rolę, wydartą Polakom, na pożytek wrogi synom tej ziemi,

by wieńcem otaczali polskie miasta i miasteczka i wygładzali polskie kupiectwo i rzemiosło przez stały bojkot, zachęcani do tego, wprost wzywani po to przez rząd pruski? Niemców dość mieć będziemy w państwie, których nikt nie zamyśla usuwać, o ile zdawna tu siedzą, gdy można się spodziewać, że pogodzą się ze zmianą losu, że może z nich zrobią się nawet patryoci polscy, choć używający obcego języka, jakich nie brakowało dawniej w Polsce. Ale pozostawienie w Polsce żywiołu napływowego, z krajem nie związanego, któryby może chce zostać ze względu na lepsze warunki gospodarcze bytu, ze stanowiska polskiego oczywiście nie może być pożądane. Nikt w Polsce nie myślał i myśli o przeprowadzeniu jakiegoś masowego rugowania ludności niemieckiej — w tym rodzaju, jak to projektowali w czasie wojny, gdy byli chwilowo zwycięzcami, Niemcy, którzy głosili, iż potrzebna im jest polska ziemia, ale nie polska ludność. Usunięcia jednak czynników wrogich nam, obcych Polsce, bo z nią nie związanych, ale sztucznie tylko na naszą ziemię implantowanych, możemy się śmiało domagać.

W traktatach międzynarodowych, przez które terytorya jednego państwa dostają się innemu, oddawna to jest rzeczą zwyczajną zamieszczać przepisy, określające kwestyę obywatelstwa ludności, osiadłej na terytoryach, zmieniających zwierzchnictwo państwowe. Przyjętą została w praktyce prawa międzynarodowego, traktatami stwierdzanej, zasada, iż taka ludność otrzymuje obywatelstwo tego nowego państwa, któremu terytoryum się dostaje; za

taką zaś ludność poczytuje się zwykle tych wszystkich, którzy na takiem terytorytoryum mają miejsce zamieszkania, nie tych, którzy pochodzą z takiego terytoryum bez względu na ich rzeczywiste zamieszkanie. Przecież jednak teoretycy, oświadczający się za tem, iż co do przyznania obywatelstwa powinna rozstrzygać zasada zamieszkania (principe de domicile), a nie zasada pochodzenia (principe d'origine), uznają, iż przyjęcie tej drugiej zasady jest usprawiedliwione, jeśli chodzi o terytoryum, wyodrębniające się z całości państwowej (ob. np. A. Weiss, Traité théorique et pratique de droit international privé, wyd. 2-gie, Paryż 1907, str. 600).

Ze względu na specyalne stosunki, tyczące się zaboru pruskiego, rzeczą, odpowiadającą naszemu poczuciu słuszności, byłoby oparcie przyznania obywatelstwa polskiego na zasadzie zamieszkania (domicile), ale w kombinacyi z zasadą pochodzenia (origine), i to w formie więcej złożonej, niż to zwyczajnie w traktatach jest przyjęte. Nawet zamieszkali nie powinni dostać obywatelstwa polskiego, o ile nie pochodzą stamtąd, należą do żywiołu napływowego; byłoby kwestyą więc tylko do dyskusyi, jak określić to pojęcie niepochodzenia z tego terytoryum, czy przyjąć zasadę, że nie pochodzą z niego ci, którzy się gdzieindziej urodzili i dopiero sami tu przybyli, czy też za podstawę wziąć pewną datę przybycia na te obszary z głębi Niemiec. Francya stanęła na stanowisku, iż nie uznaje za obywateli francuskich osób, zamieszkałych w Alzacyi i Lotaryngii, o ile one lub ich przodkowie osiedlili

się tamże dopiero po roku 1871. Dla zaboru pruskiego taką datą mogłyby być daty rozbioru Polski; nie możnaby ich jednak stosować do tych części terytoryum państwa pruskiego, obecnie oddanego Polsce, które nie przypadły Prusom przy rozbiorach, ale należały do nich już dawniej, jak Śląsk i Mazowsze pruskie. Datą taką mógłby być 26 kwietnia 1886 r., data ustawy kolonizacyjnej, jako oznaczająca etap forsownego niemczenia ziem polskich, lub też — z mniej silnem uzasadnieniem — data 20 marca 1908 r. jako data ustawy o wywłaszczeniu.

Ale z polskiego punktu widzenia nie tylko było rzeczą pożądaną domagać się tego wyjątku od czystej zasady zamieszkania na rzecz zasady pochodzenia; jeszcze drugi wyjątek na korzyść tej zasady nasuwa się niejako sam przez się. Poza terytoryami, które mają przypaść jako polskie Polsce, w Niemczech żyją setki tysięcy Polaków, zwłaszcza w Westfalii; mieliżby oni pozostać obywatelami niemieckimi nie módz stać się polskimi? Obywatelstwo polskie mogłoby im zapewnić przyjęcie zasady pochodzenia, boć omal wszyscy ci Polacy pochodzą — choć nie zawsze w pierwszem pokoleniu — z ziem polskich, Polsce obecnie przypadłych. Gdyby jednak zasadę pochodzenia przyjąć ogólnie co do tych ziem, toć znowu i Niemcy dostaliby obywatelstwo polskie, o ile z tych prowincyi polskich pochodzą; a jakaż racya kazałaby im je dawać, gdy przecież widocznie z temi terytoryami nic ich nie łączyło silniej, jeśli je opuścili, a ojczyzną dla nich są przecież całe Niemcy. Stąd w tym wypadku zasadę pocho-

dzenia znowu ograniczyćby trzeba przez zasadę narodowości, przyznać to prawo tylko Polakom pochodzącym z tych prowincyi; w praktycznem więc przeprowadzeniu prostszą rzeczą oprzeć w tym wypadku przyznanie obywatelstwa polskiego wprost na zasadzie narodowości i uzależnić je od zażądania go, czyli opcyi, — więc tak, by każdy Polak w Niemczech mógł oświadczyć wobec odpowiedniej władzy niemieckiej, że chce się uważać za obywatela polskiego. Oczywiście potrzebnymi byłyby pewne środki ostrożności, by rzeczywiście tylko Polacy mogli korzystać z tego prawa, a nie podszywali się Niemcy, by w ten sposób uzyskiwać polskie obywatelstwo.

W traktatach o odstąpieniu terytoryów obok zasady, iż mieszkańcy ich dostają obywatelstwo państwa, któremu takie terytoryum przypada, zwyczajnie jest zastrzeżone, iż mogą oni w ciągu pewnego czasu oświadczyć, że chcą pozostać obywatelami tego państwa, do którego te ziemie poprzednio należały. Jakkolwiek bowiem przypuszczać należy, że przeważna część mieszkańców pozostanie na miejscu, jednak byłoby rzeczą niewłaściwą zmuszać do przyjmowania nowego obywatelstwa tych, którzy chcą pozostać przy dawnem państwie; nie ma powodu sprzeciwiać się temu państwo przyłączające takie terytorya, gdyż nie jest dla niego rzeczą pożądaną zatrzymywać gwałtem jednostki, które mu są niechętne i mogą stanowić czynnik rozkładający. Stąd klauzula o prawie opcyi, stale w traktatach pomieszczana. Oczywiście, iż Polska nic mieć

nie może przeciw temu, by dozwolić na pozostanie obywatelami niemieckimi tym, którzy nie zechcą sami skorzystać z przyznania im prawa do polskiego obywatelstwa.

Takie względy musiały kierować stanowiskiem delegacyi polskiej przy tej kwestyi, do jakiego dążyć uregulowania co do przyznania obywatelstwa polskiego dawnym obywatelom niemieckim. Projekt artykułów, mających być podanymi ze strony polskiej, został przygotowany przezemnie, przeszedł dyskusyę w komisyi ekonomicznej (gdy prawnicza wówczas nie została jeszcze ukonstytuowaną), a następnie w naradzie delegacyjnej, i został wniesiony oficyalnie do kongresu wraz z odpowiedniem umotywowaniem. Nie byłoby jednak może rzeczą wskazaną podawać tutaj cały ten projekt.

Przez czas pewien były wątpliwości, która komisya kongresowa ma się zająć przygotowaniem takich artykułów; zapowiadano utworzenie dla tej sprawy zmiany obywatelstwa osobnej komisyi. Tak się jednak nie stało, a tymczasem komisya dla spraw polskich (Cambona), pracująca bez udziału Polaków, ułożyła odpowiednie artykuły. Przy wniesieniu projektu polska delegacya domagała się, by w razie nie przyjęcia go przez komisyę mogła przez eksperta swoje stanowisko dokładniej wyjaśnić; nie została jednak do tego wezwaną. Czy projekt polski był wzięty pod rozwagę? Zdaje się, że tak. Wyjaśnią to kiedyś protokoły komisyi Cambona. Zanotowania wart jeden fakt.

Gdy dnia 6 maja ogłoszono w streszczeniu tra-

ktat pokoju na pełnem zebraniu kongresu, ustęp co do nadania obywatelstwa polskiego tak podano, iż mieszkańcy terytoryów, odchodzących do Polski, otrzymują je z wyjątkiem tych, którzy osiedlili się tam dopiero po 26 kwietnia 1886 r. Tymczasem pełny tekst traktatu, wręczony Niemcom, jako taką datę podaje nie rok 1886 — ale 1908, według pierwotnej propozycyi komisyi Cambona. Wytłumaczenia tej sprzeczności delegacya polska nie otrzymała. Za ścisłe uznano brzmienie artykułu w pełnym tekscie traktatu.

Przepisy o obywatelstwie zawarte były w »Conditions de paix« w dwóch artykułach: 90 i 91, które w ostatecznym tekscie traktatu ściągnięto w jeden artykuł 91. Stało się to z tego względu, iż w ustępie o Polsce przy ostatecznej odpowiedzi Niemcom dodano nieco postanowień, a nie chciano zmieniać przez to porządku artykułów całego traktatu; nieco zmieniono także redakcyę tych postanowień.

Obowiązujące przepisy tak wyglądają.

Przyjęto zasadę zamieszkania co do zmiany obywatelstwa; obywatelstwo polskie przyznano tym wszystkim, którzy mają miejsce zamieszkania »na terytoryum uznanem definitywnie za część Polski«. Zaznaczam, iż w »Conditions de paix« było: »na terytoryach uznanych za część Polski«. Według tekstu »Conditions« nabywali obywatelstwo polskie obywatele niemieccy na całym obszarze ziem, przypadających Polsce; przepis bardzo dziwny, by obywatelstwo polskie nadawać także obywatelom niemieckim, którzy jako tacy zamieszkiwali w obrębie

granic Królestwa Polskiego, Śląska lub Galicyi. Tekst zaś obecny traktatu możnaby tłomaczyć (jakby wynikało z porównania z artykułami 87 i 88), ewentualnie tak, iż terytoryum, uznane »definitywnie« za część Polski, to to terytoryum, które przeciwstawione jest terytoryum, poddanemu pod plebiscyt, a więc, że chodzi jedynie o terytoryum, które było pod władzą niemiecką, a dostaje się pod władzę polską. Niemcy więc, poza temi terytoryami mieszkający, nie nabywaliby obywatelstwa polskiego.

Takiej interpretacyi zdaje się jednak przeczyć dalszy (trzeci z rzędu) ustęp tegoż artykułu, który mówi o obywatelach niemieckich »mających miejsce zamieszkania na którem z terytoryów, uznanych za część Polski«; chyba, że będziemy tłomaczyć — w sposób trochę sztuczny — iż mowa tu o terytoryum defitywnie oddanem przez traktat Polsce i o tem, co do którego ma rozstrzygnąć plebiscyt. Gdy zmieniono liczbę mnogą: »części Polski« na »część Polski« w ustępie pierwszym, w pośpiechu jakby zapomniano uczynić to w ustępie trzecim tego samego artykułu [1]). Te nieścisłości mogą w praktyce ogromne wywołać trudności i zamieszania. Nie chcę tu przesądzać interpretacyi tych przepisów. Zaznaczam, iż zestawienie ich z artykułem 3 traktatu dodatkowego, zawartego przez Polskę z pięciu potęgami, doprowadziłoby do bardzo dziwnych rezultatów; ale to już jest

---

[1]) Podobno w ustępie pierwszym została liczba mnoga w tekscie angielskim, ale nie mogę tego sprawdzić, nie mając pod ręką definitywnego tekstu angielskiego.

kwestyą zbyt prawniczą, by ją tu można rozbierać. Wogóle tę trudność będą miały do rozwiązania władze polskie, o ile jej nie wyjaśni ustawa lub rozporządzenie administracyjne. Rozpatrzenie i załatwienie tej sprawy jest jedną z najpilniejszych, łączących się z wykonaniem traktatu.

Oczywiście, iż te przepisy tyczą się terytoryum Górnego Śląska, podlegającego plebiscytowi, tylko że terminy liczyć się mają od chwili definitywnego przyznania tego obszaru Polsce, jak to wyraźnie traktat zaznacza. Wprost zaś poprostu zapomniano, by tosamo przepisać co do terytoryów plebiscytowych w Prusiech Zachodnich i Wschodnich, tak że co do nich nie ma pod tym względem wyraźnego postanowienia.

O ile obywatele niemieccy dostają obywatelstwo polskie, zastrzega traktat, iż nabywają je z wykluczeniem obywatelstwa niemieckiego. Niemcy bowiem przez t. zw. lex Delbrück dozwolili, by Niemiec, przyjąwszy obywatelstwo obce, przecież zachował nadal i niemieckie po dopełnieniu pewnych formalności. Nie potrzeba chyba objaśniać, iż takie podwójne obywatelstwo — wbrew zwyczajom międzynarodowym przyjęte — przynosiło szkodę tym państwom, w których Niemcy nabyli obywatelstwo gdyż czuli się oni dalej także obywatelami niemieckimi i związani byli obowiązkami w stosunku do dawnej swej ojczyzny. Temu podstępnemu przyznawaniu podwójnego obywatelstwa ma zapobiegać ta wyraźna klauzula traktatu.

Jednakże od nadania obywatelstwa polskiego

ipso facto z racyi zamieszkania na terytoryach, które Polsce przypadają, wyjmuje traktat tych, którzy osiedlili się na nich po 1 stycznia 1908 r., jak i ich potomków, chyba żeby uzyskali obywatelstwo polskie przez specyalne nadanie. Ostatnia więc warstwa napływowa niemiecka nie otrzymuje obywatelstwa polskiego, ale tylko ostatnia, która napłynęła od lat jedenastu. Rzec można, iż ten przepis nas nie może zadowolić, gdyż zbyt wielu czynnikom, obcym nam i wprost wrogim, a naprawdę z ziemią naszą nie związanym, pozwala zostać wśród nas jako równouprawnionym współobywatelom. Data roku 1886 byłaby o wiele słuszniejszą.

Oczywiście, w myśl przyjętej praktyki, dla tych, którzy z racyi zamieszkiwania na tych Polsce oddanych terytoryach otrzymać mogą ipso facto polskie obywatelstwo, traktat zastrzega prawo opcyi na rzecz obywatelstwa niemieckiego; słuszna to, lecz do wykonania tego prawa zadługi postawiono okres — bo aż lat dwóch (licząc od daty wejścia w życie traktatu), co przez te dwa lata będzie wywoływało cały szereg trudności, jak np. co do wykonywania przez takie osoby praw politycznych. Ci, którzy wykonają prawo opcyi, będą mogli w ciągu roku od daty opcyi przenieść swoje miejsce zamieszkania do Niemiec, zabierając cały swój majątek ruchomy bez cła i bez jakichkolwiek świadczeń; nieruchomości mogą nadal zatrzymać w Polsce. Tak więc dopiero po roku od daty opcyi mógłby ich rząd polski wydalić jako cudzoziemców. Zatem Niemcy, którzyby nie chcieli przyjąć obywatelstwa

polskiego, będą mogli jeszcze trzy lata (dwa do opcyi, rok po opcyi) zamieszkiwać w obrębie granic naszego państwa.

Prawo opcyi mają ci, którzy ukończyli lat 18, z wykluczeniem jednak kobiet zamężnych, gdyż co do ich obywatelstwa decyduje obywatelstwo, jakie ma ich mąż; dzieci (poniżej lat 18) idą za rodzicami.

Takiesamo prawo opcyi przyznano także — na zasadzie narodowości — wszystkim Polakom, obywatelom niemieckim, mającym miejsce zamieszkania w Niemczech lub poza Niemcami; takisam co do nich obowiązuje termin, takiesame są wszystkie inne przepisy. I oni więc mają prawo w Niemczech pozostać najdalej przez trzy lata, poczem dalszy ich pobyt zależeć będzie już od zgody Niemiec. Brak przepisów co do kwestyi, jak ma być stwierdzoną narodowość polska w tych wypadkach.

* * *

Artykuły traktatu, tyczące się nadania obywatelstwa polskiego mieszkańcom terytoryów z Niemiec do Polski przyłączanych, mają nie tylko dlatego ogromną doniosłość, iż od nich zależy, jacy to ludzie dostaną to obywatelstwo już z prawa, ipso facto, a jakim my go możemy odmówić, więc w konsekwencyi w razie potrzeby pozbyć się ich jako obcych. Przepisy te jeszcze pod innym względem zasługują na baczną uwagę.

W art. 297 traktatu znajduje się taki przepis: »Z zastrzeżeniem przeciwnych postanowień,

mogących wynikać z niniejszego traktatu, państwa sprzymierzone lub stowarzyszone zachowują sobie prawo zatrzymania i likwidacyi wszystkich dóbr, praw i udziałów obywateli niemieckich lub spółek przez nich kontrolowanych na terytoryach tych państw... Likwidacya nastąpi stosownie do ustaw zainteresowanego państwa sprzymierzonego lub stowarzyszonego, a właściciel niemiecki nie będzie mógł ani rozporządzać temi dobrami, prawami i udziałami, ani obciążać ich jakiemikolwiek zobowiązaniami bez zgody tego państwa«.

Cóż to znaczy? Oto wszelkie majątki i prawa obywateli niemieckich, w obrębie Polski znajdujące się, może Polska zająć i na rzecz swoją wywłaszczyć. Będzie je oczywiście mogła objąć wprost na siebie, albo też odsprzedać, czy też przelać swoje prawa pod tym względem na inną osobę, fizyczną czy prawną, krajową czy pozakrajową. W ten sposób może się pozbyć majątków niemieckich i udziałów niemieckich, oczyścić więc swój kraj od wpływów kapitału niemieckiego. Niemieckiego — to oczywiście znaczy takiego, który jest udziałem obywateli niemieckich, boć oczywiście nie Niemców, obywateli polskich. To już wynika z istoty rzeczy, że chodzi o obywateli obcych, ale nie własnych, choćby obcej narodowości. Nie tyczy się zatem ten przepis tych Niemców, którzy dostaną obywatelstwo polskie ipso facto, t. j. tych wszystkich, którzy osiedli przed 1 stycznia 1908 r. Wyraźnie to wynika także z przepisu w tymże art. 297 traktatu: »Za obywateli niemieckich w rozumieniu niniejszego paragrafu nie

będzie się uważać tych obywateli niemieckich, którzy nabywają ipso facto obywatelstwo państwa sprzymierzonego lub stowarzyszonego w zastosowaniu niniejszego traktatu«; jest to właśnie przypadek naszych ziem, które otrzymujemy od Niemiec. Nie tyczy się ten przepis także tych, którzy wykonają prawo opcyi, jak to wynika z istoty rzeczy, a co stwierdza traktat, postanawiając, iż mają oni prawo po wykonaniu opcyi na rzecz Niemiec wywieść majątek ruchomy a nieruchomy zachować.

Tak więc Polska będzie mogła zająć majątki tylko tych, którzy w Polsce osiedli po 1 stycznia 1908 r., gdy innym państwom przyznano takie prawo bez żadnych ograniczeń co do wszystkich obywateli niemieckich. Widzimy, jaką doniosłość ma ze względu na tę kwestyę, iż przyjęto datę roku 1908, nie 1886, jak również, jak ważną jest dla niej kwestya interpretacyi, czy chodzi o Niemców, osiadłych w całej Polsce, czy też tylko na terytoryum, które od Niemiec do Polski przechodzi.

Nie wchodzę tu w kwestyę wywłaszczania osób prawnych, gdy nie łączy się ona już z art. 91, który mnie tu zajmuje; oczywiście, że takie spółki będą mogły być też wywłaszczane, o ile są filiami spółek, które w Niemczech mają swoją siedzibę, lub spółkami samoistnemi na terytoryum całego państwa polskiego, o ile przeważnie należą do obywateli niemieckich.

»Conditions de paix« stanowiły ogólnie, iż suma, należna wywłaszczonemu, nie idzie do jego rąk, lecz państwo wywłaszczające zostaje nią obciążone w ra-

chunku pretensyi wzajemnych na rzecz państwa niemieckiego, to zaś państwo niemieckie ma obowiązek wynagrodzić poszkodowanego. Sumy więc, jakieby przypadły na Polskę do płacenia, według »Conditions de paix« wchodziłyby rachunkowo na debet Polski w księgach urzędu kontroli i kompensacyi, który tworzy traktat. Byłby to ogromny zysk dla państwa polskiego, mogącego otrzymać w ten sposób odrazu wynagrodzenie na rzecz odszkodowań, których nie prędko się doczeka.

I otóż w stosunku do Polski — tylko do Polski — ten przepis został zmieniony w definitywnym traktacie. W artykule 92 dodano wtedy taki ustęp: »suma z likwidacyi wynikająca ma być wypłaconą bezpośrednio uprawnionemu«. A więc w każdym indywidualnym wypadku trzeba będzie zapłacić równowartość wywłaszczonego dobra. Dodano też jeszcze szczegółowe przepisy, pozwalające Niemcowi, który będzie się czuł pokrzywdzonym przy wywłaszczeniu (dokonywać się zresztą wszędzie mającem według ustaw kraju, gdzie dobra się znajdują), wnosić skargę o to przed t. zw. trybunał rozjemczy mieszany, przewidziany przez traktat dla innych spraw, lub też przed arbitra, wyznaczonego z ramienia tego trybunału; jednakże o tyle tylko mógłby taką skargę wnosić, gdyby oszacowanie nastąpiło w warunkach, ustanowionych przez rząd polski nie ogólnie dla wszystkich wypadków wywłaszczenia.

To było jedno z ważnych ustępstw, dla Niemiec uczynionych kosztem Polski, by im ułatwić

podpisanie traktatu. Czy utrzymanie w »Conditions« daty roku 1908 — w miejsce 1886, który widocznie brano pod uwagę — nie było już poprzednio taką koncesyą, właśnie ze względu na te gospodarcze skutki tego przepisu?

I znowu pilném zadaniem jest wydanie ogólnej polskiej ustawy o wywłaszczeniu, któraby więc także tych przypadków się tyczyła; inaczej namnoży się procesów przed trybunałem wojennym bez końca.

* * *

Nie wiem jeszcze, pisząc te słowa, jak brzmią przepisy traktatu z Austryą, tyczące się zmiany obywatelstwa na terytoryach, od niej przypadających Polsce. Kwestya to mniej ważna, gdy ludności obcej na terytoryum Galicyi i Śląska mamy niewiele; znana w Austryi przynależność gminna może być że została wzięta za podstawę uregulowania tej sprawy. Skutków majątkowych jednak dla tych, który obywatelstwa polskiego nie dostaną, nie będzie to pociągać, jak już wiadomo z dziennikarskich doniesień.

Kwestyę co do obywateli rosyjskich rozstrzyga za to obecnie już traktat dodatkowy z głównemi mocarstwami z 28 czerwca b. r.; dostaną oni (podobnie jak — nieliczni — obywatele węgierscy) obywatelstwo polskie, o ile mają miejsce zamieszkania w Polsce w chwili uzyskania mocy obowiązującej przez traktat, t. j. po sporządzeniu protokołu raty-

fikacyjnego — z zastrzeżeniem jednak dla nich prawa opcyi, ale i z obowiązkiem, by w razie jej wykonania w ciągu dalszych 12 miesięcy Polskę opuścili. Nie potrzeba chyba tych przepisów tłomaczyć bliżej; obywatelstwo polskie dostaną nietylko Polacy, ale też wszyscy nie Polacy, rosyjscy poddani, o ile będą w Polsce mieszkać w chwili wejścia w życie traktatu, które powinno niedługo nastąpić. Ci, co opuścili więc Polskę, obywatelami polskimi nie zostaną. Na jedno chcę zwrócić uwagę. W pierwotnym tekscie traktatu dodatkowego, przedstawionego delegacyi polskiej, proponowano przyznanie obywatelstwa polskiego wszystkim tym, którzy zwykle przebywali (résidaient habituellement) w granicach Polski. Udało się więc delegacyi, która na mój wniosek domagała się zmiany tego przepisu, uzyskać ją; gdyby jej nie przeprowadzono, to obywatelstwo polskie byłyby nabyły ipso facto te masy rosyjskich urzędników, które zalewały Królestwo, a odpłynęły wraz z cofnięciem się Rosyan.

VII.

Umiędzynarodowienia.

Praca kongresu rozpoczynała się pod hasłami dużo wznioślejszemi, niż ostateczne zakończenie wojny — jednej z wojen, które toczyła ludzkość. Ci, którzy kreślili zadania, mające przypaść kongresowi do spełnienia — a to prezydent Wilson przedewszystkiem, a za jego inicyatywą i inni — myśleli o urządzeniu na nowo starego świata, o przekształceniu stosunków nie tylko międzypaństwowych, ale i wewnętrzno-państwowych. Z pięciu komisyi kongresowych, pierwotnie stworzonych, do których dopuszczeni byli w szerszej mierze członkowie koalicyi — tylko dwie miały wskazane bezpośrednie zadania, z wojną związane, z niej wynikające: komisya dla odpowiedzialności za wojnę i komisya dla odszkodowań, mające wymierzyć sprawiedliwość — idealnej i materyalnej natury — za przewinienia, przez wojnę i w czasie wojny popełnione. Trzy inne komisye dostały zgoła odmienne wytyczne, ogólno-ludzkie cele obejmujące. Jedna

budowała związek narodów — i zbudowała, choć dość lichy, pozbawiony dostatecznie silnych fundamentów. Drugiej wskazano równie wzniosły cel — otoczyć opieką pracę, przepisać warunki, w jakich praca miałaby się dokonywać we wszystkich państwach kuli ziemskiej, warunki takie, by nikt nie mógł być wyzyskiwanym, by dla tych, którzy pracy fizycznej się oddają, zapewnić wszystkie korzyści, jakich ona jest godna. Ostatecznie komisya ta po długich trudach ułożyła szereg artykułów, które jednak niewiadomo, kiedy wejdą w życie; stworzono jedynie organizacyę, mającą określić warunki pracy, ustalono idealne zasady, których ta przyszła organizacya — rada pracy — będzie miała przestrzegać w swoich projektach.

Obok tych dwóch komisyi stanęła trzecia, mająca również ogólne tworzyć prawidła, projekty konwencyi, któreby obowiązywały wszystkie państwa, ale w sprawach już mniej idealny mających podkład. Inicyatywa szła od Ameryki, popieranej bardzo gorliwie przez Anglię; Ameryka z ideą łączyła tu interes, interes skłaniał Anglię, by popierała, szczerze, ideę: poparcie swobody handlu, ułatwienie go, o ile tylko ułatwić można.

Tak pojęto zadania komisyi dla międzynarodowego urządzenia portów, dróg wodnych i kolei (du régime international des ports, voies d'eaux et voies ferrées); zaczęła ona opracowywać projekty kilku ogólnych konwencyi.

Pierwszą taką konwencyą byłaby konwencya, zapewniająca swobodę tranzyta przez wszystkie

kraje, na wszystkich drogach, wszelkimi środkami komunikacyi, dziś znanymi, dla wszystkiego, co tranzytem może iść. Miała więc zabezpieczać tranzyt ludzi i towarów, jak środków przewozowych, czy to statki morskie lub rzeczne, czy to wagony, wozy i samochody, czy to wreszcie: balony lub aeroplany. Miała zabezpieczać tranzyt lądem i wodą, zwykłemi drogami czy szynami, rzekami czy kanałami, jak również przez powietrze. Miała zapewniać tranzyt myśli ludzkiej pocztą i telegrafem. A ten tranzyt dokonywać miałby się wszędzie w warunkach jaknajkorzystniejszych dla niego, bez niepotrzebnych zwłok, przez najodpowiedniejsze drogi— na zasadzie zupełnej równorzędności w traktowaniu przez każde z państw własnych obywateli czy towarów, a obywateli czy towarów państw innych. Nie było w dyskusyi oporu przeciw tak pojętej konwencyi; odrzucono tylko pomysły o wolności tranzyta przez powietrze, jako jeszcze niedojrzałe, i przez inne drogi zwykłe, jako nie przedstawiające znaczenia dla handlu, tak że pozostał przedmiotem obrad tranzyt rzekami, kanałami i koleją.

Drugą grupę projektów tworzyły te, które traktowały o umiędzynarodowieniu portów, rzek i kolei. O ile umiędzynarodowieniu poddane byłyby port, rzeka czy kanał, lub kolej, państwo, do którego należy taki port lub kanał, taka rzeka lub kolej, musiałoby przedewszystkiem usuwać na nich wszelkie przeszkody ruchu i ułatwiać tranzyt przez usunięcie wszelkich niepotrzebnych formalności nadzoru, a traktować na równi przy ich użyciu oby-

wateli wszystkich innych państw, jak ich środki przewozowe i towary; przytem przy rzekach, portach i kanałach opłaty pobierane mogłyby być tylko w wysokości koniecznej ze względu na wydatki dla utrzymania ich w należytym stanie lub też dla ulepszeń w możności korzystania. To zasadnicza cecha umiędzynarodowienia. Niejako wyższym jego stopniem miałoby być poddanie portu, rzeki czy kanału lub kolei zarządowi międzynarodowemu, więc osobnej komisyi, złożonej czy to z reprezentantów terytoryalnie interesowanych państw (więc np. państw nadbrzeżnych przy rzekach), czy też wogóle państw interesowanych, więc handlowo, choćby terytoryalnie dalekich. Urządzenie i kompetencya takich komisyi mogłyby być różne: urządzenie trzebaby zastosować do warunków specyalnych, kompetencya mogłaby być węższa lub szersza, aż do objęcia w zarząd z prawem układania regulaminów ruchu, nadzorowania go przez urzędników komisyi, przeprowadzania przez nią robót potrzebnych dla rozwoju ruchu, ustanawiania też opłat i ich poboru.

Tak się przedstawiają w najogólniejszym zarysie zasady umiędzynaradawiania. Przy portach miało się ono łączyć z uznaniem całego portu za port wolny (port franc) lub części jego za strefę wolną (zone franche), tj. jako wyjęte z obwodu celnego dotyczącego państwa. Bliżej rzeczywiście trudno wchodzić, w szczegóły już, tych projektów, bardzo ciekawych, ale nie mogących interesować szerszego grona czytelników.

Jedna kwestya przedstawiała ogromną tru-

dność: określenie, które to porty, rzeki, kanały lub koleje mają uledz umiędzynarodowieniu. Jak postawić ogólną zasadę? Boć o tem, by umiędzynarodowienie rozciągać bez granic — nikt nie myślał. Przy portach, jak i przy kolejach, nie pokuszono się wogóle o sformułowanie jakiegoś ogólnego wniosku. Projekty te zresztą nie zostały przedyskutowane w szerszej mierze. Jedynie tylko co do rzek starano się postawić zasadę.

Umiędzynarodowienie portów lub kolei byłoby zupełną nowością, nieznaną dotąd prawu międzynarodowemu. Ale co do rzek, zasada to nie nowa; tu też na gruncie doświadczenia już dość długiego i odczutych potrzeb ulepszeń łatwiej można było formułować postulaty. Wszakże już w końcu XVIII stulecia rozpoczęły się próby umiędzynarodowienia Renu, tej wielkiej arteryi handlowej zachodu Europy, a już kongres wiedeński z r. 1815 kwestyę umiędzynarodowienia rzek szerzej ujął. Umiędzynarodowione zostały ostatecznie w Europie trzy rzeki: Ren, Dunaj i Po, z tych dwie pierwsze zostały też poddane pod rządy komisyi międzynarodowych, Ren w przeważnej swej długości, Dunaj tylko co do części, i to niewielkiej.

Kongres wiedeński wychodził z założenia, że rzeka jest przedłużeniem morza w głąb lądu, że więc zasada wolności mórz powinna znaleść też zastosowanie w wolności żeglugi na rzekach, z morza dozwalających przystępu. Na kongresie komisya wychodziła z innego założenia; potrzebę umiędzynarodowienia rzek tłomaczono tem, iż rzeki dają

dostęp do morza, że zatem należy przez umiędzynarodowienie ten dostęp zapewnić wówczas, gdyby on mógł być utrudnionym przez inne państwa, przez którego obszar rzeka przebiega, nim wpadnie do morza. Umiędzynarodowienie więc wynika zwłaszcza z potrzeby państw, które są wkoło otoczone innemi (enclavés), tak, że brzegu morskiego nie mają, by im swobodę dostępów do morza zagwarantować, ale rozciąga się wogóle też na takie wypadki, gdzieby bieg rzeki splawnej nie znajdował się na terytoryum jednego państwa. Godzono się więc na formułkę, iż za międzynarodowe uznaje się rzeki, które rozdzielają lub przecinają dwa państwa lub więcej państw, przyczem dodano, iż muszą to być rzeki, które są z natury spławne (naturellement navigables), czy też — jak później się wyrażano — dają z natury dostęp do morza (donnent naturellement accès à la mer).

Obrady komisyi nie doprowadziły jednak do konkretnych rezultatów w sformułowaniu projektów ogólnych konwencyi. Projekty o wolności tranzyta wywołały refleksye, iż nie są potrzebne dla państw starych, które zasadę wolności tranzyta już wprowadziły, iż powstałyby kolizye z już istniejącymi traktatami w tej mierze, iż ich postanowienia nie zupełnie odpowiadają interesom niektórych państw — a były to właśnie państwa potężne. Tożsamo zwrócono uwagę, iż umiędzynarodowieniu poddanoby — stosując ogólną formułę — rzeki, zgoła nie mające znaczenia dla handlu międzynarodowego, np. krótkie rzeki, wpadające do morza w Portugalii, ale wy-

pływające w Hiszpanii. O umiędzynarodowieniu portów i kolei nie mówiono nawet dokładniej. Zaproponowano, by nałożyć obowiązek wolnego tranzytu na państwa nowo powstałe — więc Polskę, Czechy, Jugosławię, względnie i Rumunię. Ale przeciw temu zaoponowały te państwa, nie godząc się na takie privilegium odiosum; powołano się też na artykuł 21 ówczesnego projektu związku narodów, który wyraźnie postanawiał, że wszystkie państwa należące do związku muszą być jednako traktowane.

Zaniechano więc tych pomysłów narzucenia wolnego tranzytu jednostronnie na państwa nowo powstałe. Zaniechano też próby ogólnej konwencyi o umiędzynarodowieniu rzek według ogólnej formuły co do rzek, które mają być mu poddane, a wysunięto pomysł, by indywidualnie pewne rzeki zinternacyonalizować. Aż ostatecznie zaniechano całej tej dyskusyi i zwrócono się do formułowania jedynie artykułów do traktatu z państwami centralnemi.

Tak sformułowano przepisy co do wolności tranzytu przez Niemcy — tak sformułowano przepisy co do umiędzynarodowienia Renu, Dunaju, Łaby, Odry i Niemna.

Niemcy zobowiązano w traktacie, że muszą dawać dostęp do swoich portów, jak i wszelki tranzyt przez ich terytoryum w najdogodniejszych warunkach dla obywateli, towarów i środków transportowych wszystkich państw koalicyi, więc także dla Polski, także i dla poczty, a to dla wszystkich

państw w takichsamych warunkach. Opłaty za tranzyt muszą być umiarkowane. Tę wolność tranzyta Niemcy muszą dawać przez pięć lat bez obowiązku wzajemności ze strony państw koalicyi. Dla Polski ważny jest specyalnie także art. 322, który zastrzega, iż Niemcy nie mogą utrudniać tranzyta emigrantów, przez ich państwo jadących, przez wykonywanie jakiegokolwiek nadzoru nad emigrantami — poza możnością stwierdzania, iż są oni rzeczywiście w przejeździe. Artykuły o wolności tranzyta (321—327, 365—369) są niesłychanie szczegółowe, drobiazgowe, a to z tej racyi, by Niemcy przez wykrętne tłomaczenie nie starali się ich obejść.

Z przepisów o umiędzynarodowieniu rzek nas obchodzą tylko te, które tyczą się Odry i Niemna. Odra została uznana za międzynarodową od ujścia Opawy, Niemen od Grodna. Na tych rzekach jest zasadą, iż na równi muszą być traktowani »obywatele, rzeczy i flagi« wszystkich państw, taksamo, jak państwa nadbrzeżnego. Od statków mogą być pobierane opłaty dla pokrycia »w sposób słuszny« kosztów utrzymania spławności rzeki i jej ulepszeń. Państwo, przez które rzeka przepływa, obowiązane jest usuwać przeszkody i niebezpieczeństwa dla żeglugi, nie podejmować robót, żegludze mogących szkodzić; w razie zaniedbań lub winy może być zaskarżone przed sąd związku narodów. Kabotaż rzeczny, tj. »przewóz liniami regularnemi podróżnych i towarów pomiędzy portami jednego i tegosamego państwa sprzymierzonego lub stowarzyszonego«, zastrzeżony jest dla tego państwa, więc statki niemie-

ckie, jak i wszelkie inne, nie będą mogły uprawiać kabotażu bez zgody polskiej na Odrze czy Niemnie w granicach polskiego państwa.

Dla Odry ustanowiono komisyę międzynarodową, złożoną z Polaka, Prusaka, Czecha, Anglika, Francuza, Duńczyka i Szweda. Na Niemnie powstanie ona ewentualnie na żądanie jednego z państw przybrzeżnych, a skład określi związek narodów. Każda z tych komisyi sama wybierze miejsce swego urzędowania, poda sposób wyboru przewodniczącego, określi odcinki rzeki lub jej dopływów, które podpadną pod umiędzynarodowienie, i oznaczy zakres swej działalności, zwłaszcza co do robót koło utrzymania, urządzenia i ulepszenia drogi wodnej, przepisze zarząd finansowy, oraz wysokość i sposób poboru opłat, wreszcie regulamin żeglugi.

* * *

Artykuł 93 traktatu koalicyi z Niemcami, o którym już powyżej pisałem, że był zgoła niespodzianką dla delegacyi polskiej, postanawia: »Polska godzi się na włączenie do traktatu, który zawrze z Głównemi Mocarstwami sprzymierzonemi i stowarzyszonemi, postanowień, które te mocarstwa uznają za potrzebne dla ochrony wolności tranzyta i słusznych urządzeń co do handlu innych narodów«.

Jak mówiłem, nie przyszło na kongresie do ułożenia ogólnej konwencyi o wolności tranzyta dla wszystkich państw koalicyi, nie przyszło nawet

do ułożenia artykułów specyalnie dla państw nowo powstałych, gdyż temu stanął na przeszkodzie art. 21 projektu ligi narodów o traktowaniu na równi wszystkich państw do niej należących. Ale ten artykuł 21 projektu ligi nie utrzymał się w ostatecznym tekscie — został następnie skreślony; można więc było nie na równi traktować państwa koalicyi. Z tego skorzystano co do państw nowych; tak w traktacie z Niemcami zastrzeżono w stosunku do Czech i do Polski, iż zgodzą się na wprowadzenie zasady wolności tranzyta.

Dokładne przepisy o wolności tranzyta, które mają Polskę obowiązywać, podyktowano jej w traktacie z 28 czerwca 1919 r., który musiała zawrzeć z pięciu głównemi państwami koalicyi. Znajdują się one w obszernym artykule 17. Według tego artykułu Polska obowiązana jest przez lat pięć dać wolny tranzyt na lądzie i wodzie dla osób, towarów i środków transportowych, oraz poczty, telegrafu i telefonu, o ile on idzie od jednego z państw koalicyi do drugiego, pod warunkiem wzajemności z ich strony, i traktować ten tranzyt tak, jak tranzyt polskich obywateli, towarów lub środków przewozowych, względnie państw najbardziej przez Polskę uprzywilejowanych. Ciężary, nakładane na tranzyt, mają być umiarkowane, oczywiście z wykluczeniem cła, co się samo przez się rozumie. Zastrzeżono też, iż Polska zgodzi się na wprowadzenie t. zw. taryf łącznych, z biletami i frachtami bezpośrednimi. W razie gdyby do pięciu lat nie przyszło do ułożenia ogólnej konwencyi co do wolnego tranzyta, Polska

otrzymuje wolną rękę co do tranzyta, byle uwiadomiła o tem sekretarza generalnego związku narodów na rok wcześniej.

Uzupełnieniem tego artykułu jest artykuł 16, który zastrzega, iż Polska będzie statki państw koalicyi traktować na równi z statkami swoimi lub najwięcej uprzywilejowanymi — pod tymi samymi zresztą warunkami, co do tranzyta. Kabotaż morski jednak został zarezerwowany dla Polski, o ile chodzi o jej porty.

* * *

Do poddania umiędzynarodowieniu także Wisły dążyli głównie Czesi. W wydrukowanym projekcie postawili oni wśród innych swoich żądań także i to żądanie, a obok tego dalsze — by im w Gdańsku został przyznany t. zw. »port d'attache«, który w ten sposób określali, iż mieliby tam dostać część portu na zupełną własność. Tego ostatniego, wprost zuchwałego projektu nie wysuwali zbyt jednak, czując, iż ich żądania przekraczają wszelką miarę przyzwoitości. Ale i umiędzynarodowienie Wisły nie mogło mieć szans urzeczywistnienia, jak długo dyskusya toczyła się na gruncie ogólnej formuły, iż rzeką międzynarodową jest taka, która przechodzi przynajmniej przez dwa państwa lub przynajmniej dwa państwa rozdziela. Wówczas jeszcze o wolnem mieście Gdańsku nie było mowy, ani o tem, by prawy brzeg Wisły miał pozostać przy

Niemcach. Czesi więc argumentowali tak, iż Wisła przecina dwa kraje, bo jej górny bieg będzie w części przechodził przez państwo czeskie — t. j. przez Śląsk, który Czechom przypadnie. Kruchą więc była podstawa żądań czeskich, gdy kwestya cieszyńska była sporną, a trudnoby zresztą nawet nazwać Wisłę rzeką spławną na Śląsku, gdzie ją można w suche lato — przeskoczyć. Ostatecznie dali Czesi spokój tej kwestyi internacyonalizacyi Wisły—nawet gdy porzucono podstawę pierwotną i zaczęto uznawać, że ma się internacyonalizować rzeki tylko indywidualnie, a więc bez względu na jakąś formułę zasadniczą; wprawdzie wówczas o internacyonalizacyi Wisły zaczęła mówić i Anglia, ale że cała praca komisyi zaczęła iść w kierunku jedynie traktatu z Niemcami, więc na projekt tyczący się Wisły, mającej pozostać poza terytoryum niemieckiem, nie było poprostu miejsca.

Jednakże Wisła została poddana umiędzynarowieniu w traktacie z 28 czerwca 1919 r., zawartym przez Polskę z głównemi mocarstwami. Nie może ulegać wątpliwości, iż przyczyniły się do tego Czechy — można nawet przypuszczać, iż przedewszystkiem z ich tajnej inicyatywy powstał ten artykuł. A bezwątpienia poparła go Anglia.

Rozciągnięto umiędzynarodowienie na Wisłę, choć ona w właściwem znaczeniu międzynarodową nie jest, gdyż dostęp do niemieckiego terytoryum Prus Wschodnich daje tylko jedno jej ramię, a Polska nie jest państwem »enclavé«, któremu trzeba

zapewniać przystęp do morza, bo zarząd i policya na Wiśle jej zostały w całości oddane.

Wisła jednak międzynarodowy charakter otrzymała jedynie co do ruchu na niej — bez komisyi międzynarodowej. A więc na Wiśle mają być stosowane analogicznie przepisy art. 332—337 traktatu z Niemcami, zatem wszystkie statki mają być traktowane na równi, opłaty mają być umiarkowane w stosunku do kosztów utrzymania lub polepszania spławności, a Polska, gdyby o spławność nie dbała lub też ruch utrudniała, mogłaby być zaskarżoną do ligi narodów. Polsce odjęto zatem możność popierania przez taryfy własnej floty lub też jakiegoś jednego państwa, różniczkowania opłat itd. Jednakże kabotaż rzeczny, t. j. ruch regularny statków między portami na Wiśle w obrębie Polski może być zastrzeżony na rzecz polskiej flotyli. Jakkolwiek są to znaczne niekorzyści, jednakże tem przynajmniej możemy się pocieszać, że nie będzie komisyi międzynarodowej, któraby naszą Wisłą rządziła; wobec przepisów traktatu, oddających nam wyraźnie zarząd Wisły, byłoby żądanie utworzenia takiej komisyi wprost z tymi przepisami sprzeczne. A właśnie taka komisya jest głównie rzeczą nieprzyjemną, gdy wprowadza obcy żywioł na terytoryum państwowe z znacznemi prawami.

Na Polskę spada olbrzymie zadanie — regulowania i polepszania spławności Wisły. Gdyby była komisya międzynarodowa, jej zadaniem by-

łoby staranie się o fundusze na uspławnienie Wisły. Na szczęście jej nie będzie — sami ją uspławniać będziemy; ale też uspławnić musimy ze względu na znaczenie tej głównej naszej arteryi handlowej, jaką będzie ta rzeka, dla uniknięcia też i zażaleń na nas, gdy umiędzynarodowienie nakazuje nam dbałość o spławność rzeki.

VIII.

Rezultaty.

A bilans ogólny?

To, co nam przyniosła wojna, przewyższa ogromnie wszelkie nadzieje, jakie mieć mogliśmy w jej początkach. Z dwóch koncepcyi politycznych, które przeciwstawiły się sobie w roku 1914, zwyciężyła koncepcya zjednoczeniowa — ale z temi dwiema ważnemi korrekturami, iż ta Polska zjednoczona sporo jest większą od spodziewanej, gdyż przy zwycięstwie koalicyi, w skład której byłaby jeszcze wchodziła Rosya, nasza wschodnia granica biegłaby bardzo blisko Wisły i Sanu, a nadto i z tą drugą jeszcze, iż ta Polska jest także — niepodległą, a nie autonomiczną doczepką w olbrzymiem cielsku rosyjskiem. Tembardziej rzeczywistość przewyższyła nadzieje drugiego obozu, niepodległościowego — a właściwie pseudo-niepodległościowego, który Polskę chciał budować z fragmentu jej ziem, godził się nawet na Polskę z samego Królestwa kongresowego, a za niepodległość uważać chciał

w najlepszym czasie zależność od Austryi. Tem dziwniej, jeśli z tego obozu wychodzą narzekania, żeśmy — za mało dostali, że ci, którzy prowadzili politykę, ostatecznie zwycięską, źle jakoby ją prowadzili.

Prawda, że nie dostaniemy wszystkiego, czego pragnęliśmy, czego spodziewać się zaczęliśmy po zwycięstwie koalicyi, a zwłaszcza gdy nasze nadzieje — w lutym i marcu po uchwałach komisyi Cambona — tak wysoko poszły w górę. Lecz czy my, w tych warunkach, w jakich dostajemy Polskę, możemy się skarżyć, że nie wszystkie nasze pragnienia zostały spełnione? Bolem okresu rozbiorów zasłużyliśmy na tę Polskę, ale czy — myśmy wojnę wygrali? Czy myśmy pokój dyktowali? Czyż się możemy dziwić, że ci, którzy są zwycięzcami, najprzód swój interes, przed naszym, wysuwają?

A trzeba przecież zaznaczyć, iż plebiscyty na Mazurach i na Śląsku górnym nie rozstrzygają sprawy na naszą niekorzyść, iż wszelkie pozostają nam szanse, iż — drugi przynajmniej — wygramy. Trzeba i to zaznaczyć, iż konwencya, która ma uregulować bliżej stosunki nasze z Gdańskiem, może dużo uzupełnić i naprawić nawet w tem, czego nie dopowiada traktat; projekt takiej konwencyi przygotowała Komisya prawnicza Biura Kongresowego.

A czyż poza Anglią jest państwo, któreby dostało w pełni przez traktat to, czego żądało? Choć to Stany Zjednoczone, Francya lub Włochy? Jakaż nasza siła wobec siły tamtych?

Od ścierania się różnych sił i dążeń zależał wynik polskich rozstrzygnięć w Paryżu. Nieraz miało się wrażenie, iż jesteśmy łódką, rzucaną przez fale na tych wielkich falach, iż nic poprostu nie znaczymy, iż wszystko o nas — bez nas się dzieje. Przesadą byłoby takie wrażenie uznawać za istotny stan rzeczy. Zapewne, iż nie my stwarzaliśmy warunki powstania Polski, iż grały tam potężne czynniki, na które przeważnie nie mogliśmy mieć wpływu, my, mający niby państwo, ale bez granic z którejkolwiek strony, omal bez siły zbrojnej.

Jednakże w tych ciężkich, bardzo ciężkich warunkach dla pozytywnej pracy, Polacy, co mogli, co leżało w granicach ich wpływów, to zrobili, by rezultaty były jaknajlepsze.

Zasługą to przedewszystkiem dwóch ludzi, pp. Dmowskiego i Paderewskiego, którzy wzajemnie w pracy się uzupełniali. Pierwszy to umysł ogromnie trzeźwy, logiczny; znał doskonale grunt pracy, a z niesłychaną ścisłością oceniał stan rzeczy politycznych, by znaleść właściwą drogę działania, właściwe słowo. Budował program zawczasu, obliczając szanse, odważając argumenty, których będzie można użyć; przy liniach granicznych Polski, których nie przesuwał ponad miarę, stał z uporem, uważając za zasadniczy błąd, jeśli ktoś nie wierzy, że swój program przeprowadzi, i idzie na szkodliwe kompromisy. Może tylko ostrem słowem, dotkliwą krytyką nieraz zrażał sobie ludzi; prawda, że nie mogło to mieć zresztą większego znaczenia.

A jemu z pomocą następnie pospieszył p. Pa-

derewski, zyskujący sobie ludzi niezwykłym czarem obcowania z nimi, szlachetnością duszy, czystością charakteru. Choć nie polityk z zawodu, jednak zadaniu męża stanu sprostał, dzięki niezwykłemu rozumowi, bystrej oryentacyi, znajomości tych, z którymi się miał stykać, dziwnej nieraz intuicyi, która pozwalała mu w odpowiedniej chwili właściwe zająć stanowisko. Słusznie nazwano go opatrznościowym dla Polski człowiekiem.

Ich pomocnikiem, który trud gospodarczych trosk przy traktatach przejął na siebie, i duże też położył zasługi, był spokojny, wytrawny ekonomista, trzeci delegat p. Władysław Grabski.

Przy tych trzech ludziach stał długi szereg tych, którzy bądź mieli przekazane pewne określone zadania, mniej lub więcej samodzielnie mając je załatwiać, bądź też pomagali głównym działaczom swoją myślą, wiedzą i pracą. To ci, którzy należeli czy do Komitetu Narodowego, czy do Biura kongresowego, zwłaszcza zasiadający w komisyach kongresowych, a i inni, w Paryżu bawiący w innych celach, ale spieszący z pomocą na wezwanie.

Nie chcę taić, że były w pracy na kongresie różne mankamenty. Bardzo dawał się odczuwać brak dobrej organizacyi, wynikający i z niedostatecznego zrozumienia jej potrzeby u niektórych czynników, i z pewnej u nas do niej niezdolności, ale który stąd zwłaszcza poszedł, iż polskie instytucye powstały tam nie z jednej myśli, lecz tworzyły się w miarę rozwijania się stosunków jako coraz nowe dobudówki. Ciężka komunikacya z krajem utru-

dniała dowiadywanie się zawczasu, jakie są jego postulaty i zapatrywania, sprowadzanie na czas odpowiednich ludzi i potrzebnych materyałów. Nie zawsze spełniano dość skrupulatnie w Warszawie żądania pomocy, przysłania pewnych współpracowników. Tarcia polityczne w kraju i w Paryżu też utrudniały pracę. Z tych różnych braków najważniejszym był ten, który tak u nas daje się odczuwać — brak organizacyi i zmysłu do niej. Od delegatów do członków Biura szedł cały szereg stopni pośrednich, sekretarzy, szefów, gdy powinno ich było być dużo mniej; przytem nie wszędzie było odczucie, na co może przydać się praca tych lub owych, gdzie trzeba dawać dyrektywę, a gdzie zostawiać swobodę działania i umożliwiać ją. Prawda, iż jeden dział, ekonomiczny, znalazł się w rękach, umiejących prowadzić, p. Wierzbickiego, a potem bardzo dużo ładu wniosła organizacyjna działalność p. Grabskiego.

Ale jeśli obecnie, po upływie już pewnego czasu, mogąc ująć całość tego, co i jak zrobiono, mam o niej swoje powiedzieć zdanie, to zdaje mi się, iż nie odbiegnę od prawdy, jeśli powiem, że lepszych rezultatów osiągnąć chyba nie było można. Przy lepszej organizacyi i planowości byłoby się może zaoszczędziło nieco pracy i suma wysiłków mogłaby była być mniejszą, choć rezultaty osiągnęłoby się było — takiesame. Braki organizacyi zastępowano wytężoną pracą, niedawanie nieraz kierunku osobistą inicyatywą, a zapału, poczucia odpowiedzialności, sumienności i pilności

derewski, zyskujący sobie ludzi niezwykłym czarem obcowania z nimi, szlachetnością duszy, czystością charakteru. Choć nie polityk z zawodu, jednak zadaniu męża stanu sprostał, dzięki niezwykłemu rozumowi, bystrej oryentacyi, znajomości tych, z którymi się miał stykać, dziwnej nieraz intuicyi, która pozwalała mu w odpowiedniej chwili właściwe zająć stanowisko. Słusznie nazwano go opatrznościowym dla Polski człowiekiem.

Ich pomocnikiem, który trud gospodarczych trosk przy traktatach przejął na siebie, i duże też położył zasługi, był spokojny, wytrawny ekonomista, trzeci delegat p. Władysław Grabski.

Przy tych trzech ludziach stał długi szereg tych, którzy bądź mieli przekazane pewne określone zadania, mniej lub więcej samodzielnie mając je załatwiać, bądź też pomagali głównym działaczom swoją myślą, wiedzą i pracą. To ci, którzy należeli czy do Komitetu Narodowego, czy do Biura kongresowego, zwłaszcza zasiadający w komisyach kongresowych, a i inni, w Paryżu bawiący w innych celach, ale spieszący z pomocą na wezwanie.

Nie chcę taić, że były w pracy na kongresie różne mankamenty. Bardzo dawał się odczuwać brak dobrej organizacyi, wynikający i z niedostatecznego zrozumienia jej potrzeby u niektórych czynników, i z pewnej u nas do niej niezdolności, ale który stąd zwłaszcza poszedł, iż polskie instytucye powstały tam nie z jednej myśli, lecz tworzyły się w miarę rozwijania się stosunków jako coraz nowe dobudówki. Ciężka komunikacya z krajem utru-

dniała dowiadywanie się zawczasu, jakie są jego postulaty i zapatrywania, sprowadzanie na czas odpowiednich ludzi i potrzebnych materyałów. Nie zawsze spełniano dość skrupulatnie w Warszawie żądania pomocy, przysłania pewnych współpracowników. Tarcia polityczne w kraju i w Paryżu też utrudniały pracę. Z tych różnych braków najważniejszym był ten, który tak u nas daje się odczuwać — brak organizacyi i zmysłu do niej. Od delegatów do członków Biura szedł cały szereg stopni pośrednich, sekretarzy, szefów, gdy powinno ich było być dużo mniej; przytem nie wszędzie było odczucie, na co może przydać się praca tych lub owych, gdzie trzeba dawać dyrektywę, a gdzie zostawiać swobodę działania i umożliwiać ją. Prawda, iż jeden dział, ekonomiczny, znalazł się w rękach, umiejących prowadzić, p. Wierzbickiego, a potem bardzo dużo ładu wniosła organizacyjna działalność p. Grabskiego.

Ale jeśli obecnie, po upływie już pewnego czasu, mogąc ująć całość tego, co i jak zrobiono, mam o niej swoje powiedzieć zdanie, to zdaje mi się, iż nie odbiegnę od prawdy, jeśli powiem, że lepszych rezultatów osiągnąć chyba nie było można. Przy lepszej organizacyi i planowości byłoby się może zaoszczędziło nieco pracy i suma wysiłków mogłaby była być mniejszą, choć rezultaty osiągnęłoby się było — takiesame. Braki organizacyi zastępowano wytężoną pracą, niedawanie nieraz kierunku osobistą inicyatywą, a zapału, poczucia odpowiedzialności, sumienności i pilności

było niesłychanie dużo, gdy chodziło przecież o pracę ad maiorem Patriae revivivae gloriam; te czynniki z nawiązką chyba wyrównywały braki i wady.

O tem też trzeba pamiętać, iż stanowisko tych, którzy działali na paryskim gruncie, w tak dużej mierze uzależnione było od stanu rzeczy w kraju: naszej jedności i siły. Podkreślał to raz silnie p. Paderewski w rozmowie z p. Grabskim i ze mną, jak olbrzymią doniosłość ma na kongresie to, iż widzą jednomyślność czynników polskich, zgodną współpracę sejmu, naczelnika państwa, p. Dmowskiego i jego, że każdy rozdział między nimi fatalnie zaraz odbiłby się na biegu naszych interesów. Wzmacnianie się kraju, konsolidowanie się w nim stosunków, powiększanie armii — to były czynniki, które coraz też w oczach tego tam zgromadzonego świata dodawały nam znaczenia, wykazując naszą moc. Bo stosunek narodów do narodów podobny jest ogromnie do tego stosunku, który kobiety łączy z mężczyznami. Ubolewają nad tymi, co nieszczęśliwi, okazują gorące sympatye dla chorych i słabych, ale kochają tych, którzy są — zdrowi i silni.

DODATKI.

I.

Tekst Działu VIII Części III Warunków pokoju z 7 maja 1919 r., zmieniony następnie w Traktacie z 28 czerwca 1919 r.

Według tłómaczenia dr. Bohdana Winiarskiego, poprawionego przezemnie.

Polska.

Artykuł 87.

Jak to już uczyniły mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone, Niemcy uznają zupełną niepodległość Polski i zrzekają się na rzecz Polski wszystkich praw i tytułów do terytoryów określonych morzem Bałtyckiem, wschodnią granicą Niemiec ustaloną w art. 27 części II (Granice Niemiec) niniejszego traktatu, granicą państwa czesko-słowackiego począwszy od miejscowości położonej o 8 km. na wschód od Prudnika aż do jej zetknięcia się z dawną granicą Niemiec i Austro-Węgier, dalej tą ostatnią granicą aż do miejsca, gdzie stykały się dawne granice Niemiec, Austro-Węgier i Rosyi, dawną granicą Niemiec i Rosyi aż do punktu, w któ-

rym ona przekracza koryto Niemna, wreszcie granicą północną Prus wschodnich, ustaloną w art. 28 wymienionej części II. Wszelako postanowienia niniejszego artykułu nie stosują się do terytoryów Prus wschodnich i Wolnego Miasta Gdańska, jak one zostały oznaczone w rzeczonym art. 28 części II (Granice Niemiec) i w art. 100 działu XI (Gdańsk) części niniejszej.

Granice Polski, nie wyszczególnione w traktacie niniejszym, zostaną później ustalone przez Główne Mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone.

Artykuł 88.

Komisya, złożona z siedmiu członków, z których pięciu zamianują Główne Mocarstwa sprzymierzone i stowarzyszone, jednego Niemcy i jednego Polska, utworzona zostanie w ciągu piętnastu dni od wejścia w życie niniejszego traktatu w celu oznaczenia na miejscu granicy między Polską i Niemcami.

Postanowienia tej komisyi zapadać będą większością głosów i będą wiązały obie strony zainteresowane.

Artykuł 89.

Polska zobowiązuje się przyznać osobom i środkom przewozowym, niezależnie od tego, do jakiego państwa należą, a dążącym z Prus Wschodnich przez polskie terytorya, położone między Prusami Wschodniemi a Niemcami, takiesame prawa przewozu, jak własnym obywatelom.

Artykuł 90.

Obywatele niemieccy, mający miejsce zamieszkania na terytoryach uznanych za części Polski, nabywają w pełni obywatelstwo polskie z wykluczeniem obywatelstwa niemieckiego.

Wszelako obywatele niemieccy lub ich potomkowie, którzy zamieszkali na tych terytoryach po 1 stycznia 1908 r., nie będą mogli nabyć obywatelstwa polskiego jak tylko za specyalnem zezwoleniem Państwa Polskiego.

Artykuł 91.

W przeciągu dwu lat od dnia wejścia w życie niniejszego traktatu obywatele niemieccy w wieku powyżej lat 18, mający miejsce zamieszkania na terytoryach uznanych za część Polski, będą mieli prawo opcyi na rzecz obywatelstwa niemieckiego.

Polacy, obywatele niemieccy, mający ukończonych lat 18 i posiadający miejsce zamieszkania w Niemczech, będą mieli także prawo opcyi na rzecz obywatelstwa polskiego.

Opcya męża skutkuje za opcyę żony, opcya rodziców za opcyę dzieci poniżej lat 18.

Wszystkie osoby, które skorzystały z przewidzianego wyżej prawa opcyi, będą mogły w przeciągu następnych 12 miesięcy przenieść się do Państwa, na rzecz którego dokonały wyboru.

Będą one miały prawo zachować majątek nieruchomy, posiadany na terytoryum drugiego państwa, w którem miały miejsce zamieszkania przed dokonaniem opcyi.

Będą mogły wywieść bez cła swój majątek ruchomy wszelkiego rodzaju do kraju, na rzecz którego dokonały opcyi, i będą wolne od wszelkich poborów za opuszczenie kraju lub opłat, jeśli jakie istnieją.

W takim samym terminie Polacy, obywatele niemieccy, znajdujący się w obcych państwach, będą mieli prawo, o ile ustawy tych państw inaczej nie stanowią i o ile już nie nabyli w tych państwach obywatelstwa, uzyskać obywatelstwo polskie z wykluczeniem niemieckiego, stosując się w tym względzie do przepisów, które będą wydane przez Państwo Polskie.

Artykuł 92.

Stosunek i rodzaj ciężarów finansowych Niemiec i Prus, które będzie miała objąć Polska, zostaną określone zgodnie z art. 254 części IX (Postanowienia finansowe) niniejszego traktatu.

Część długu, która zdaniem przewidzianej w rzeczonym artykule Komisyi Odszkodowań dotyczy zarządzeń rządów niemieckiego i pruskiego w celu kolonizacyi niemieckiej w Polsce, zostanie wyłączona z udziału, który obciąży Polskę.

Ustalając w wykonaniu art. 256 części VIII (Odszkodowania) niniejszego traktatu wartość majątków i własności Cesarstwa lub państw niemieckich, przechodzących na własność Polski równocześnie z oddanemi jej terytoryami, Komisya Odszkodowań wyłączy z tej oceny budowle, lasy i inne własności państwowe, które należały do dawnego

Królestwa Polskiego. Przejdą one na własność Polski wolne i swobodne od wszelkich ciężarów.

Późniejsze konwencye uregulują wszystkie sprawy, nie załatwione niniejszym traktatem, a które mogłyby wyniknąć z ustąpienia rzeczonego terytoryum.

Artykuł 93.

Polska godzi się na zamieszczenie w traktacie z Głównemi Mocarstwami sprzymierzonemi i stowarzyszonemi postanowień, które te Mocarstwa uznają za konieczne w celu ochrony w Polsce interesów mieszkańców, różniących się od większości ludności rasą, językiem lub religią.

Polska godzi się również na zamieszczenie w traktacie z Głównemi Mocarstwami sprzymierzonemi i stowarzyszonemi postanowień, które te Mocarstwa uznają za konieczne w celu ochrony swobody tranzyta i słusznych urządzeń co do handlu innych narodów.

II.

Prawa Rosyi do Litwy i Białej Rusi.

Broszura, wydana przez Biuro prac kongresowych po francusku p. t. Droits de la Russie sur la Lithuanie et sur la Ruthénie-Blanche i po angielsku p. t. The rights of Russia to Lithuania and Withe-Ruthenia, Paris 1919.

W memoryale, przedstawionym kongresowi pokojowemu przez pewne sfery rosyjskie, żąda się, by — z wyjątkiem co do Królestwa Polskiego, t. zw. Kongresowego — nie przesądzano przyszłości ziem, które wchodziły przed wojną w skład państwa rosyjskiego. Tyczą się te żądania także więc Litwy i Białej Rusi; memoryał wychodzi z założenia, że te ziemie powinny należeć dalej do Rosyi. Tak na tę kwestyę zapatrują się także i broszury, wydane niedawno w Paryżu pod imieniem »Konferencyi politycznej rosyjskiej«. Konieczną wobec tego rzeczą przyjrzeć się bliżej, jak wyglądają podstawy tych

żądań rosyjskich co do Litwy i Białej Rusi, prawa Rosyi, historyczne i etnograficzne, jak z racyi zasług, które Rosyi przypadają w udziale co do podniesienia tego kraju pod względem kulturalnym i gospodarczym. Boć przecież ze strony rosyjskiej zaprzecza się, jakoby tylko racya stanu, tylko imperyalizm — który tak obecnie wyszedł z mody — były podstawą pretensyi, że te ziemie powinny przypaść jej znowu w udziale przy ostatecznem wykreślaniu nowej mapy Europy.

I. Prawa historyczne Rosyi. Ze strony różnych narodów wysuwa się obecnie nieraz ich prawa historyczne jako uzasadnienie dla domagania się przyznania im pewnych terytoryów. I niepodobna nie uwzględniać tych praw; zyskały one już nawet w niektórych wypadkach uznanie czynników decydujących. Lecz przedewszystkiem określmy, kiedy można mówić o istnieniu takiego historycznego prawa. Można odpowiedzieć krótko na to pytanie tak: o prawie historycznem mówi się wówczas, jeśli jakieś państwo posiadało w przeszłości pewne terytoryum przez czas dłuższy, tak, że ono tworzyło istotną jego część składową, a później je utraciło przez gwałtowne oderwanie na rzecz innego państwa.

Jakże jest z posiadaniem Litwy i Białej Rusi przez Rosyę? Kiedyż ona posiadała te terytorya? Otóż część Białej Rusi, po wschodniej stronie Dźwiny i Dniepru, zajęła ona przy pierwszym rozbiorze Polski w r. 1772, resztę Białej Rusi i Litwę etnograficzną przy dwóch następnych rozbiorach w la-

tach 1793 i 1795. Odtąd je miała w swej mocy aż do obecnej wielkiej wojny,

Jak więc widzimy, te prawa »historyczne« są — bardzo świeżej historycznej daty, a podstawą ich jest — gwałt, zadany Polsce w końcu XVIII stulecia. Nigdy bowiem dawniej Rosya nie miała w swoich rękach Litwy.

Państwo litewskie zostało zbudowane przez króla Mendoga w XIII-tym stuleciu, następnie utwierdzone przez wielkiego księcia Giedymina w XIV-tym wieku. Od r. 1386 było połączone z Polską unią osobistą, od r. 1569 unią realną, tworząc z nią t. zw. Rzeczpospolitę polską aż do r. 1791, kiedy zlały się Litwa i Polska w jednolite państwo. Na terytorya etnograficznie litewskie sięgnęła władza rosyjska tylko przelotnie w czasach Jana Kazimierza (XVII st.), kiedy, korzystając z ciężkiej wojny Polski z Szwecyą, uderzyła Rosya na nią i zajęła Litwę na kilka lat. Ale chyba temi kilkoma latami okupacyi Litwy z Wilnem nie uzasadnia Rosya swoich praw historycznych? A i ziemie białoruskie, które zabrała Rosya przy rozbiorach Polski, nigdy przedtem nie wchodziły w skład państwa Rosyjskiego. Przyłączone one zostały do państwa litewskiego w XIII-tym i XIV-tym stuleciu, przeważnie przez powoływanie książąt litewskich na władców, wtedy, kiedy dopiero zaczęło się tworzyć i rozwijać państwo moskiewskie, które później przekształciło się w rosyjskie. Gdy granice Moskwy zetknęły się z granicami państwa litewskiego, o ziemie białoruskie, należące do Litwy,

a leżące na pograniczu obu państw, toczyły się liczne wojny, ostatecznie jednak przeważną część tych terytoryów potrafiła Polska utrzymać stale w swojem posiadaniu aż do końca swojego bytu państwowego, jeśli się pominie chwilowe, krótkotrwałe okupacye wojenne niektórych tych części przez Rosyę; jeśliby te okupacye miały jednak uzasadniać prawa historyczne, toć równe prawa historyczne mogłaby Polska rościć sobie — do dawnej stolicy Moskwy, którą okupowała przez czas jakiś w początkach XVII stulecia (1610 - 1613)!

Rosya wyraźnie też stwierdzała, iż nie ma żadnych pretensyi do ziem ruskich, wchodzących w skład Rzeczypospolitej polskiej. Tak, kiedy Polska uznała w traktacie, zawartym w Polanowie w r. 1634, Michała III Fiedorowicza jako cara rosyjskiego, wyraźnie w tymże traktacie zastrzeżono, że »tytuł ten nie może mu dać żadnego prawa do Rusi, należnej ab antiquo do Polski«. A Katarzyna I, przyjąwszy tytuł »imperatorowej Wszech Rosyi«, oświadczyła przez swego ambasadora w Warszawie, iż »nie zamierza przyznawać żadnego prawa czy samej sobie, czy swoim sukcesorom lub swemu państwu do krajów i ziem, które pod nazwą Rosyi lub Rusi należą do Polski i do Wielkiego Księstwa Litewskiego«.

II. Prawa etnograficzne. W języku rosyjskim niema słów na oddanie różnicy między wyrażeniem »russe« a »ruthéne«. W ten sposób przez zręczne żonglowanie słowami wywołuje niejeden autor rosyjski wrażenie, jakoby Białorusini byli

odłamem Rosyan. Jest to świadome fałszowanie faktów. Białorusini stanowią odrębne etnograficznie plemię słowiańskie. Wprawdzie języki: białoruski, ukraiński i rosyjski zaliczają filologowie do jednej grupy językowej; jednak należy wyraźnie stwierdzić, iż język białoruski stanowi język odrębny, przesycony jest słowami polskiemi i jest łatwiej rozumiany przez Polaka, niż przez Rosyanina, zresztą zaś Białorusini są bliżsi Polaków przez kilkuwiekowy związek z Polską, przez oddziaływanie na nich wyżej rozwiniętej kultury Polaków, z którymi żyją w pomieszaniu. Ci z nich, którzy wyznają religię rzymsko-katolicką, modlą się po polsku, na polskich książkach do nabożeństwa, język polski jest dla nich językiem odświętnym, lecz równie ich własnym, jak białoruski, za Polaków też się wprost uważają. Język rosyjski zaś był i jest dla nich wszystkich obcym. Historyk finlandzki Lehtonen stwierdza, iż po pierwszym rozbiorze Polski na ziemiach białoruskich musiano używać języka polskiego, gdyż rosyjskiego, w pierwszej chwili wprowadzonego, nikt nie rozumiał. Również i Niemcy w czasie wojny na całej Białorusi, nie wyłączając jej wschodnich części, używali we wszystkich oficyalnych ogłoszeniach stale języka polskiego, z rzadka tylko białoruskiego. W nielicznych drukach białoruskich używano alfabetu łacińskiego na równi z cyrylicą. Tylko liczeniu na nieświadomość tych, którzy nie znają stosunków na Białej Rusi, przypisać można śmiałość wygłaszanych twierdzeń o jakoby identyczności Białorusinów z Rosyanami.

A jeśli odróżnimy te dwa elementy, zgoła od siebie różne, to zapytać się należy: jakąż siłę pod względem statystycznym przedstawia element rosyjski w tych krajach? Może tam siedzi zwarta lub — choćby w rozproszeniu — znaczna ilość prawdziwych Rosyan? Przejrzyjmy cyfry jedynego urzędowego rosyjskiego spisu ludności z r. 1897, przy którym rozróżniano Rosyan od Białorusinów.

Otóż Rosyan było:

w gubernii	wileńskiej	— 5.00%
»	kowieńskiej	— 4.82%
»	grodzieńskiej	— 5.08%
»	mińskiej	— 4.39%
»	mohylewskiej	— 3.65%
»	witebskiej	— 3.32%

Te tak śmiesznie niskie cyfry Rosyan tłomaczą się tem, iż jest to żywioł napływowy, który z trudem tam można utrzymać. Rosya tłoczyła w te gubernie Rosyan od rozbiorów Polski, używając jako pompy tłoczącej rozdawnictwa na rzecz Rosyan dóbr, skonfiskowanych Polakom, i nadawania urzędów państwowych, przyczem dla zachęty przyznawano specyalne udogodnienia i korzyści. Urzędników dało się nieco tam osiedlić, ale ludzi innych zawodów prawie że nie. W szczególności Rosyan nie zdołała ziemia, nadana im, w kraju tym zatrzymać; zamieszkiwali oni gdzieindziej, a z ziemi tylko korzyści ciągnęli, i chętnie jej się wyzbywali, tak, że gdy zakazano (1864) Polakom od Rosyan ziemię kupować, cena jej sprzedażna znacznie spadła z braku kupców, mimo iż dla popierania na-

bywania ziemi przez Rosyan nie szczędzono zabiegów i pieniędzy (np. przez utworzenie w r. 1866 Towarzystwa nabywców dóbr w tym kraju).

III. Opieka Rosyi nad Litwą i Białorusią. Ale może Rosya roztaczała skrzydła opiekuńcze nad tym krajem, popierała jego rozwój? O tej opiece dużo mówią wymowne świadectwa prawnej i statystycznej natury.

I. Opieka nad narodowościami. Jaki był stosunek Rosyi do ludności polskiej, zamieszkującej Litwę i Białoruś, nie potrzeba chyba szerzej się rozwodzić; nazwisko Murawiewa-wieszatela — rzeź w Krożach, znane były całej Europie. Można zamilczeć o zakazach używania języka polskiego w sądzie, urzędzie, szkole, na ulicy nawet, o wywożeniu Polaków i konfiskatach ich majątków, o prześladowaniu kościoła rzymsko-katolickiego, ponieważ był Polaków kościołem itd., gdyż z Polakami walczyła Rosya o ten kraj, by go zdobyć dla siebie. Ale chodzi o Litwinów i Białorusinów. Jakąż ich otaczała opieką?

Języki: litewski i białoruski w sądzie i urzędzie uznawano tylko o tyle, iż musiano się nimi posługiwać, by módz się porozumiewać z ludnością, nie znającą innego języka, jak swój własny. W szkołach nie dopuszczono tych języków nawet do szkół ludowych, tembardziej do średnich. W służbie rządowej przyjmowano ludność miejscową tylko do najniższych urzędów, gdy zresztą o wyższych z braku wykształcenia nie mogła nawet myśleć. Co więcej, w r. 1865 zakazano druku książek litewskich w al-

fabecie łacińskim, a dopuszczano odtąd tylko druki cyrylicą wykonane. Słaba literatura litewska przeniosła się wówczas do Prus wschodnich, skąd książki na Litwę przemycano. Cofnięto te ograniczenia co do alfabetu dopiero w r. 1905.

Całą ludność tego kraju pozbawił rząd rosyjski przez przeciąg kilku dziesiątków lat reprezentacyi samorządnych, zwanych ziemstwami, choć już w r. 1864 wprowadzono je w centralnych guberniach Rosyi. Instytucye te zaprowadzono w tych guberniach dopiero w r. 1903, lecz członków ziemstw mianował tu rząd, gdy w głębi Rosyi pochodzili oni z wyborów. Wreszcie w r. 1911 zarządzono wybory, ale tylko w trzech guberniach, z wykluczeniem trzech innych (kowieńskiej, grodzieńskiej i wileńskiej), a i to jeszcze prawa wyborcze zostały poddane znacznym ograniczeniom.

2. Opieka nad oświatą. Jak dbała Rosya o oświatę tych krajów, jasno ilustruje kilka cyfr. Przed rokiem 1831, gdy w zarządzie okręgu naukowego wileńskiego, obejmującego Litwę i Białoruś, jeszcze zaznaczała się działalność niedawno przedtem od kierownictwa usuniętych Polaków, było szkół wyższych, niż ludowe, 47, z liczbą 7175 uczniów, oraz 1 uniwersytet; w r. 1861 kurator okręgu Szirinskij-Szichma'ów doliczył się już tylko 26 takich szkół, bez uniwersytetu, z 5871 uczniami (Korniłow, Russkoje dieło w zapadnych guberniach). Następnie jeszcze spadła liczba uczniów; w r. 1868 liczono w 11 istniejących gimnazyach 2578 uczniów, gdy w tychże gimnazyach w r. 1861 było ich 4123. Nawet w szko-

łach ludowych frekwencya była coraz mniejsza; od r. 1861 do 1893 zmniejszyła się cyfra uczniów tych szkół z 111.457 na 94.464 mimo wzrostu ludności

Tak, gdy w r. 1808 okrąg wileński naukowy (obejmujący wówczas jednak i Ukrainę) miał uczniów więcej, niż cała zresztą Rosya (według rosyjskiego historyka Szmida), przed obecną wojną na 1000 mieszkańców uczyło się:

w gubernii	wileńskiej	— 22·6
»	kowieńskiej	— 21·1
»	grodzieńskiej	— 42·0
«	mińskiej	— 42·2
»	witebskiej	— 43·3
»	mohylewskiej	— 56·—

więc przeciętnie 37·9 na 1000 mieszkańców, wówczas kiedy w centralnych gubérniach rosyjskich na 1000 osób przypadało uczących się 54·3.

Przypomnijmy na zakończenie, iż po zamknięciu uniwersytetu w Wilnie jako represyi za powstanie polskie w r. 1831 nie posiadał żadnej szkoły wyższej cały ten kraj, obejmujący 300.000 km² i posiadający $12^1/_2$ mil. ludności.

3. Opieka nad rozwojem gospodarczym. Rosya popierała gospodarkę Litwy i Białorusi tak, iż kraj ten zupełnie zrujnowała. Posiadał ten kraj przed wojną ledwie 2·04 km. kolei żelaznej na 100 km.² (Francya 9·3, Anglia 12, Niemcy 11·4, nawet zaniedbane ze względów strategicznych Królestwo Polskie 2·65). Taryfy kolejowe dla zboża tak były ułożone, iż taniej kosztował wywóz zboża z głębi Rosyi, niż z Litwy i Białorusi; taryfy podcięły też zupełnie

przemysł młynarski tych krajów. Tożsamo było i z bydłem, tak, że Królestwo Polskie bydło brało z centralnych gubernii Rosyi, nie z Litwy i Białej Rusi, które powinny z natury go dostarczać. Drogi są tak złe, iż jedna gubernia wileńska (według obliczeń Rosyanina Wolfarta z r. 1903) wydawała na koszty transportu dwa razy tyle, niżby on kosztował przy dobrych drogach. Kraj rolniczy miał tylko jedną szkołę rolniczą (w Horyhorkach), i to średnią; kraj, obfitujący w lasy (32% powierzchni), nie miał żadnej szkoły leśnej.

Wysokie cło na żelazo utrudniało dowóz narzędzi i maszyn rolniczych, które były o 100% droższe, niż w Niemczech. To też na przestrzeń uprawną przypadało w tym kraju ledwie 31·3%, gdy w Królestwie Polskiem 56%, wydatność żyta (w przecięciu za lata 1906—1910) z 1 ha wynosiła tu 6·0 cetnarów, gdy w Królestwie Polskiem 10·0, w Poznańskiem 15·6. Gubernie białoruskie miały też stały niedobór zboża na chleb, tak, że często cierpiały głód. Tem zaś ważniejsza ta rolna gospodarka, gdy ten kraj nie miał kopalni, a przemysł był niesłychanie słabo rozwinięty, tak że wartość jego wynosiła rocznie na głowę w przecięciu ledwie 10.9 rubli, gdy w sąsiedniem Królestwie Polskiem 60·8.

To też w budżecie Rosyi gubernie te były bierne, i to w wysokim stopniu. Przeciętny deficyt budżetowy tych sześciu gubernii wynosił według obliczeń rosyjskiego uczonego Jasnopolskiego (Kiów 1897) w latach 1868—1890 rocznie jeszcze tylko

58.500 rubli, zwiększył się jednak następnie do 33 milionów (1906–1907), a w r. 1913 podskoczył aż do 51 milionów!

IV. Nie potrzeba chyba rezultatów zestawiać. Fakty historyczne, ustawodawstwo i statystyka, oparta na urzędowych przeważnie zestawieniach, jasno stwierdzają, iż:

1. prawa historyczne Rosyi do Litwy i Rusi opierają się — na gwałcie i nie sięgają dalej wstecz, jak półtora wieku;

2. prawa etnograficzne — na fakcie, iż procent ludności rosyjskiej w tym kraju nigdzie nie jest wyższy od 5·08, a spada nawet do ledwie 3·32;

3. prawa, wypływające z zasług cywilizacyjnych, — na uciskaniu całej ludności, nie tylko Polaków, ale także Litwinów i Białorusinów, na obniżaniu, wprost rozpaczliwem, oświaty, na podkopywaniu bytu gospodarczego tego pięknego kraju, a tak nieszczęśliwego w każdym względzie pod takimi rządami.

